



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ 2 (73) 2003

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH • WROCŁAW



Spis treści

Życzenia świąteczne	1
Danuta Śliwińska – Święta Wielkanocne	1
Jerzy Masior – Zimowa pamięć	4
Jerzy Masior – Łyczaków 2003 – wiersz	5
Jadwiga Hohenberger-Gorzkowska – Pamięci tajgi – wiersz	5
Helena Wiewiórska – Kresowianie na Obczyźnie	5
Tadeusz Łodziana – Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych 1937-1943 we Lwowie. Wspomnienia (c.d.)	9
Grzegorz Sobesto – Moja rodzina pochodzi z Kresów	12
Jarosław Biernaczyk – Lwowskie reminiscencje (Przedruk z „Gazety Ostrowskiej”)	14
Ludmiła Podgórska – „Kawiarnia Szkocka” w Warszawie przy Abrahama 10	16
Stanisław T. Sroka – Stan badań nad polską nauką i uczelniami we Lwowie	18
Alicja Wolowicz – Sanoccy kresowianie	18
Jadwiga Walocha – Kościół w Winnikach	20
Stanisław Czerkas – Jubileusz 10-lecia FOPU (Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie)	21
Bolesław Nagay, Remigiusz Węgrzynowicz – O aktywizację działań TMLiKPW na rzecz ludności polskiej na Ukrainie	22
Gabriel Krische – Wiadomości z Jagielnicy	23
Zbigniew Abram – Obertyn – „Pod mogiłami”	24
Piotr Marek Stański – Lwowskie porządkowanie architektury	26
Szczepan Sasiadek – Początek drogi	27
Andrzej Barącz – Wspomnienia	30
LISTY DO REDAKCJI	
List od Jarosława Tadeusza Leszczyńskiego z Kielc	35
List od prof. Jerzego Kowalczyka z Krakowa	36
List od Władysława Majewskiego z Londynu	36
List od doc. dr hab. med. Krystyny Węgler-Maksymowicz	37
Zaproszenie do szkolnej izby pamięci – opracowanie: mgr Małgorzata Deska i mgr Agnieszka Henkel	37
Apel młodzieży Gimnazjum Nr 15 im. Stefana Banacha w Częstochowie	37
List od Andrzeja Maliny z Warszawy	38
Poszukiwania	38
Irena Bereżnicka – Polska droga – wiersz	38
List od Bogusławy Bryły-Czerny	38
List otwarty od Tadeusza Sobieckiego z Ustrzyk Dolnych	39
NOWE KSIĄŻKI	
Zbigniew Nartowski – „Wspomnienia harcerzy – uczestników obrony Lwowa we wrześniu 1939 roku”	39
Jerzy Petryński – Nowe książki o Lwowie	40
Wiesław Mielniński – O aktywizację współpracy z młodzieżą Kresów	41
Jerzy Masior – Wybacz mi Tato – wiersz	42
R. Węgrzynowicz, B. Nagay – Pomoc medyczna dla Lwowa i Baranowicz	42
Piotr Franków – Spotkanie z poetką Ireną Cisek-Piątkowską	43
Porozumienie o ustanowieniu stosunków partnerskich pomiędzy Wrocławiem i Lwowem	43
Komunikat Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich	44
Mieczysław Kowal – Muzeum w Lubaczowie zorganizowało wystawę pt. „Rzeźba lwowska” (druga połowa XVIII wieku)	44
Mieczysław Kowal – Coraz trudniej żyje się we Lwowie	46
Mieczysław Kowal – Spotkanie z ks. Robertem Szteligą	46
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	47
Z ZAŁOBNEJ KARTY	
Bogdan St. Kasprowicz – Apostoł Podola – śp. ks. biskup Jan Olszański (1919-2003)	51
Śp. Antoni Pulak (1924-2002)	53

Zdjęcie na okładce:

Zmartwychwstanie – fragment dekoracji na ścianie zewnętrznej kaplicy Kampianów.

Pan Jezus w grobie – rzeźba z wieku XVIII (we Lwowie)

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.

Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



Z okazji zbliżających się Świąt Wielkiej Nocy składamy życzenia radości, zdrowia i pomyślności osobistej.

Niech te dni przebiegają w skupieniu, zadumie i radości płynącej ze Zmartwychwstania Pańskiego.

Redakcja „Semper Fidelis”
Zarząd Główny TMLiKPW

Danuta Śliwińska Święta Wielkanocne

„Wstał Pan Chrystus zmartwych ninie,
Alleluja, alleluja,
Uweselił lud swój mile,
Alleluja, alleluja,
Który cierpiał dnia trzeciego,
Alleluja, alleluja,
Dla człowieka mizernego,
Alleluja, alleluja!

(Tekst oryginalny z kantyczki
„Leopoli, die Aprilis 1904”)

Słońce coraz wyżej, pączki na drzewach, krzewach, pierwsze wiosenne kwiaty zaczynają kwitnąć, jednym słowem... wiosna. Świat za oknem staje się coraz bardziej kolorowy, chcemy, aby i do naszych domów zawitała wiosna. Znak, że zbliżają się Święta Wielkiej Nocy. Wstępem do Wielkiego Tygodnia jest Niedziela Palmowa, w czasie której święcimy palemki, symbol zdrowia i ochrony przed złem. Po niej następuje porządkowanie własnego wnętrza i domów. Wielki Tydzień to czas licznych postów, wyrzeczeń, umartwień, odwiedzania Bożych Grobów, a także wielkiego sprzątnięcia w domu,

zdobienia mieszkania, malowania pisanek. Kupujemy pierwsze wiosenne kwiaty, przygotowujemy dekoracje z baranków, zajączków, kurczaków, pisanek. Ozdoby w odpowiednio dobranych kolorach oraz dostosowane do nich obrusy, serwetki i naczynia dodadzą mieszkaniu wiosennej świeżości, a świątecznym dniom niecodziennego uroku. Na stole nie może zabraknąć jaj – symbolu odradzającego się życia. Pisanki, kraszanki, naklejanki – powinny być bardzo piękne i najlepiej własnoręcznie wykonane, gdyż zgodnie z tradycją zdobienie jajek to początek rodzinnego świętowania. Pomysłowe pisanki nie tylko są ozdobą wielkanocnego stołu, ale mogą też być miłym świątecznym upominkiem. W okresie Wielkiego Tygodnia przygotowujemy potrawy i specjalne świąteczne wypieki. Punktem honoru każdej gospodyni są wielkanocne baby, które mogą paść w każdej chwili z powodu przeciągu, trzaskania drzwiami lub głośnej rozmowy. Święto Zmartwychwstania Pańskiego jest najradośniejszym świętem zarówno w Kościele jak i w obrzędach. Nawet dzwony w niedzielę wielkanocną brzmią inaczej, w sposób szczególny oznajmiając Dzień Zmartwychwstania Chrystusa. Po uroczystej rezurekcji – wracamy do domów i całymi rodzinami zasiadamy przy świątecznym śniadaniu. Dzielimy się „święconym jajkiem” składając sobie najlepsze życzenia, równocześnie nasze serdeczne myśli biegną za wschodnią granicę do drogich nam Rodaków. Święconka pielęgnowana

jest z wielką pieczołowitością w Polsce i należy do najmielszych tradycji. Święta te, jak każde inne, są zawsze doskonałą okazją do wzmocnienia więzi rodzinnych i przyjacielskich.

Zadbajmy, aby tak śniadanie wielkanocne jak i potrawy spożywane przez cały okres świąt były tradycyjne, przygotujmy dania i smakołyki kojarzące się od stuleci ze świętami Zmartwychwstania Pańskiego.

Z dawnych tradycji pozostało do dzisiaj bardzo wiele, przede wszystkim został nastrój radosny, a każdy dom polski, bez względu na zasobność, stoi otworem dla gości. Radosny duch świąt pozostał ten sam, pozostały też z dawnych czasów przepisy na smakołyki świąteczne. Poniżej przekazuję dalszy ciąg przepisów na potrawy i ciasta z rodzinnej kuchni lwowskiej.

Barszcz czysty w filiżankach

Składniki:

1/2 kg wołowiny, 1 seler, 1 pietruszka, 1 marchewka, 1 por, 2 cebule, 1/2 kg buraków, 4 suszone grzybki (najlepiej prawdziwki), pęczek koperku, ząbek czosnku, ok. 1/2 l kwasu burakowego, sól, cukier.

Przyrządzenie:

Mięso gotujemy z warzywami, pokrojoną cebulą, całymi burakami z 1 l osolonej wody. W osobnym garnuszku w szklance wody gotujemy grzybki, uprzednio namoczone. Kiedy buraki są miękkie, wybieramy je, ścieramy na tarce o dużych otworach, wkładamy do rosółu, doda-



nek, 1 łyżka oliwy, sól, ewentualnie ok. 2 łyżeczki żelatyny.

Do przybrania: 2 jajka ugotowane na twardo, marchewka z wywaru, zielona sałata, natka pietruszki, cytryna.

Przyrządzenie:

Cielęciny, kości, pokrojone cebule, warzywa w całości z dodatkiem soli i korzeni gotujemy w 1,5 l wody ok. 2 godziny. Cielęcina musi być miękka, ale pozostać w całości. Gdy wywar się wygotuje do połowy, a cielęcina będzie miękka – odstawiamy do ostygnięcia. Zimne mięso kroimy w niewielkie, bardzo cienkie plasterki, łączymy po 2 – smarując wewnątrz masą z sardynek rozartych z oliwą.

Rosół cedzimy przez sito, dodajemy ząbek rozartego czosnku, a gdy jest mało galaretowaty, dajemy żelatynę rozpuszczoną w zimnej wodzie i mocno podgrzaną, a potem przestudzoną. Po ostudzeniu wlewamy cienką warstwę rosółu na płaskie półmiski, po stężeniu układamy plasterki jaj, marchewkę ozdobnie pokrojoną, zieloną pietruszkę – a między dekorację kładziemy mięso (po dwa zlepione sardynkami plasterki cielęciny). Całość zalewamy bardzo ostrożnie cienką warstwą rosółu, a po stężeniu galarety – całkowicie pokrywamy rosółem mięso i dekorację. Gdy cała galareta mocno stężeje, półmiski ubieramy plasterkami cytryny, zieloną sałatą i ewentualnie kawiozem.

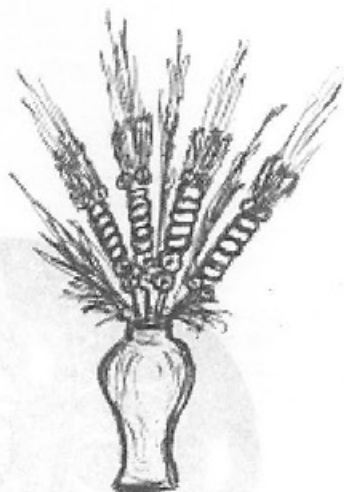
Biała kielbasa po „sнопkowski”

Składniki:

1/2 kg białej kielbasy, 2 łyżki oliwy, 2 żółtka, łyżka musztardy francuskiej, łyżeczka startego na tarce, świeżego chrzanu, łyżka gęstej śmietany, 3 łyżki grubo posiekanych orzechów włoskich, sól, biały pieprz, łyżeczka posiekanej zielonej pietruszki.

Przyrządzenie:

Kielbasę gotujemy we wrzącej wodzie, ok. 15-20 min. Wyjmujemy, po ostygnięciu kroimy na dowolne kawałki-porcje, wkładamy do nasmarowanego tłuszczem żaroodpornego naczynia, obkładamy 2 żółtkami zmieszany- mi z musztardą, śmietaną, chrzanem, solą i białym pieprzem do smaku. Po wierzchu posypujemy orzechami włoskimi i zapiekamy w średniogórnym piekarniku przez ok. 20-25 min. Po wyjęciu z piekarnika posypujemy zieloną pietruszką.



Świąteczna ćwikła

Składniki:

1 kg buraków ćwikłowych, płaska łyżeczka kminku, 2 łyżki świeżo startego chrzanu, 1 winne jabłko, sok z cytryny, 1 goździk, mały kieliszek czerwonego, wytrawnego wina, łyżka osączonych z konfitury wiśni, sól, cukier.

Przyrządzenie:

Umyte buraki gotujemy do miękkości, wystudzone obieramy i ścieramy na tarce o dużych oczkach, jabłko obrane, bez gniazda nasiennego, ścieramy na tej samej tarce. Mieszm razm, dodajemy starty chrzan, wi- śnie, wino z utłuczonym w móżdżerzu goździkiem za- gotowane, ostudzone i przecedzone przez sitko. Wsy- pujemy kminek, mieszm, doprawiamy do smaku so- kiem z cytryny, solą i cukrem.

Baba podolska

Składniki:

1 szklanka żółtek, 1/2 szklanki białek, 3,5 szklanki mąki, ok. 1,5 szklanki mleka, 8 dkg drożdży, 2/3 szklanki masła rozpuszczonego, 1/2 łyżeczki soli, niepełna szklanka cukru pudru, skórka starta z jednej cytryny, 1/2 laski wanilii utłuczonej w móżdżerzu, 15 dkg rodzynków namoczonych i obsuszonych, cukier puder do posypania babek.

Przyrządzenie:

Żółtka i białka ubijamy na pianę, 2 szklanki mąki parzymy wrzącym mlekiem i pozostawiamy na 1/2 go- dziny. Roztarte drożdże z 2 łyżeczkami cukru pudru wlewamy do jajek. Mąkę mieszm, rozcieramy dobrze, aby nie było gru- dek i wlewamy do niej jajka z drożdżami. Rozbi- jamy, lekko posypujemy mąką i po przykryciu ser- wetką pozostawiamy do wyrośnięcia. Po podro- śnięciu dodajemy resztę mąki, sól i wyrabiamy ok. 1/2 godziny. Wówczas wlewamy roztopione ma- sło i dalej wyrabiamy ok. 20 minut. Następnie do- dajemy cukier, skórkę cy- trynową, wanilię i rodzyn- ki i wyrabiamy dalej aż ukażą się na cieście pę- cherze. Przykrywamy po- nownie serwetką i pozostawiamy do wyrośnięcia. Formy posmarowane masłem i wysypane mąką napel- niamy do 1/3, a jak ciasto podwoi swoją objętość, wkładamy bab- ki do gorącego piekarnika i pieczemy ok. 50 min. Sprawdzamy patyczkiem. Jak lekko przestygną, wyjmujemy, najlepiej na sito i po zupełnym przestygnięciu po- sypujemy cukrem pudrem.

Mazurek makowy Danki

Składniki:

7 jaj, 3/4 szkl. cukru pudru, 1/2 l mleka, 25 dkg maku, łyżka miodu, 2 łyżki rozdrobnionych biszkoptów,

2 łyżeczki startej skórki cytrynowej, 1/3 laski wanilii utłuczonej w móżdżerzu, 5 dkg rodzynków namoczonych i obsuszonych, 5 dkg rozdrobnionych orzechów włoskich, 5 dkg drobno pokrojonej usmażonej skórki pomarańczowej, słoik dżemu malinowego, 1,5 tabliczki czekolady gorzkiej, 3 łyżki mleka.

Do przybrania: połówki orzechów włoskich, skórka pomarańczowa, migdały bez skórki, masło i bułka tarta do blachy.

Przyrządzenie:

Mak zalewamy wrzącym mlekiem i gotujemy ok. 15-20 min. Po ostygnięciu przepuszczamy trzykrotnie przez maszynkę, mieszm z miodem i wanilią. Żółtka ucieramy z cukrem na pianę, dodajemy mak, biszkopty, skórkę cytrynową, rodzynki, orzechy, usmażoną skórkę pomarańczową i na końcu pianę ubitą na sztywno z 7 jaj. Lekko mieszm i układamy na blaszkę na- tłuszczoną i wysypaną tartą bułką. Pieczemy ok. 55 min. w średniogórnym piekarniku. Po upieczeniu i ostygnięciu – mazurek smarujemy dżemem malinowym i polewamy czekoladą rozpuszczoną z mlekiem, ubie- ramy połówkami orzechów włoskich, migdałami i skór- ką pomarańczową.

Mazurek kruchy z bakaliami

Składniki:

2 żółtka ugotowane na twardo, 1 żółtko surowe, szklanka mąki, 1/2 kostki masła, 1/3 szklanki cukru pudru, 1-2 łyżki śmietany, łyżeczka startej skórki cytrynowej, 1/4 laski wanilii utłuczonej w móżdżerzu.

Do przełożenia: słoik dżemu winnego – wiśniowego, agrestowego lub porzeczkowego. 10 dkg rodzynków namoczonych i obsuszonych, 10 dkg rozdrobnionych orzechów włoskich, 5 dkg pokrojonych w paski fig, 5 dkg usmażonej skórki pomarańczowej, pokrojonej w drobną kosteczkę.

Na polewę: 2 tabliczki czekolady gorzkiej, 3 łyżki mleka.

Do dekoracji: połówki orzechów, migdały i skó- ka pomarańczowa. Masło do blachy.

Przyrządzenie:

Z mąki, masła, żółtek, cukru, śmietany, startej skórki cytrynowej i wanilii wyrabiamy ciasto i odstawiamy na godzinę do lodówki. Następnie formujemy 2 mazurki – prostokątny, kwadratowy, trójkątny, okrągły – według upodobania i układamy na wysmarowanej masłem blaszce. Pieczemy w średniogórnym piekarniku ok. 25 min., na lekko podrumieniony, złoty kolor. Po osty-gnięciu smarujemy kwaskowym dżemem, posypujemy orzechami, migdałami, figami i skórką pomarańczową. Zalewamy polewą z czekolady rozpuszczonej z mle- kiem, a wierzch dekorujemy połówkami orzechów, mig- dałami i skórką pomarańczową.



jemy grzybki razm ze smakiem, w którym się gotowa- ły, rozarty ząbek czosnku, koper i gotujemy jeszcze 10 minut. Następnie przecedzamy przez sito, wlewamy sok burakowy, solimy i cukrzmy do smaku, ewentual- nie możemy dodać szczyptę białego pieprzu. Barszcz ten podgrzewamy, ale nie gotujemy, traci wówczas smak i kolor.

Cielęcina w galarecie

Składniki:

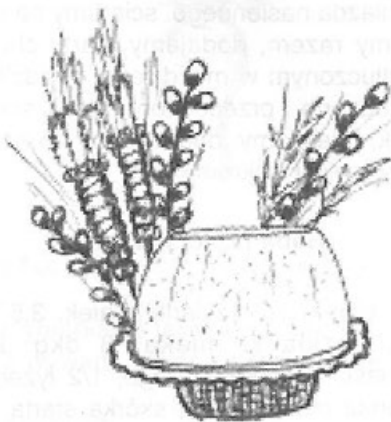
1 kg cielęciny bez kości, 25 dkg kości z cielęciny, 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 seler, 1 por, 2 cebule, 1 listek lauowy, 1 ząbek czosnku, 4 ziarna ziela an- gielskiego, 8 ziaren pieprzu tureckiego, puszka sardy-

Na zakończenie tym razem przytaczam wiersz współczesnej poetki lwowskiej p. Krystyny Angielskiej o babie wielkanocnej:

Lwowska babka wielkanocna

Funt białej mąki kulikowskiej,
pięć deka drożdży, szklanka cukru
I jaj piętnaście – prosto z wioski.
Oddzielić żółtka, wziąć makutę,
ucierać cukier wraz z żółtkami,
aż się przemieni w lekki puch,
wymieszać z cukrem i drożdżami
ścierając skórę z cytryn dwóch.
Dodać wanilię, troszkę mleka,
następnie masło wlać topione,
wyrabiać ciasto szybko, lekko
aż będą was bolały dłonie.
Teraz trzeba dodać przyprawę,
bez których babka nie ma smaku.
Można je sypać bez obawy,
bo są drogimi dla lwowiaków:
garść polnych kwiatów z Pohulanki
Stryjskiego parku aromaty,
z Cytadeli – jasność poranka,

z katedry – chłodną biel ornatu.
Troszkę wdzięku Władę Majewskiej,
szczyptę dowcipów Tońka, Szczepka,
dźwięk pieśni znanej od oseska,
Łyczaków wszak to jej kolebka.
Cwiartkę „tajojków”, „całujraczek”,
pół szklanki batiarskiej swawoli,
którymi babkę się nasącza
i poda na świątecznym stole.



Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Zimowa pamięć

*Nie my władamy wspomnieniami,
one panują nad nami.*
(Leszek Elektorowicz)

Mam świadomość upływającego czasu. To jest tak, jakbym przystawał nad moimi teraźniejszymi rzekami: Dunajcem lub Popradem, a bystre nurty parły na północ. Nic ich w tym miejscu i o tym czasie nie powstrzyma. Rozpędzone myśli bywają jak nurty rzek. Wszystko z nimi przepływa.

Świadomość tego odczuwam szczególnie zimą, gdy czas powolnieje i jest pora oczekiwania. Pamięć o mieście w dolinie Pełtwi, choć ona się nijak z nurtem Dunajca nie kojarzy, też ma swoje rytmy związane z porami roku. Zimą zawsze przychodzi wyciszenie i pojawienie się za oknem wszystkich odcieni bieli. Tych we Lwowie nie brakowało: szare, rozjeżdżone koleiny uliczne, ale i oślepiające, srebrzysto-błękitne biele parków: Pohulanki, Kajzerwaldu. A z jego wzniesień zatopione w horyzontach fioleły nadchodzącego wieczoru. Lwowski śnieg i lwowskie horyzonty – zawsze było ich dużo. I zawsze na każdej ulicy miasta obfitość zmrożonego skrzypienia pod stopami. Pastelowe zmierzchy były różne na każdej ulicy, w każdym zakamarku miasta. Te utrwalone, zimowe matryce stamtąd to film, który powraca w każdym zakątku ziemi. Jest natarcywy, jakby wiedział, że nań oczekuję, że chcę go oglądać w nieskończoność.

Zapamiętałem szybko sączące się ciemności w starodawne uliczki wokół Rynku i krążący wraz z latarni-

kiem płomyk. Od latarni do latarni. Sporo było ich jeszcze w latach trzydziestych na tych uliczkach: na Ormiańskiej, Wałowej, Skarbowskiej, Boimów. Jaskrawożłociste kręgi światła wykwitwały na ulicznej bieli oczekującej na nocne życie. Kręgi te to wyspy bezpieczne w ulicznym mroku. Tam zniknęło wszystko, co trwożyło, co pochodziło z nocy. Tych zimowych nocy we Lwowie nie poznałem do końca, byłem za młody. Chyba nigdy nie spoglądałem na miasto rozjarzone światłami z Kopca Wysokiego Zamku. Może właśnie dzięki temu moje obrazy dzisiejsze stamtąd są nienasycone. Dane mi było natomiast oglądanie nocnego Lwowa zza balustrady okalającej świątynię M. B. Ostrobramskiej. To było na wysokości wieńczącej świątynne wzgórze. Przydawało się w czasie okupacji, a więc jasność nocna nad miastem nie była już zbyt intensywna. Tuż za balustradą spływała w dół Łyczakowska ku śródmieściu. Im dalej, tym bardziej pojedyncze latarnie łączyły się w zorzę światła nakrytą zimowym niebem. Tu i tam błyskawice spod tramwajowych pałaków siały niepokój pośród miejskich ciemności. Śnieg jak menisk uliczny rozświetlał noc intensywniej niż to działa się latem. Jasność wyciekająca z zimowych ulic była krystalicznie przejrzysta i jakby dalej sięgająca.

Takich widoków zimowego miasta nigdy już nie powtórzyłem. Mój zimowy Lwów odszedł na zawsze. Zresztą tak wiele odeszło na zawsze. Nurtu rzeki czasu nie zatrzymam. To chyba on spowodował, że śniegi kolejnych zim, już nie lwowskich, poszarzały, zbiły się w grudy, które nie lgną do niewystygłej jeszcze dłoni. Nie sposób ulepić śnieżynki, by razić nią dziewczęta o złocistych warkoczach, w granatowych mundurkach. Pamięć zajmuje się stawianiem na cokole albo destrukcją. Tą ostatnią posługuje się współczesny Lwów. Niczego dobrego nie obiecuje. Wcale nie ma ochoty na

zachowanie przestrzeni i tradycji zgotowanych mu przez wieki. W iluż to miejscach, po ilu ulicach chodzi się dziś ze zwieszoną głową. Chodzi się na pamięć, ale miejsc się nie poznaje. Ganiając zziębnięty po zimowym Kajzerwaldzie gasiłem pragnienie śniegiem. Czy dziś też bym tak uczynił? Jestem pewny, że nie! To nie mój śnieg. A i zimowa przestrzeń też nie moja. Sam ją z litości pozasłaniałem i jakże mi w tym pomaga czas ciekący ulicami pod Wysokim Zamkiem i tu nad Dunajcem.

Jerzy Masior

Łyczaków 2003

*Jaka to piękna dzielnica.
Światło ma swoje własne
i własne swoje pod górę,
i tyle znanych zakrętów,
tyle zakrętów nieznanymi
i plac, i placu sprzątanie.
bramy na przystawanie,
po tamtej stronie Zniesienie,
po tamtej stronie Dublany.*

Zima to mój czas ulubiony. Polubiłem go właśnie tam we Lwowie i mogłem po trosze urządzać na swój sposób. Ale zima to też pretekst na przywoływanie pamięci. Metafizyczne już dziś seledyny Pohulanki wiosną, czy dojrzała, dysząca latem zieleń buków Czartowskiej. Skąły spać także nie dają...

Nowy Sącz, w lutym 2003

Jadwiga Hohenberger-Gorzowska

Pamięci tajgi

*Tajgo syberyjska tyś nas przyjęła
groźna majestatyczna, cicha, wspaniała.
Byłaś nam życzliwa, przychylna
i niczemu niewinna.
Twoje piękno było nam obce
Z okresu tego pozostało
wspomnienie przyjaciółki mojej
małej brzoźki białej
O ileż to razy obejmowałam
pięń twój czysty
ileż to razy łkanie bezsilne
wstrząsało mym ciałkiem dziecinny
a moje lzy gorące spływały
na majestat kory białej
Aż szeleszczące twe listki zielone
swą muzyką tajemną
z litości nade mną
kołysały mnie do snu
Usypiając moją istotkę małą
słyszałam jej granie
i całej tajgi drzew wtórowanie
We śnie gdzieś me troski pierzchały
otwierał się przede mną
świat miniony wspaniały.
Tajgo tyś go przywołała
Tyś w me serce pokrzepienie wlała
Tobie w podzięce
wspomnienie to poświęcam.*

Jakże trafnie oddaje autentyczne odczucia dziecka wywiezionego do syberyjskiej tajgi wiersz Sybiraczki, Isfahanki, Afrykanki p. Jadwigi Hohenberger Gorzkowskiej „Pamięci tajgi”.

Helena Wiewiórska

Kresowianie na Obczyźnie

Pamiętajmy. Rok 2003 – 63 rocznica masowych wywózek Polaków w głąb Związku Sowieckiego

10 II 1940 rok to data dla Kresowian szczególna, gdyż właśnie w tym dniu miała miejsce pierwsza masowa wywózka Kresowian do syberyjskich łagrow. Akcja eksterminacyjna zaplanowana została szczegółowo, niedługo po wrześniowej agresji sowieckiej i miała na celu wyniszczenie Polaków.

Chociaż od pierwszej masowej wywózki minęły już 63 lata, a rocznice następnych wywózek (w kwietniu i czerwcu 1940 r. oraz w czerwcu 1941 roku) miną niedługo, temat ten jest ciągle aktualny, tym bardziej że zakazany przez długie lata panującego u nas systemu sowieckiego, a i obecnie w zalewie piśmideł i pism poprawnych politycznie jest omijany lub spływany. Na szczęście żyją jeszcze świadkowie tamtych dni, którzy nigdy nie zapomną swojej gehenny, a ich świadectwa są najlepszymi dokumentami tego wycinka naszej historii.

Romanę Kotwińską z domu Starzyk poznałam na zjeździe byłych Szkół Polskich Isfahan-Liban w Londynie. Mam szczęście spotykać ją we Wrocławiu i słuchać tułacej drogi dziecka deportowanego wraz z Rodzicami

1 marca 2003

i rodzeństwem z Kałusza koło Stanisławowa. Ojciec – legionista – po zawarciu małżeństwa poświęcił się budowie domu rodzinnego – obydwie z mamą pracowali i wychowywali dzieci, pracowali również społecznie – należeli do organizacji Strzelca i Sokoła. Mama działała w Kole Gospodyń Wiejskich jako nauczycielka, szerząc tam oświatę. Ojciec udzielał nauki gry na skrzypcach – grywał pięknie melodie Moniuszki, Wieniawskiego, Lehara. Mama pięknie śpiewała, a w okresie Bożego Narodzenia urządziła jasełka i wówczas cała rodzina przeobrażała się w aktorów. Muzyka i śpiew towarzyszyły zawsze rodzinie – w domu panowała wspaniała atmosfera, a okolica, w której dom był położony, była piękna, bo były góry, z których w zimie zjeżdżało się na sankach, a w lecie można było pływać w rzece i buszować w lesie. I tak szczęśliwie upływało dzieciństwo. Wśród okolicznej ludności składającej się z Polaków, Żydów i Rusinów panowała atmosfera wzajemnej życzliwości i tak było do roku 1939. W sierpniu Ojciec dostał powołanie do wojska, a we wrześniu już walczył w obronie Lwowa. 17 IX weszli do Kałusza Rosjanie. Ojciec został internowany w Stryju, skąd udało mu się zbiec i dostać do domu. Życie rodzinne toczyło się dalej, lecz z zewnątrz czuło się zagrożenie i tak nadszedł dzień 10 II 1940 roku, który Roma jako jedenastoletnia wówczas dziewczynka doskonale pamięta, kiedy to nad ranem wyrwał ich ze snu łomot do drzwi – to enkawudzista i dwaj ukraińscy milicjanci uderzali kolbami karabinów krzycząc – otwierać! Po ordynarnej rewizji, chociaż nie znaleźli broni lub czegokolwiek zakazanego, oskarżyli Ojca o wrogość do Związku Sowieckiego. Kazali się zbierać i w ciągu pół godziny opuścić dom. W chaosie i płaczu pakowali rzeczy, mały Kazio płakał i nie chciał opuścić swojego łóżeczka. W skromnym dobytku, który mogli zabrać, znalazły się skrzypce Ojca, z którymi nigdy się nie rozstawał. Kiedy zapakowano ich do sań, w ostatniej chwili przybiegła mieszkająca w pobliżu Babcia, aby dać Mamie obrazek Matki Boskiej na drogę, za co została uderzona przez enkawudzystę – upadła w śnieg i tak ją Roma widziała po raz ostatni – leżącą w śniegu z wyciągniętymi do nich rękami... Na stacji zapakowano ich do bydłych wagonów wraz z wieloma rodzinami, które podzieliły ich straszny los. Był już marzec, kiedy wysiedli w tajdze za Kołem Polarnym na północ od Archangielska. Roma pamięta, że Mama wysiadła z pociągu zupełnie osiwiała. W tajgę przewieziono ich na płozach i umieszczono w obozie poprzednio zamieszkałym przez więźniów. Na polanie stały opuszczone baraki bez szyb, zawiane śniegiem i 4 wieże strażnicze. W tych warunkach umieszczono 400 rodzin polskich i polsko-ukraińskich poczuwających się do polskości, za co zostali zesłani. To tylko jeden taki obóz, a było ich setki. Zaczęła się katorżnicza praca – mężczyźni ścinać drzewo, kobiety korowały, czyli ścigały kory, a dzieci ją zbierały, aby zarobić na dzienną rację żywności. Głód i zimno dokuczały bez przerwy, wprowadzie regulamin obozowy zabraniał pracy w temperaturze -35°C , ale wtedy termometr zazwyczaj zniknął. Władze obozowe zdawały się jeszcze bardziej pogłębiać beznadziejność sytuacji powtarzając: stąd się nigdy nie wydostaniecie – tu pomrzecie. Polacy jednak nie upadali na duchu. Modlitwa i śpiew pomagały im w przetrwaniu, a kiedy zmieniono komendanta na bardziej ludzkie-

go, utworzyli wielogłosowy chór, który śpiewał piosenki, wprawdzie rosyjskie i ukraińskie, bo polskie były zakazane, ale tak bardzo przydały się tutaj skrzypce Ojca, które razem z harmonią stanowiły oryginalną orkiestrę. Za pozwoleniem władz obozowych koncertowali po okolicznych kolchozach wnosząc w beznadziejne życie kolchoźników trochę radości i dostając w nagrodę coś do jedzenia. W Święta Bożego Narodzenia Polacy zebrali się w jednym baraku – obchodzili polską wigilię, jakże skromną, ale ze śpiewem polskich kolęd. Niestety, władze obozowe dowiedziały się o tym i groziły łagrem karnym p. Walerii Sikorzynie jako organizatorce wigilii. Polacy jednak umieli zachować się solidarnie i obronić p. Sikorzynę – była to osoba niezwykle – sąsiadka z Kałusza – zawsze ratowała ludzi w chorobach i biedzie. O niezwyklej działalności p. Walerii Sikorzyny napisał i wydał w Londynie książkę dr historii Wacław Korabiewicz pt. „Serce w dłoniach”. Kiedy dowiedzieli się na posiołku o tworzącej się Armii Polskiej, p. Sikorzyna umiała też „załatwić” wagon dla Polaków, którym podążali na południe Rosji do utworzonej Polskiej Armii w Buzułuku po „amnestii” Sikorski-Majski. Znowu stłoczeni do niewyobrażalnych granic wędrowali z nadzieją do wolności. Zatrzymano ich w Uzbekistanie, gdzie dostali przydział do pracy w kolchozie położonym w górach. Za mieszkanie służyła im lepianka, z której wyprowadzono barany, spali na kukurydzianych badyłach, a za pożywienie służyło im nieoczyszczzone proso, od którego krwawiły jelita. Starsi kopali rowy nawadniające, a dzieci pracowały przy zbiorze bawełny, która wyschnięta raniła ciągle nieogojące się ręce. Po pół roku pobytu w Uzbekistanie Ojciec dostał się do Armii Andersa, a brat Jurek do junaków – wprowadzie w przydzielonym o wiele na niego za dużym mundurze wyglądał bardzo śmiesznie, ale jakże był szczęśliwy! Tymczasem Ojciec zachorował na tyfus i na dezynтеріę – już właściwie uznano go za zmarłego, kiedy sanitariuszka rozpoznała w nim Jankę, który tak pięknie grał na skrzypcach, dostrzegła u niego nagle oznaki życia, zabrała go do namiotu i uratowała od śmierci. Rodzina wędruje z kolchozu do Buzułuku oddalonego o 70 km poprzez wysokie góry wynajętą arba. Przy wojsku polskim koczowało dużo dzieci z sierocińców w Rosji. Za rozkazem generała Andersa, aby ocalić dzieci polskie za wszelką cenę, żołnierze polscy bardzo troskliwie się nimi opiekowali. Czekając na transport do Iranu Roma z Mamą i braciśkiem Kaziem koczowali dwa tygodnie na dworcu i to były najgorsze dni w całym pobycie w Kraju Rad. Pokryci brudem i insektami – wszy były nawet w brwiach – czuli się tak upodleni, że trudno wyobrazić to sobie człowiekowi żyjącemu w normalnych warunkach. Kiedy dojechali do Krasnowodsk nakarmiono ich ryżem i jakąś rybą, wsadzono na stare zniszczone okręty i w niewyobrażalnych warunkach, bez jedzenia i picia, dopłynęli przez Morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie (wówczas Persja). Był Wielki Tydzień 1942 r., kiedy przekroczyli drogę do Wolności. Kiedy w pośpiechu wychodzili na brzeg, nie byli jeszcze pewni, że są wolni. Władze alianckie ze zdumieniem patrzyły na tłumy ludzi, w łachmanach rojących się od robactwa, przerażliwie wychudzonych lub spuchniętych od głodu. Z ulgą przechodzili przez kordon sanitarny zostawiając swą nędzę, ubrani w czystą białiznę i mundury udawali

się do wygodnych namiotów. Znaleźli się w zupełnie innym świecie, poszanowania godności ludzkiej. Romie wydawało się, że z piekła dostała się do raju.

Nazajutrz była Wielkanoc w 1942 roku. Na uroczystej rezurekcji, przy polowym ołtarzu, wszyscy płacząc klęczeli i dziękowali Bogu za ocalenie.

Następnym etapem podróży był Teheran, gdzie niezależnie od wieku, kierowano młodzież do szkół junaków i kadetów. Najmłodsze dzieci kierowano do Isfahanu, gdzie był łagodniejszy klimat. Tam znalazły się sieroty i personel opiekuńczy – także Mama Romy jako nauczycielka, z Romą i braciśkiem Kaziem. Szah Reza Pahlevi przyjął dzieci, a na ich utrzymaniełożył rząd brytyjski oraz Watykan (papież Pius XII). Dzieci polskie znalazły się pod opieką francuskich siostr Szarytek i szwajcarskich ojców Salezjanów. W klasztorach i 18 budynkach zostały zorganizowane przedszkola, szkoły i zgodnie z rozkazem generała Andersa stworzono dla dzieci polskich możliwości kształcenia się, a wielu pedagogów, którzy nie zdradzając swego zawodu, wydostali się z sowieckiego piekła, przekazywali dzieciom i młodzieży wartości moralne i patriotyczne, a ksiądz Tomasik miał pieczę nad całością jako kierownik duchowy. Obchodzone były polskie rocznice państwowe i z tej okazji rozbrzmiewały polskie pieśni patriotyczne, a codziennie rano, kiedy muezin wyśpiewywał z minaretu wersety Koranu, w polskich Zakładach dziecięcymi głoskami rozbrzmiewało „Kiedy ranne wstają zorze”. Powstała „Sodalicia Mariańska” i harcerstwo, któremu przewodził wówczas harcmistrz i wychowawca młodzieży na Środkowym Wschodzie – Zdzisław Peszkowski – Oficer I Pułku Ułanów Krechowieckich w II Korpusie Karpatczyków. Obecnie ksiądz profesor i prałat domowy papieża Jana Pawła II.

Kapelan Rodzin Katyńskich i Golgoty Wschodu. Wiele lat po wojnie prowadził pracę duszpasterską i harcerstwo w Ameryce. Do dziś utrzymuje łączność z byłymi dziećmi Isfahanu. Roma wspomina złot harcerstwa podczas styczniowej nocy 1944 r. na oddalonej o 10 km od Isfahanu górze Żaro-Astra, gdzie polskie dzieci tworząc krąg splecionych rąk śpiewały „O Panie Boże Ojcie Nasz”.

Życie w Isfahanie było zorganizowane, ale w dalszym ciągu nie byli pewni, co dalej. Ojciec w tym czasie walczył na froncie w Afryce Północnej. Mama marzyła się o losy rodziny i pisała dużo pięknych wierszy. Roma zdaje małą maturę w Isfahanie. A pod koniec 1945 r., kiedy odbyła się likwidacja polskiego ośrodka, przewieziono ich do Ahwazu, na południu Persji. Ahwaz oznacza w języku perskim piekło, gdyż miejsce to jest uznawane za jedno z najgorętszych miejsc na świecie (temperatura dochodzi do $+50^{\circ}\text{C}$) podczas gdy na Syberii przeżywali mrozy dochodzące do -50°C . Nie był to na szczęście długi pobyt, gdyż przez Bagdad, Aleppo i Damaszek dotarli do Bejrutu w Libanie w 1946 r. Liban, obok Watykanu i Meksyku, najdłużej nie uznawał rządu komunistycznego w Polsce. W Libanie Roma przebywała trzy lata, tj. 17-ty, 18-ty i 19-ty rok życia i uważa ten okres za najlepszy w całej ich tułaczkiej drodze. Kontynuuje naukę, w 1947 r. zdaje egzamin dojrzałości i zaczyna studia filologiczne na Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie. Mama pracuje w angielskiej Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny na Środkowym Wschodzie.

Ojciec po walkach na froncie afrykańskim przeszedł na front adriatycki – był dowódcą czołgu VII pułku zmotoryzowanego kawalerii konnej. W jego drodze do Polski, przez Sybir, Persję, Irak, północną Afrykę, Egipt i Włochy zawsze towarzyszyły mu jego ulubione skrzypce. Były również z nim w czołgu w czasie natarcia na Monte Cassino, „Czerwone maki” grał od początku powstania tej przepięknej pieśni. Po skończonej wojnie Ojciec stacjonował w Egipcie i stamtąd przyjechał do Bejrutu, aby po sześciu latach połączyć się z rodziną. Z Palestyny przyjechał brat Jurek – junak – i tak cała rodzina szczęśliwie była znowu razem i wspólnie zdecydowali, że po tylu latach tułaczki wrócą wreszcie do Ojczyzny, jak im się wtedy wydawało, Wolnej Polski. Jesienią 1947 r. wracając do Polski. W punkcie granicznym Czechowice-Dziedzice zagrano im na powitanie Hymn Narodowy i „Czerwone maki”, a potem, kiedy osiedlili się na stałe w Nysie, zaczęły się dochodzenia i przesłuchania każdego członka rodziny – andersowiec znaczyło tyle samo co faszysta! Ojca oskarżono o dezercję ze Związku Sowieckiego, gdy potrzebował pomocy do walki z faszyzmem. Starszemu z braci Romy udało się w roku 1957 wyjechać do Danii, gdzie poprosił o azyl, młodszy brat również wyjechał w 1983 i obydwa aż do chwili obecnej przebywają na obczyźnie. Ich korespondencja była kontrolowana aż do późnych lat 80-tych, tym bardziej że synowie Romy również wyemigrowali w latach komunizmu i mieszkają na obczyźnie. Ojciec nie doczekał Wolnej Polski – zmarł w roku 1977. Jego skrzypce przez cały okres powojenny nie mogły opowiadać tego, co widziały na szlakach tułaczek dróg swojego właściciela ku Wolnej Polsce.

3 maja 1992 r. XXII Brygada Piechoty Górskiej w Nysie przejęła tradycję Karpatczyków. W związku z tym Światowa Delegacja Żołnierzy Karpackich przekazała do Sali Tradycji Brygady w Nysie wiele historycznych pamiątek. Są tam również odznaczenia bojowe Ojca Romy – Karpatczyka – Jana Starzyka za kampanię wrześniową, Gwiazda Afryki, Gwiazda Italii, Krzyż Monte Cassino, fotografie i pamiątki. Mama Romy doczekała Wolnej Polski. Tuż przed śmiercią (22 II 1993 r.), na wniosek Karpatczyków, została odznaczona przez prezydenta Lecha Wałęsę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za pracę oświatową na Środkowym Wschodzie. Odznaczenie to odbierała Roma, już po śmierci Mamy. Aby skrzypce Ojca nie milczały już teraz, Roma stara się przekazać jak najwięcej z historii nie tylko jej rodziny, ale setek tysięcy rodzin polskich, zwłaszcza ludziom młodym. Bywa często na lekcjach historii w nyskich szkołach, ma zamiar wydać wspomnienia rodzinne i wiersze Mamy, do czego ją gorąco namawiam.

Pięknie zrobiona audycja radiowa w lokalnym radio pt. „Wspomnienia rodzinne” – wywiad z Romą, z podkładem muzycznym – melodiami, które grywał Ojciec Romy na skrzypcach – świadczy o tym, że skrzypce Ojca Romy nie milczą.

2 II 2003 r. 50-tą rocznicę ślubów zakonnych obchodziła „Afrykanka” s. Krystyna od Krzyża OCD – Krystyna Kępińska.

Jej tułacza droga do Ojczyzny trwała aż 60 lat! Wywieziona z Rodzicami i siostrą z Kowla wołyńskiego

w syberyjską tajgę podzieliła straszny los innych wygnańców. W 1942 r. dziewczynki z Kronowoska ostatnim transportem dostają się do Pahlevi, ale już, niestety, bez Rodziców. Ojciec zostaje z Matką chorą na tyfus w Turkiestanie, niestety, dziewczynki widziały Mamę po raz ostatni. Matka umiera w Turkiestanie, Ojciec wraca do Polski w 1947 roku.

S. Krystyna od Krzyża miała czternaście lat, kiedy znalazła się ze swoją siostrą w Iranie. W Pahlevi dostaje zapalenia płuc – dostaje się do szpitala, gdzie przebywa wśród masowo umierających, co było koszmarnym przeżyciem dla dziewczynki. W Teheranie czeka na transport do Isfahanu w namiocie wojska polskiego w oddzielnym pomieszczeniu, samotna. S. Krystyna wspomina, jak bardzo troskliwie polscy żołnierze się nią opiekowali – w tych ciężkich, wojennych warunkach byli prawdziwymi dżentelmenami. W Isfahanie s. Krystyna przebywa w Zakładzie Nr VI wraz z innymi polskimi dziećmi do roku 1943, kiedy to z półtysięczną grupą polskich dzieci, po około miesięcznej podróży statkiem z Zatoki Perskiej poprzez Ocean Indyjski, dostaje się do Afryki. Tu przebywa w osiedlu polskich dzieci w Związku Południowej Afryki, który był wówczas dominium angielskim. W 1945 r. zostaje przyjęta na pensję Sióstr Szwajcarskich w George Town i przebywa tutaj, a następnie dostaje stypendium od rządu londyńskiego, kończy studia w Kapsztadzie i tutaj też pracuje w banku półtora roku. Ciągłe jednak nurtuje ją myśl o wstąpieniu do zakonu. W wieku 23 lat wyjeżdża do Johannesburga i tam wstępuje do zakonu Karmelitanek Bosych, gdzie po czterech i pół roku składa śluby wieczyste. Tymczasem w Kapsztadzie zostaje założona nowa Fundacja Karmelitańska. S. Krystyna od Krzyża wraca do Kapsztadu i tutaj, w nowej Fundacji Sióstr Karmelitanek Bosych, przebywa do roku 2000. W roku 2000 za specjalnym zezwoleniem generała zakonu Karmelitów Bosych przyjeżdża na rok do Polski, do Karmelu w Częstochowie. Dostaje zezwolenie na odwiedzenie w tym czasie innych zakonów Karmelitanek Bosych. Jednym z klasztorów, które odwiedziła w Polsce był klasztor Karmelitanek Bosych w Spręcowie k. Olsztyna i kiedy s. Krystyna dowiaduje się o spodziewanej likwidacji jej macierzystego zakonu w Kapsztadzie, za zgodą tamtej wspólnoty zostaje w Polsce, rozpoznając w tym wolę Bożą. Decyduje się zostać w klasztorze Sióstr Karmelitanek Bosych w Spręcowie za zgodą tutejszych sióstr. Swoje 50-lecie ślubów zakonnych obchodziła jako pierwsza osoba w tym klasztorze, gdzie jest większość młodych sióstr.

Jadąc 2 II 2003 r. na tę uroczystość do Spręcowa nie byłam pewna, czy będę mogła porozmawiać z wielką Jubilatką – „Afrykanką” i napisać o jej tułaczach drogach do Ojczyzny. Moja wiedza i wyobrażenia o zakonie Karmelitanek Bosych były zupełnie inne niż to, co zobaczyłam w rzeczywistości. Myślałam, że zobaczę ascetyczne, zamknięte siostry, zupełnie nie rozumiejące tego świata. Jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam najpierw uśmiechniętą Matkę Przełożoną, z którą rozmowa sprawiła mi prawdziwą satysfakcję, a potem szczęśliwe twarze młodych sióstr, które w kontemplacji i modlitwie za nas obdarzają nas ogromną miłością, którą trudno pojąć przeciętnemu człowiekowi. Stąd te radosne twarze sióstr, a siostra Krystyna od Krzyża jest tak pogodna i pełna energii, że nikt by nie



Klasztor Sióstr Karmelitanek Bosych w Spręcowie
koło Olsztyna – Fundacja Rodaka na Obczyźnie



Reprodukcja z książki „W stronę domu ojczystego”
Kardynał Stefan Wyszyński, z prawej Lilka – Maria
Wantowska, z lewej Marysia Gabiniewicz.
Choszczówka 1969 r.

przypuszczał, że właśnie w tym dniu obchodziła swoje 75-te urodziny. Pomimo bardzo wielu zajęć i spotkań związanych z uroczystym obchodem dnia, znalazła czas, aby i ze mną porozmawiać, za co jestem Jej bardzo wdzięczna.

Na jubileuszowej uroczystości w Spręcowie miałam szczęście i honor spotkać niezwykle gościa s. Krystynę – „Afrykankę” p. Marię Gabiniewicz – była pracownicę Episkopatu Polski u boku Wielkiego Prymasa Tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego, a obecnie poświęconą pracy w wielkim dziele księdza profesora Zdzisława Peszkowskiego – Kapelana Rodzin Katyńskich i Golgoty Wschodu. Pani Maria swoją ośmioletnią tułaczkę po wywóźce z Kresów Wschodnich przez Syberię, Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenię, Persję, Indie i Afrykę i tutaj pobyt w osiedlu Bwana M'Kubwa w Północnej Rodezji (Zambia) i wreszcie powrót do Kra-

ju, spotkanie z Prymasem Tysiąclecia i pracę u jego boku opisuje w swojej książce „W stronę domu ojczystego”. Do napisania wspomnień skłoniła ją wypowiedź wielkiego Prymasa, który wysłuchawszy jej opowiadań powiedział: „A teraz to wszystko napisz, bo to historia nie tylko twojej Rodziny, ale tysięcy Polaków”. Ta książka to jak cenne perły w dzisiejszym świecie. Jak dobrze, że żyją ludzie, którzy ocalają tamte fakty od zapomnienia. Nie dajmy się więc zwariować, kiedy nam zarzucają fanatyzm, nacjonalizm, nienawiść, ksenofobię, antysemityzm, ciemnogrod i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze tylko dlatego, że **pamiętamy**. Pamiętajmy i nazywajmy rzeczy po imieniu, bo nie można, tak jak to robią niektórzy współcześni politycy, nazywać systemu marksistowskiego fantazją – zbyt dużo krwi przelał ten system, aby fantazją mógł być nazwany, a pamięć jest potrzebna, aby poznawać zło systemów totalitarnych i aby młodzi wiedzieli, że zło nie jest wieczne, że się kończy, a „naród, który traci pamięć, traci życie”. □

Tadeusz Łodziana

Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych 1937-1943 we Lwowie. Wspomnienia (c.d.)

Wojna i 17 września 1939 r.

1 września zbombardowano Skniłów, Dworzec Główny, kamienicę przy ul. Gródeckiej, w bezpośredniej okolicy Bogdanówki, gdzie mieszkaliśmy z rodzicami i bratem. Te pierwsze dni wojny przeżywało się bardzo emocjonalnie.

Natomiast apel pułkownika Umiastowskiego, nadany przez radio w dniu 9 września, aby młodzież wyszła z miasta i udała się na wschodnie tereny kraju, postawił przed nami iście hamletowskie pytanie – „iść czy nie iść”. Wyszliśmy z bratem i czterema kolegami (m.in. braćmi Wojnarami), a za transport służyły nam dwa rowery na tobołki podrózne.

Oplotkami, z dala od głównej szosy na Tarnopol, bombardowanej i zatłoczonej uciekinierami, szliśmy jak na wycieczkę. Na dalekich przedmieściach Tarnopola w dniu 17 września doszła do nas wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski. Z miejsca, raczej intuicyjnie, zrobiliśmy w tył zwrot i znajomymi nam śladami wracaliśmy do Lwowa. Żywność nam się kończyła, za 5 zł kupiłem ugotowaną gęś, chleba nie było, do termosów waliśmy wodę i w drogę. Na drugi dzień, gdy mijaliśmy jakąś wieś, zajeżdżał nam drogę zwiad Kozaków na koniach, a od wsi nadciągali wiejscy chłopcy. Byliśmy okrażeni, sytuacja bez wyjścia. Na pytanie Kozaka: „a wy kto?” – chłopaki, wyszarpując nam rowery powiedzieli: „eto polskie pany studenty”. Na ten rozbrój w biały dzień Kozacy nie zareagowali. Chłopaki na rowerach odjechali. Na okrzyk: „dawaj czas!” oddaliśmy zegarki; Kozacy puścili nas wolno. W takiej sytuacji nie mieliśmy żadnych szans, nie komentowaliśmy tego zajścia, każdy myślał swoje. Dopiero po powrocie, w parę tygodni później, dowiedzieliśmy się, że w Tarnopolu NKWD internowało naszą, zgromadzoną tam na

apel płk. Umiastowskiego, młodzież i wywiozło na wschód. Chyba mieliśmy szczęście, być może zegarkami okupiliśmy naszą wolność.

Dobrze mieliśmy na folwark pod Winnikami, gdzie koczowało nasze rozbrojone wojsko i mnóstwo cywilów, pilnowani przez żołdatów z karabinami na sznurku i w czarnych owijaczach na nogach. Nic do jedzenia, nawet drobiu, wybitego przez naszych żołnierzy, dobrze zaprawionych w ciężkich warunkach wojennych, egzystujących sprawniej niż my, cywile. Pod gołym niebem, w kurzu, na gołej ziemi, bardzo głodni i brudni, w ten, na szczęście bezdeszczowy upalny wrzesień, czekaliśmy trzy dni na efekt targów o Lwów między sojusznikami paktu Ribbentrop-Mołotow.

Nie pamiętam już, czy 23 czy 24 września puszczo nas, cywili, do domów. Widok ulicy Łyczakowskiej utrwalił mi się na zawsze. Na chodnikach leżały już posegregowane sterty rozmaitego sprzętu naszego wojska, głównie uprząży końskiej i siodła. Tego całego majdanu pilnował żołdat z karabinem na sznurku. Dopelnieniem obrazu była kolumna młodocianych kadetów idąca do niewoli, konwojowana pod bagnietami przez żołdatów, a płaczące kobiety nie bacząc na krzyki: „nie-lżja, ubiju!” podawały tym biedakom kawałki chleba.

W milczeniu szliśmy przez całe miasto na Bogdanówkę, ulicami pełnymi śmieci i szkła, mijaliśmy otwarte, splądrowane sklepy i stojące tramwaje. Przewalały się tłumy rozbieganych i zdenerwowanych ludzi, a ulicami szła śpiewając zbита w kolumny Czerwona Armia. Twarze żołdatów azjatyckie, płaskie o lekko skośnych oczach, wystających policzkach, w parczanych pasach, waniało od nich dziegiem, charakterystycznym ostrym zapachem. Obraz deprymujący, uświadamiający naszą klęskę i niewolę.

Okupacja sowiecka 22 IX 1939 – 22 VI 1941

Wspomnienia na temat okupacji „pierwszych Sowietów” przyszło mi pisać w kontekście artykułu w „Gazecie Wyborczej” pt. „Sąsiedzi” i rozpętanej przez mass-media historii wokół Jedwabnego marzec-kwiecień 2001). Domyślać się można, że po 60 latach na rozdrapywaniu zabliznionych ran – zależy komuś, kto ma w tym swój własny interes, zanim prawda o faktach będzie ujawniona.

Nie dopuszcza się myśli, że sprawa tak bolesna powinna być, jak to bywało, załatwiona między sąsiadami i po sąsiedzku. „Sąsiadów” mamy i mieliśmy zawsze – i pisząc te wspomnienia pamiętam o tym.

Wiadomość, że zastrzelono w miejscu pracy dyrektora Miejskich Zakładów Elektrycznych w pierwszym dniu wejścia NKWD do miasta poraziła wszystkich mieszkańców Lwowa.

Wystarczyło parę dni sowieckich porządków, aby zmienić oblicze naszego miasta. Kamienice obandażowane długimi czerwonymi transparentami, z chwytliwymi agitującymi hasłami, wiszące gigantyczne portrety przywódców sowieckich, emblematy sierpa i młota, pięcioramienne gwiazdy, tysiące czerwonych flag, a wśród nich ani jednej biało-czerwonej, zmieniło radykalnie charakter polskiego miasta na radziecki czerwony gorod.

NKWD aresztowało nocami osoby związane z administracją państwową, policjantów, sędziów, adwokatów, wysokich rangą urzędników, polityków, oficerów, inteligencję, osadzając ich w więzieniach Brygidek, Zamarynowa i na Łackiego. Oskarżani byli o agenturę obcego wywiadu, zdradę, szpiegostwo, konspirację, sabotaż i tym podobne przestępstwa polityczne. NKWD było nieprzewidywalne: bezwzględnie i bezlitośnie przy ładowaniu przerażonych ludzi na samochody. Śmiertelnie poważni służbiści, korzystali z donosów usłużnych naszych „sąsiadów”. Krzykiem i kolbami spełniali swoją nikczemną robotę. Byliśmy dla nich „Polaczkami”, wrogami, kłamcami i oszustami.

W październiku dostąpiliśmy „zaszczytu”, włączono nas do Zachodniej Ukraińskiej SRR. Podczas mityngu w Teatrze Opery i Baletu (taką nazwę nadano naszemu Teatrowi Wielkiemu), w obecności I sekretarza Ukrainy, N. Chruszczowa i kontrowersyjnej, łagodnie mówiącej, Wandy Wasilewskiej. „Czerwony Sztandar”, dziennik wydawany po polsku przez okupanta, miał o czym pisać.

W atmosferze powszechnego terroru i strachu w październiku 1939 r. otwarto szkoły i wyższe uczelnie.

Wróciliśmy do Instytutu, który miał już inną nazwę: „Lwowskie Derżawne Chudożnio-Premysłowe Uczyliszcze” i już sowiecką administrację. Na miejscu naszego dyrektora, **Z. Harlanda**, urzędował tow. arch. **Brylant** z Kijowa, który dał się poznać jako amator żydowskich piosenek. Na szczęście nie wtrącał się do spraw dydaktycznych. Jego przeciwieństwem był tow. **Kurenko**, ułomny, miał do tyłu wykręconą uschniętą rękę. Podejrzliwy i czujny, wszędzie go było pełno o każdej porze.

Nie wrócili do budy prof. **A. Michalak** i **T. Wojciechowski**; na ich miejsce z Kijowa przydzielono mal. **Mykoła Fedjuka**. Sympatyczny malarz, drobny, zasużony, z łysiną, opowiadał o Paryżu i o Picassie, którego poznał jeszcze przed Rewolucją Październikową. Uczył rysunku.

Wróciliśmy w komplecie do „uczyłyszcza”. Przyjęto nowych słuchaczy, przeważnie uciekinierów, tzw. „bieżerów” pochodzenia żydowskiego, ze szkół artystycznych Krakowa i Warszawy. Ilość studiujących wzrosła do 350. Bywało głośno i ciasno, ale też ciekawie.

Szkola w nowych warunkach ekonomicznych rozkręcała się powoli. Początkowo naszą zmorą były codzienne mityngi na tematy polityczno-ustrojowo-społeczne.

Komunikat podany na wstępie, że zajęcia na „uczyłyszczu” zaczynać będziemy o dziewiątej rano, a nie jak za „burżuazyjnej pańskiej Polszy o siódmej rano”, był niedorzeczny i kłamliwy. W komunikacie umyślnie zapomniano dodać, że obowiązuje już moskiewski czas. Ich dziewiąta rano to nasza dawna siódma. Entuzjazmu nie okazaliśmy.

Wyszydzano, obrażano nas i naszą „jaśniepańską”. Pytań, czyli „woprosów”, z naszej strony raczej nie było, z fabryk pomarańczy, których w Kraju Rad było „mnogo”, nie śmieliśmy się. Natomiast głośno klaskaliśmy, co podobało się prelegentom. Ileż razy na mityngach, nie tylko w „uczyłyszczu”, powtarzano „nikakoj Polszy nikogda nie budiet”. Milczenie było naszą odpowiedzią. Wiedzano, jak nas upokorzyć. Czyniono to z całą premedytacją, na ciszę nie zwracano uwagi.

Niektórzy prelegenci prowokująco kpili z naszego braku kultury, gdyż nie istniały u nas ani w miastach, ani na wsiach odwieszalnie („banie”), największe osiągnięcie higieny w Kraju Rad. Nie wiadomo było, czy się śmiać, czy płakać nad tym naszym ubóstwem cywilizacyjnym. Pamiętam wywołany temat: „Ucisk człowieka przez człowieka” i kompromitację prelegenta, który zastawił płatny zawód kelnera, fryzjera i lokaja z pracą niewolniczą amerykańskich Murzynów. A hasło: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”, którym się posłużył, było od rzeczy. Zabroniono używania nazwy Żyd, bo podobno obraźliwe, kazano używać słowa Jewrej – co się komu kojarzy. Już nie do Instytutu, a do „uczyłyszcza” do naszej pracowni rzeźby, wróciła nasza ferajna: koleżanki: **Hanka Grabska**, **Tosia Klimowicz**, **Helena Wilkówna** i **Sylwia Gotlib**, koledzy: **Antek Biłas**, **Zbyszek Kulkus**, **Tadeusz Łodziana**, **Adam Smolana**, **Stanisław Sokalski** i **Jakub Epstein** z Krzemieńca oraz Ukraińcy – **Jakub Czajka**, **Włodzimierz Tracz**.

Wrócił również prof. **Marian Wnuk** i wraz z malarzem **Stanisławem Teisseyrem** (po wojnie rektor PWSSP w Poznaniu i Gdańsku, poseł na Sejm), jako ochotnicy bronili we wrześniu Lwowa przed Niemcami.

W Drohobyczku na terenie „Polminu” zastrzelony został kol. **Roman Sitek**; wracał do Lwowa jako zdemobilizowany żołnierz. Wiadomo było, że to „sąsiad” wtedy do Polaka-żołnierza strzelał, nie był to odosobniony przypadek. Nie wrócił z wojny starszy kolega, „**Miećku Cieślewicz**” – postać charakterystyczna, wysoki, chudy i wesoły jak na lwowskie dziecko przystało.

Dramatyczne opowieści relacjonowała nam kol. **Hanka Grabska**, której ojca, profesora UJK w pierwszych dniach „wyzwolenia” aresztowało NKWD, a całą rodzinę wysiedlono z ich domu w Wulce Panieńskiej, za rogatkami ul. Stryjskiej (prof. wrócił do Lublina jako członek PKWN w 1944 r.).

Tymczasem zbliżał się 11 Listopada, Święto Niepodległości, po raz pierwszy obchodzone za sowietów. Kol. **Rysio Kiss**, niewysoki, czupurny, lecz wielki duchem

patriota zorganizował na terenie „uczyłyszcza” zespół koleżanek, które ofiarne wycinały i kleiły dziesiątki lampionów, chorągiewek biało-czerwonych i orzełków, którymi w dniu święta udekorowano mogiły na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Jakoś uszło to uwadze władz szkoły, nie bardzo jeszcze orientujących się w ilości lokali „uczyłyszcza”. Ta nieostrożność mogła się źle dla nas skończyć.

Nie znałem tego epizodu, opisała mi go koleżanka ze Świdnicy, już po naszym zjeździe we Wrocławiu. Zajęcia rozpoczynaliśmy przy świetle elektrycznym o godzinie dziewiątej, czyli dawnej siódmej.

Utrapieniem naszym były tzw. pomoce naukowe, których z każdym dniem ubywało. Skończyły się przedwojenne zapasy brystolu, papieru do akwarel, farb itp. towarów, których nie było już w sklepach p. Zimnego na ul. Batorego, czy p. Barabasza na pl. Bernardyńskim. Radziecki podły gatunkowo papier służył nam od biedy do wszystkich prac, ale o jakości i efektach lepiej nie mówić. Postępująca degrengolada szkoły była początkiem końca dawnego Instytutu.

Zbliżała się zima, Szkoła Techniczna nie miała opał, którego nie było też w magazynach i składach na mieście, bo zapasy węgla i koks zostały wywiezione do Kraju Rad, gdzie, jak głosiła propaganda, ponoć „wsio jest”. Zamontowano nam „kozy”, blaszane piece z długimi rurami wprowadzonymi do kominów, przy samej „kozie” było ciepło i naga modelka mogła pozować. W większe mrozy dogrzewało się elektrycznymi piecykami, ale cieplej nie było.

W „uczyłyszczu” większość stanowili Polacy, kadra pedagogiczna i studenci, toteż wykłady i korekty indywidualne odbywały się w naszym języku. Między sobą studenci nie używali urzędowego języka, byliśmy tolerancyjni wobec siebie, nie był to problem, bo nie tu leżał ciężar naszego wykształcenia. Nie było w tych trudnych czasach w naszej szkole incydentów czy ekscesów natury politycznej.

Niemniej napór ideologiczny, nieunikniony, trwał, pomagali w tym koledzy „sąsiedzi” – Ukraińcy, Żydzi i Rosjanie. Wstępowali do organizacji politycznych m.in. do Komsomołu, agitując niejednego z nas. Jednym z nich był drobny brunecik, **Jarek Syrakuz** z mieszanego małżeństwa podobno ukraińsko-włoskiego. Inteligentny i lojalny, wobec Polaków zachowywał się przyzwoicie; zapamiętałem go jako kolegę z czystym kontem moralnym.

Życie na uczelni powoli normowało się według radzieckiej sztamki, czego nie można powiedzieć o zwykajnym dniu powszednim. Koszmarem były ogonkolejki przed sklepami. Jeszcze przed zajęciami, a więc o siódmej rano naszego czasu, kilku z nas zajmowało kolejkę przed małą piekarnią przy ul. Żyrzyńskiej, obok „uczyłyszcza”. Czasami udało się nam kupić dwa bochenki „komiśniaka”, czarnego chleba z zakalcem, bardzo gorącego, bo wprost z pieca.

Dawny ZPAP zamienił się na „Spilkę” – każdy „chudożnik” mógł się zapisać, również uchodźcy. Zarejestrowani, mogli przyjmować zamówienia na obrazy i rzeźby, które były oceniane przez jury pod względem tematycznym i warsztatowym. Kwalifikowano te, które w treści i formie odpowiadały regułom socjalistycznego realizmu. Powstała również „fabrika chudożnych skulpturnych skorud” przy ul. Piaskowej na Kajzerwaldzie –

fabryka masowych gipsowych odlewów z matryc rzeźb: portretów Lenina, Stalina i innych przywódców oraz kompozycji, na przykład siedzących na ławce Lenina i Stalina. Rzeźby malowano na kolor złota. Starsi koledzy po Instytucie mieli zatrudnienie pod dobrą opieką „politruków”, byli potrzebni. Nie mieli czasu na własną twórczość, pracowali na akord, zapotrzebowanie było ogromne. „Chudożniki” byli poniekąd oczkiem w głowie propagandy. Zamówienia na portrety dostojników w szybkiej technice tzw. „wcierek” potrzebne do dekoracji miast i wsi były zarobkiem i jako tako wystarczały na egzystencję, na przetrwanie.

Rozpoczęta w listopadzie 1939 r. wojna radziecko-fińska – o „wyzwolenie” obszaru Karelii, ziemi rdzennie fińskiej toczyła się w warunkach ostrej zimy. Czerwona Armia poniosła olbrzymie straty, a dzielnym i odważnym Finom sprzyjał skrycie w tej nierównej walce, ciesząc się z ich sukcesów.

Zimą 1940 r. intelektualny Lwów obiegała sensacyjna wiadomość, że NKWD w hotelu George'a podczas suto zakrapianej kolacji aresztowało m.in. poetę, pisarza, sympatyka komunizmu, Aleksandra Wata i Władysława Broniewskiego, znanego lewicującego poetę. Była to prowokacja, jak już po wojnie pisali o tym wydarzeniu w książce „Mój wiek” Aleksander Wat i Kazimierz Żygulski, aresztowany w 1944 r. we Lwowie, delegat rządu w Londynie, po wojnie minister kultury i sztuki w PRL w książce „Jestem z lwowskiego etapu”. Obaj skazani na dziesięć lat łagru. Prowokacji dopuścił się znany scenograf lwowskich teatrów, po wojnie profesor ASP, ceniony artysta, któremu nie podawali ręki ci, którzy znali prawdę, m.in. prof. **M. Wnuk**. Aleksander Wat w poszukiwaniu żony i synka pozostał na „nieludzkiej ziemi”, natomiast W. Broniewskiemu udało się dostać do armii W. Andersa. Z Jerozolimy Broniewski pisał w swoich wierszach, że nie wyobraża sobie Polski bez Lwowa i Wilna. Był legionistą i niewątpliwie gorącym patriotą – a w PRL-u noszony na rękach przez reżim został nazwany „patriotą inaczej”, jak wiele jemu podobnych osób od pióra.

Życie studenckie rozwijało się według wzorów sowieckich. Pojawiły się tablice z fotografiami wyróżniających się w nauce studentów lub aktywistów itp. – takie gazetki ściennie. Powstał też zespół artystycznych tańców ludowych. Inicjatorami były kol. kol. **Janina Litwińska** i **Alina Waltoś**, ładne, zgrabne i fotogeniczne dziewczyny. Opiekunem artystycznym zespołu został znany lwowski tancerz i choreograf Teatru Wielkiego – **Tadeusz Burke** (po wojnie pacował w operze bytomskiej). Wcale udany zespół; tańczyli m.in. **Inka Müller** i wysoki **Kazio Bojcun**, zwany „fryzjerem”, nosił charakterystyczne skąpe wąsy, zawsze starannie ubrany. Występowali na scenie auli Szkoły Technicznej, która zmieniła nazwę na Szkołę Kolejnictwa. Mieli sukcesy i swoją publiczność.

Nie byłem na żadnej imprezie z udziałem zespołu tanecznego, zajmowałem się sportem, co mi na dobre wyszło. Przestano mnie agitować do Komsomołu, od biedy uchodzę za aktywistę od sportu.

W połowie zimy 1940 NKWD i współpracujący z nim nasi „sąsiedzi” przystąpili do zaplanowanych na dużą skalę aresztowań i wywózek na „nieludzką ziemię”, jak trafnie nazwał ten proceder **Józef hrabia Czapski**, arty-

sta malarz, pisarz, żołnierz, więzień stalinowskich łagrów i tułacz. Na wiosnę 1940 r. rozstrzelano oficerów polskich w Katyniu, Miednoje i Ostaszkowie; okłamywany przez NKWD Czapski, już jako dyplomata rządu londyńskiego, daremnie poszukiwał ich po całym Związku Radzieckim.

W miejsce wywiezionych, do zwolnionych mieszkań i domów w mieście i na wsi, wprowadzali się przybysze ze Związku Radzieckiego. Pałace, rezydencje zamieniały na instytucje, a w okazałych willach zamieszkiwała „czerwona burżuazja”, m.in. w willi prof. Bartla N. Chruszczowa i Wanda Wasilewska. Do naszej czteroosobowej rodziny dokwaterowano bezdzietne ruskie małżeństwo, zabierając nam z czteropokojowego mieszkania dwa z umeblowaniem. Przymusowi sąsiedzi byli skromnymi, wystraszonymi, cicho zachowującymi się ludźmi, unikali kontaktów osobistych.

W jednym z pierwszych transportów na wschód pojechała w lutym 1940 r. nasza nauczycielka od tkaniny p. **E. Helm-Pirgo**. Będąc w Londynie w 1986 r. na zaproszenie kol. **Giercuszkiewicz**, też wywiezionej z matką, żoną kapitana Wojska Polskiego, kupiłem książkę pt. „Zew Lwowa” napisaną i ilustrowaną przez **Marianę Helm-Pirgo** rysunkami z IFDIEŁ-ŁAGRU na Uralu i brazami architektury Lwowa. To miła pamiątka z Londynu, a co najważniejsze, o Lwowie.

W czasie wywozek w rodzinnym domu w napięciu oczekiwaliśmy co noc na krzyki: „atkrojtje” i walenia kolbami karabinów we frontowe drzwi. Naszych sąsiadów – rzemieślniczą rodzinę – już pierwszej nocy wywieźli na wschód.

Wywożono przede wszystkim polską inteligencję, rodziny majątne, tzw. burżujów, bogatych chłopów czyli kulaków, bieżęńców, którzy nie dopełnili jakichś formalności, osoby po wyrokach sądowych i innych wrogów ZSRR, ludzi niewygodnych dla władzy. Zasada: „dajcie człowieka, a znajdziemy na niego paragraf” była skuteczna, korzystano z usług „sąsiadów”, wskazywali oni na domniemanych wrogów, czyniąc to dla własnych zysków materialnych czy politycznych. Mieszkańcy Lwowa jeszcze nie ochłonęli po lutowych represjach, gdy w kwietniu NKWD przystąpiło do następnych aresztowań i wywozek. Beznadziejność sytuacji, bezradność i strach były naszym udziałem.

W atmosferze przynębiania miasto szykowało się do święta 1 maja – Święta Pracy, po raz pierwszy tak uroczysto obchodzonego we Lwowie.

„Uczyłyszczę” otrzymało zadanie udekorowania pochodu dzielnicy Snopkowa. Wykonaliśmy godła 16 republik, mnie przypadło godło Karelo-Fińskiej Republiki. Plaskorzeźby o średnicy 1 metra, z gipsu, mokre i ciężkie mocowaliśmy na drewniane stelaże.

Ruszył pochód, który został zastopowany na pl. Świętej Zofii przez trakcję sieci tramwajowej. Okazało się, że przymocowane do ciężarowych samochodów dekoracje nie mieszczą się pod drutami sieci tramwajowej. Wynikła awantura na szczelbu sekretarza partii, posądzano nas o sabotaż, co było oczywistym nonsensem. Szukanie winnych odbywało się na innych szczeblach partyjnych.

Miasto udekorowano wyłącznie na czerwono oraz portretami wodzów rewolucji. Stoły z napojami i żywnością ustawione na trasie pochodu jakoś nie miały wzięcia – klasa robotnicza nadmiaru rubli nie miała. Speculanci tak.

Uciekłem z pochodu, nie byłem ciekawy kulminacyjnych uroczystości na prospekcie Lenina – ul. Legionów.

Á propos 1 maja. Przygoda jednego chudożnika przy pracy nad gigantycznym portretem tow. Berii mogła się dla niego skończyć fatalnie. Podczas przeglądu portretów towarzysze radzieccy oniemieli. Tow. Beria miał podwójnie namalowane oczy, jedno nad drugim. Nie było tłumaczenia – sabotaż i Sybir. Solidarna postawa kolegów malarza, że był to wypadek przy pracy – pomylił się o jedną kratkę przenosząc rysunek – uratowała go przed łagrem. A tak między nami, tow. Beria, szef NKWD miał podwójne oczy, wszystko widział i wiedział o obywatelach. Był wszechwładny. Malarz nieświadomie namalował prawdę.

Nadeszły oczekiwane listy od wywiezionych. Adresów, np. z Workuty czy Kazachstanu, szukało się na mapach; paraliżowały naszą wyobraźnię, bo nie setki, a tysiące kilometrów dzieliły nas od bliskich. Dziwaczne trójkątne listy, adresy pisane cyrylicą na lichym przypadkowym papierze zawierały wieści przerażające, dające wiele do myślenia.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Egzaminy, zaliczenia i wystawa naszego dorobku absorbowały nas bardzo. Otrzymaliśmy indeksy w twardej oprawie, ciemnozielone książeczki w języku ukraińskim. (c.d.n.)

Grzegorz Sobesto – uczeń Szkoły Podstawowej nr 51 we Wrocławiu

Moja rodzina pochodzi z Kresów

Historia mojej łączności z południowo-wschodnimi Kresami dawnej Rzeczypospolitej

Z Podolem, położonym na terytorium obecnej Ukrainy, jestem związany przez pochodzenie mojej Babci, śp. Marii z Blicharskich Sobesto oraz – wspomnienia Dziadka, Juliana Sobesto, który te tereny z wielkim sentymentem odwiedza i o nich opowiada.

Babcia urodziła się w 1923 r. w historycznym Zbarażu w rodzinie o tradycjach nauczycielskich; nauczycielem był mój Prapradziadek – Karol Szul, Pradziadek – Wojciech Blicharski, Ciotki mojej Babci – Kazimiera Jaroszowa i Stefania Bolkotowa, oraz szereg osób spo-

winowaconych z rodziną Szulów. W okresie międzywojennym Pradziadek był kierownikiem szkoły powszechnej w Mikulińcach pod Tarnopolem, a potem – do II wojny światowej – w samym Tarnopolu. Moja Babcia razem z licznym gronem kuzynek spędzała zwykle wakacje u swojej Babci w Zbarażu na Załuzu, w obszernym domu położonym nad rzeką Gniezną, wykorzystywaną do kąpiel, oraz z pięknym sadem owocowym z pasieką. Dla poznania okolicy młodzież jeździła wynajmowanym wozem konnym na wycieczki. W czerwcu

1939 r. Babcia ukończyła gimnazjum ogólnokształcące w Tarnopolu. W nagrodę dostała od ojca złoty zegarek, wakacje spędziła w Żegiestowie Zdroju i zwiedziła przy okazji Kraków. To sielskie-anielskie życie przerwała II wojna światowa. We wrześniu Dziadek, będący porucznikiem rezerwy Wojska Polskiego, został aresztowany przez NKWD i wraz z innymi oficerami wywieziony do Kozielska, a następnie w kwietniu 1940 r. zamordowany w Katyniu. Babcię i jej Matkę wywieziono do Kazachstanu, gdzie przebywały do 1945 r. W czasie tego pobytu Babcia pracowała w Sowchozie (odpowiednik naszego PGR-u) jako zastępca księgowego. Jej zegarek otrzymany od Ojca odmierzał czas dla całego Sowchozu. Jego pracownicy w lecie chodzili na bosaka, jedynie kierownik paradował w gumowych kaloszach. W zimie wszyscy ubierali tzw. walonki (wysokie buty z filcu). Pracownicy Sowchozu, tak jak inni mieszkańcy osiedla, mieszkali w jednoizbowych lepiankach z gliny i słomy, ogrzewanych zimą tzw. kiziakami (brykiety z nawozu bydlęcego zmieszanego ze słomą, suszone na słońcu). Prababka zajmowała się domem. Dzięki krowie, nabytej w drodze wymiany zaraz po wywiezieniu, ich egzystencja była łatwiejsza. Jesienią 1945 r. Babcia ze swoją Matką wróciły do Polski. Tutaj dopiero dowiedziały się, że jedna jest wdową, a druga pólsierotą. Babcia ukończyła w Krakowie liceum ogólnokształcące i zdała egzamin dojrzałości z odznaczeniem. W 1946 r. rozpoczęła studia farmaceutyczne we Wrocławiu i tu poznała mego Dziadka, z którym się pobrali w 1950 r. Po ukończeniu studiów oboje mieszkali i pracowali we Wrocławiu: Babcia w aptekach społecznych, a Dziadek w biurach projektowych. Razem z nimi mieszkała moja Prababka, mój Tato i jego Siostra, czyli moja Ciocia. W 1964 r. przenieśli się z centrum Wrocławia do Leśnicy, gdzie mieszkamy do dnia dzisiejszego. Tutaj Tato i Ciocia ukończyli szkołę podstawową, a następnie Liceum Ogólnokształcące nr 6 na Pił-



Moi dziadkowie – Maria z Blicharskich i Julian Sobesto. Rok 1950

czkach. Studiowali na uczelniach wrocławskich. Babcia zmarła w 1975 r., a Prababka w 1983, przeżywszy 90 lat. Moi rodzice pobrali się w 1977 r., a ja urodziłem się w 1989 r.

To, co tutaj napisałem, znam z opowiadań mojego Dziadka. Dowiedziałem się, że Babcia była bardzo rodzinna, towarzyska, życzliwa i powszechnie lubiana. Przez całe życie chętnie wracała wspomnieniami do czasów szczęśliwego dzieciństwa i kochającego Ojca, który ją nazywał Marietką. Imieniem tym nazywały ją również koleżanki, których miała bardzo dużo. Nie wiem, czy by chętnie pojechała na tereny, na których spędziła swoje dzieciństwo i młodość, bo w czasach, gdy żyła, było to nie do pomyślenia. W owym okresie niebezpieczne było nawet przyznawanie się do pokrewieństwa z ofiarą Katynia, choć oficjalna wersja obciążała za ten mord Niemców. Ale myślę, że gdyby mogła to chętnie by tam pojechała. Musiałaby jej wystarczać kontakty z rodziną i znajomymi z tamtych stron, z którymi wymieniała wspomnienia o minionych latach szczęśliwej młodości.

Na Kresy Wschodnie pojechał dopiero Dziadek, który – mimo że pochodzi z Krakowa – od razu się w nich zakochał. Miłością do tych terenów zapalał dzięki lekturze Trylogii Sienkiewicza, a szczególnie „Ogniem i mieczem”. Pierwszy raz pojechał na ośmiodniową autokarową wycieczkę do Lwowa w 1996 r. Poznał wówczas dość dobrze sam Lwów, w którym mieszkał, oraz szereg zabytkowych obiektów o wartości historycznej na terenie byłego Województwa Ruskiego, m.in.: Rudki, Lubień Wielki, Świrz, Stare Sioło, Rohatyn, Brzeżany.



Lwów – mój Dziadek na tle Pomnika Mickiewicza. Rok 2000

W czasie kolejnej wycieczki (1999 r.) poznał bliżej Ziemię Halicką, jadąc od Sądowej Wiszni przez Gródek Jagielloński, Sambor, Borysław, Drohobycz, Truskawiec, Stanisławów, Kołomyję, Jaremcze, Kosów, Kutu, Czerniowce, Chocim, Kamieniec Podolski, Gródek Podolski, Trembowłę, Tarnopol, Zbaraż, Złoczów, Gliniany do Lwowa. Dzięki wspaniałej pogodzie mógł podziwiać przyrodę dzikiej Huculszczyzny, potężne, znane z historii, twierdze w Chocimiu i Kamieńcu Podolskim. Z tej wycieczki Dziadek przywiózł mojej Mamie welniany huculski włochacz na tapczan.

Trzecia wycieczka, również autokarowa, poruszająca się trasą podobną do poprzedniej, pogłębiła znajomość Podola o kolejne miejscowości: Przemyślany, Halicz z ruinami średniowiecznego zamczyska, Worochtę (wycieczka na Howerlę (2064 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Czarnohory, skąd Dziadek miał możliwość podziwiania pięknych krajobrazów i przyrody Karpat Wschodnich), Zabie, Śniatyn, Zaleszczyki, Czortków, Buczacz, Jazłowiec z ruinami średniowiecznego zamczyska i klasztorem sióstr Niepokalanek, Mikulińce, przepiękny Krzemieniec – miejsce urodzenia Juliusza Słowackiego, z pamiątkami po nim i Górą Bony oraz Począjów z prawosławnym monasterem, odpowiednikiem naszej Jasnej Góry, Olesko z zamkiem Sobieskich, w którym urodził się król Jan III. Zakończeniem tej wycieczki był również Lwów. Tutaj raz jeszcze zwiedzał Dziadek centrum Starego Miasta, Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Orląt Lwowskich oraz podziwiał panoramę miasta z Kopca Unii Lubelskiej. Z tej pięknej wycieczki przywiózł następny włochacz huculski, tym razem na tapczan dla mojej Cioci. W ubiegłym roku Dziadek po raz czwarty odwiedził Kresy. Tym razem celem wycieczki był głównie Wołyń, z Kijowem włącznie. Trasa prowadziła przez Kowel, Łuck, Dubno, Równe, Ostrog, Sławutę, Szepietówkę, Żytomierz do Kijowa, i z powrotem przez Berdyczów, Winnicę, Bar, Płoskirów, i ponownie Tarnopol, Zbaraż, Począjów do Lwowa. Dużym przeżyciem był widok zniszczonego przez pożar wspaniałego zamku w Podhorcach pod Lwowem. Obiekt, należący ostatnio do książąt Sanguszków, przeznaczono po wojnie na szpital dla umysłowo chorych. Jeden z pensjonariuszy zaproszył ogień, który pochłonął szybko wszystko, co było palne. Zostały tylko mury, świadczące o dobrym guście właścicieli zamku. Teraz, po kilkudziesięciu latach od pożaru, prowadzone są prace remontowe. W sąsiedztwie zamku stoi wspaniały kościół w stylu późnego

baroku, wybudowany w formie rotundy, według wzorów włoskich. Jest zamknięty na głucho, a czas i warunki atmosferyczne robią swoje.

W czasie każdego pobytu we Lwowie Dziadek odwiedzał miejsca świadczące o jego polskich korzeniach, szczególnie wspaniałe zabytki architektury: kościoły, pałace, obiekty użyteczności publicznej, a także cmentarze. Za każdym razem obserwował poprawę zewnętrznego wyglądu miasta. Dzieje się to dzięki zakwalifikowaniu Lwowa do zabytków światowych i związanym z tym dotacjom z UNESCO. Niestety, nie dotyczy to cmentarzy, także Łyczakowskiego, gdzie większość zabytkowych grobowców i nagrobków niekonserwowana ulega działaniom czasu i wpływów atmosferycznych. Na ich miejscu pojawiają się nowe groby, niestety brzydkie. Obok Cmentarza Orląt Lwowskich powstaje nekropolia ukraińska. Nie wiadomo, kiedy dojdzie do otwarcia Cmentarza Orląt. W świadomym zapomnieniu stoi prowizoryczny krzyż upamiętniający miejsce stracenia w 1941 r. profesorów lwowskich wyższych uczelni, a na trwały obiekt brak jest zgody władz miasta. Pocieszający w tym wszystkim jest fakt, że Polacy mieszkający na tych terenach, mimo tego, że często nie rozmawiają na co dzień po polsku, czują jednak więź z krajem swoich przodków i do polskości się przynajmniej. W kościołach rzymskokatolickich na Ukrainie, prócz stałych wiernych w nabożeństwach uczestniczą nie tylko grekokatolicy, ale również i prawosławni. Dlatego nie do przecenienia jest rola Kościoła oraz naszych księży, którzy na tych terenach pracują. Są to najczęściej ludzie młodzi, energiczni, potrafiący się adaptować do aktualnych warunków. Przykładem może być proboszcz kościoła w Zbarażu, bernardyn z Kalwarii Zebrzydowskiej, który podniósł z ruin piękny barokowy kościół i oddał go do użytku wiernych. Podobna sytuacja występuje w Szepietówce i Winnicy, gdzie powstały w krótkim czasie całkowicie nowe kościoły.

Naszym rodakom żyjącym na dawnych Kresach Rzeczypospolitej prócz pomocy materialnej potrzebne jest wsparcie duchowe i pamięć o nich. Każdego Polaka przybyszającego z kraju przyjmują z otwartymi rękami zgodnie z naszą tradycją: „czym chata bogata, tym rada”.

Wspomnienia te przekazał mi mój Dziadek, który pomógł mi również w ich napisaniu. Serdecznie mu za to dziękuję i obiecuję, że w niedługim czasie przeczytam „Ogniem i mieczem”, do czego mnie stale zachęca. □

Towarzystwo zrzesza dziś przede wszystkim osoby, które, czy to pochodzeniem, czy też sentymentem czują się związane z ziemią leżącą obecnie za kordonem granicznym, a które przez wieki odgrywały tak ważną rolę w historii i świadomości naszego narodu. Przy okazji tej warto też pamiętać o związkach, jakie łączyły kiedyś nasze miasto Ostrowiec ze Wschodnią Małopolską i jej stolicą Lwowem.

Dwa były takie w historii Polski szczególne okresy, kiedy ostrowianie i lwowianie mieli wiele okazji do wzajemnych kontaktów. Pierwszy z nich to druga połowa wieku XIX. Wtedy to uczelnie wyższe w Galicji były jedynymi, w których Polacy kształcić się mogli w języku ojczystym. Korzystali z tego także absolwenci Królew-

skiego Gimnazjum w Ostrowie. Drugim takim okresem były lata II Rzeczypospolitej, kiedy wielu galicyjskich nauczycieli i urzędników przybyło do Wielkopolski, w tym i do naszego miasta, aby pomagać w repolonizacji szkolnictwa po latach zaborów.

Dwaj profesorowie

W roku 1863 władze pruskie wydalili z ostrowskiego gimnazjum 60 uczniów za to, iż publicznie śpiewali pieśń „Boże coś Polskę”, czym pragnęli zademonstrować swoją solidarność z powstańcami walczącymi wtedy na terenie Królestwa Polskiego przeciwko Moskalom. Wśród relegowanych wtedy ze szkoły byli m.in. Antoni Kalina i Teofil Ciesielski. Obaj zmuszeni byli przenieść się do Śremu, gdzie ostatecznie zdali egzaminy maturalne. Obaj też później studiowali na uniwersytetach niemieckich, Ciesielski nauki przyrodnicze, a Kalina historię, filologię klasyczną, polonistykę i slawistykę. Obaj też po uzyskaniu doktoratów otrzymali profesury na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Ciesielski zasłynie jako wybitny botanik, znawca ogrodnictwa i pszczelarstwa. Kalina natomiast jako doskonały slawista, badacz języków południowosłowiańskich oraz historii języka polskiego. Życie swoje obaj profesorowie na zawsze związali też z Lwowem. Obaj przez wiele lat zasiadali w Radzie Miasta Lwowa. Prof. Kalina był też rektorem lwowskiego Uniwersytetu. Miejsce wiecznego spoczynku znaleźli też na najpiękniejszej z lwowskich nekropolii – Cmentarzu Łyczakowskim.

Warto w tym miejscu wspomnieć o jeszcze dwóch absolwentach ostrowskiego gimnazjum związanych z Lwim Grodem. Byli nimi doc. dr Jan Leciejewski, slawista i etnograf, pracownik naukowy Uniwersytetu Lwowskiego oraz dr Kazimierz Bronikowski, polonista i germanista, nauczyciel lwowskich gimnazjów.

Repolonizacja

Drugim okresem wzajemnego przenikania się ostrowian i lwowian były lata II Rzeczypospolitej. Wtedy to wielu mieszkańców Kresów Południowo-Wschodnich, szczególnie nauczycieli, przybyło do Ostrowa, aby pomagać po latach zaborów w repolonizacji miejscowego szkolnictwa. Obie ostrowskie uczelnie, tak gimnazjum męskie jak i szkoła żeńska, były placówkami silnie zgermanizowanymi, przede wszystkim w sensie kadrowym. Galicja natomiast jako ta dzielnica dawnej Polski, która jako jedyna posiadała polskie szkolnictwo wszystkich szczebli, dostarczyć mogła Wielkopolsce potrzebnych tutaj dobrze wykształconych nauczycieli.

Osobą, której przypadło zadanie repolonizacji ostrowskiego gimnazjum, był urodzony w Borysławiu Jan Friedberg – historyk, absolwent Gimnazjum w Drohobyczu i Uniwersytetu Lwowskiego. Przybył on do Ostrowa we wrześniu 1919 r. z Gimnazjum nr 3 we Lwowie, w którym przedtem nauczał. Pracował w naszym mieście do roku 1924. Przez te pięć lat przyczynił się on w dużym stopniu do przywrócenia ostrowskiej uczelni polskiego charakteru. O profesorze Janie Friedbergu warto pamiętać z jeszcze jednego powodu. Był on autorem, wspólnie z Anatolem Lewickim, popularnego podręcznika gimnazjalnego „Zarys historii Polski”. Książka ta, po półwieczu nieobecności, pojawiła się niedawno ponownie na rynku dzięki Wydawnictwu „Antyk”.

Wspomnieć należy tutaj dr. Tadeusza Eustachiewicza. Urodzony w Chodorowie koło Lwowa, absolwent Gimnazjum w Brzeżanach oraz Uniwersytetu Lwowskiego. Ten filolog klasyczny i polonista pracujący w gimnazjum ostrowskim w latach 1919-1928 to nie tylko wybitny językoznawca, ale także autor pierwszego w języku polskim „Zarysu dziejów Gimnazjum w Ostrowie”. Praca ta, opublikowana w roku 1927, przedstawiała historię szkoły od jej założenia do odzyskania przez Polskę niepodległości.

W roku 1926 zawitał w mury ostrowskiego gimnazjum dr Józef Jachimiek. Ten polonista urodzony w Dobromilu na Ziemi Lwowskiej, absolwent Gimnazjum w Samborze oraz Uniwersytetu Poznańskiego związał się z naszym miastem na całe swoje długie życie. Pracował w ostrowskim gimnazjum do roku 1961, a w latach 1945-1948 był jego dyrektorem. Gimnazjum zawdzięcza mu przede wszystkim promowanie szkolnego teatru oraz opiekę nad szkolnym pismem „Promień”.

Kolejnym przybyszem z Galicji był Zygmunt Irzabek. Filolog klasyczny, polonista i germanista urodzony w Malechowie niedaleko Lwowa, absolwent Gimnazjum w Brodach oraz Uniwersytetu Lwowskiego kierował ostrowskim gimnazjum przez pięć lat (1926-1931).

Podczas pobytu w Ostrowie, jako człowiek rozmiłowany w muzyce, doprowadził do rozwoju szkolnej orkiestry oraz walczył o powstanie chóru męskiego „Echo” w Ostrowie.

Nie można tu wreszcie nie wspomnieć o postaci prof. Antoniego Serbeńskiego, artysty-malarza rodem z Kresów, urodzonego w Potoku Złotym na Podolu (powiat buczacki). Zanim ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, także i on studiował na Uniwersytecie Lwowskim (Wydział Prawa). W ostrowskim gimnazjum pracował jako nauczyciel plastyki zaledwie przez cztery lata (1927-1931), pozostawił po sobie jednak spuściznę wyjątkową. Wspólnie ze Stefanem Szmajem ozdobił aulę szkoły piękną młodopolską polichromią oraz medalionami wielkich Polaków.

Postacią, która łączyła Ostrowiec z Kresami była też prof. Maria Bojarska. Polonistka i filolog klasyczny, urodzona w Bodzanowie koło Trembowli na Podolu, absolwentka Gimnazjum w Samborze, studentka Uniwersytetu Lwowskiego i absolwentka Uniwersytetu Poznańskiego. Przybyła do Ostrowa w roku 1931 i podobnie jak dr J. Jachimiek związała się z naszym miastem na resztę swojego życia. W latach 1935-1954 była dyrektorem Gimnazjum i Liceum Żeńskiego. Szczególną jednak rolę odegrała podczas okupacji niemieckiej, kiedy to zorganizowała na terenie Ostrowa tajne nauczanie i kierowała nim na terenie całej południowej Wielkopolski.

Wojna

Pośród wielu ostrowian, którzy oddali swoje życie za Polskę podczas II wojny światowej – trzeba wspomnieć w tym miejscu dwoje – Zygmunta Ertela oraz Marię Szembekównę. Zygmunt Ertel był absolwentem Gimnazjum Męskiego w Ostrowie, uczestnikiem Powstania Wielkopolskiego, pułkownikiem Wojska Polskiego, kawalerem Orderu Virtuti Militari. Wybuch wojny zastał go we Lwowie, gdzie pełnił funkcję wicedyrektora Poczty i Telegrafów. Aresztowany w październiku 1939 r. przez Sowieców, został przez nich zamordowany w więzieniu w Kijowie.

Jarosław Biernaczyk

Lwowskie reminiscencje

(Przedruk z „Gazety Ostrowskiej”)

W październiku ubiegłego roku powstało w Ostrowie „Koło Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”. Na pierwszy rzut oka można by zadać sobie pytanie: „Gdzie Rzym, gdzie Krym?”. Co wspólnego ma nasze miasto z Lwowem i jego okolicami? Jeśli jednak przyjrzymy się temu tematowi bliżej, to okazuje się, iż związków ostrowsko-lwowskich wcale nie jest tak mało.

Maria Szembekówna natomiast pochodziła z zasłużonego dla regionu ostrowskiego rodu. Ojciec jej Bogdan hrabia Szembek był właścicielem majątku w Wysocku oraz znanym działaczem polskim tak u schyłku epoki zaborów jak i w Polsce niepodległej. Maria po ukończeniu Gimnazjum Żeńskiego w Ostrowie wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek i przyjęła imię zakonne Laetitia. Wybuch wojny zastał ją w słynącym z cudownej figury Matki Boskiej klasztorze w Jazłowie na Podolu. Siostra Maria Laetitia podzieliła los wielu Polaków żyjących na Kresach – w roku 1944 zamordowana została przez ukraińskich nacjonalistów.

Postacie, które wymienione zostały w tym artykule, z pewnością nie wyczerpują tematu „związki ostrowsko-lwowskie”. Były to jednak osoby, które szczególnie zaznaczyły się w historii kontaktów Ostrowa z Lwowem oraz Kresami Południowo-Wschodnimi.

„Kolo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich” w Ostrowie postanowiło jedną z tych postaci wybrać na swojego patrona. Został nim profesor Antoni Kalina. Warto jednak, abyśmy pamiętali także o pozostałych, którzy życiem swym zbliżyli kiedyś do siebie dwa miasta, wydawałoby się tak odległe od siebie. □

Ludmiła Podgórska

„Kawiarnia Szkocka” w Warszawie przy Abrahama 10

Od wielu lat uczę matematyki w szkole, która mieści się w budynku położonym przy ulicy generała Abrahama 10. Najpierw była to Szkoła Podstawowa nr 328 imienia Orłąt Lwowskich, później Gimnazjum nr 27, które przejęło imię zlikwidowanej „podstawówki”.

Wśród wielu zwyczajów, wywodzących się z nieistniejącej już szkoły, na plan pierwszy wysuwa się kultywowanie tradycji związanych z patronem i prowadzenie zajęć metodą projektu, których przygotowanie i prezentacja należy do obowiązków uczniów klas drugich. Młodzież może sama wybrać zagadnienie i przedstawić je społeczności szkolnej w dowolnej formie.

Ponieważ w bieżącym roku szkolnym pełnię funkcję wychowawcy klasy drugiej, postanowiłam zainspirować moich podopiecznych do działania i opowiedziałam im historię „Kawiarni Szkockiej”, która w latach przedwojennych skupiała „śmietankę” matematyków – najtęższych głów z dziedziny nauk ścisłych. Mimo że nasi gimnazjaliści posiadają dużo wiedzy na temat Lwowa, z zaciekawieniem słuchali przekazywanych informacji. Mówiłam więc o zwyczajach panujących w nietypowej kawiarni, o „Księdze Szkockiej” i prowadzących ją ludziach. Po moich wyjaśnieniach uczniowie pojęli – to, co oczywiste jest dla każdego lwowiaka – że „Szkocka” nie ma nic wspólnego ze Szkocją, ale za to oni mają gotowy pomysł na przygotowanie projektu. Zrozumieli również, że godne pochwały jest popularyzowanie wielkich osiągnięć lwowskich matematyków wśród uczniów gimnazjum imienia Orłąt Lwowskich.

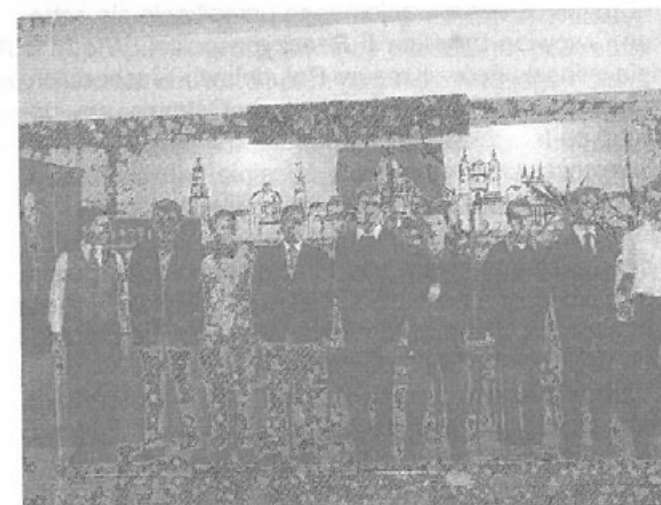
Teraz już wszyscy zabrali się do pracy. Rozpoczęło się zbieranie materiałów. Uczniowie surfowali po Internecie, przeglądali słowniki i encyklopedie.

Mnie udało się dotrzeć do „Przypadku matematyka” Stanisława Ulama i biografii Stefana Banacha opracowanej przez Józefa Kozieleckiego „Stefan Banach – geniusz ze Lwowa”. Dzięki uprzejmości znajomych pani Jadwigi Lisiak – współpracującej ze mną polonistki – zapoznałam się z aforyzmami zawartymi w „Słowniku racjonalnym” Hugona Steinhausa i przynajmniej część z nich uczniowie mogli wykorzystać w przygotowywanym projekcie.

Wyniki naszych wspólnych poszukiwań zaowocowały stworzeniem roboczej wersji planu przedstawienia. I tu znów musieliśmy poprosić o pomoc panią Jadwigę Lisiak. Pod jej czujnym okiem powstał ostateczny wa-



Matematycy dyskutują w „Szkockiej”.



Dyskusję przerwała lwowska piosenka.

riant prezentacji. O jego oprawę plastyczną zadbała pani Katarzyna Kucharska. Podczas lekcji plastyki uczniowie przygotowali scenografię i rekwizyty.

Na informatyce zaś opracowali prezentacje komputerowe dotyczące wydarzeń z życia i pracy naukowej wybitnych matematyków ze Lwowa. Przy ich konstruowaniu skorzystali z rad i pomocy pani Elżbiety Skrabę – nauczycielki informatyki.

Tak zakończyła się praca nad gromadzeniem materiałów, przygotowaniem scenariusza, scenografii, rekwizytów i komputerowych prezentacji.

Teraz nastąpił przydział ról i wielogodzinne próby. Kiedy wybiła godzina „0”, czyli 21.01.2003, na pięknie udekorowanej scenie pojawiły się dwie narratorki. Ich zadanie polegało na przybliżeniu widzom atmosfery panującej w „Szkockiej” i zaprezentowaniu sylwetek jej bywalców. Kiedy ich rola dobiegała końca, na scenie pojawili się młodzi aktorzy grający Banacha, Steinhausa, Kuratowskiego, Mazura i Ulama. Nie przejmując się sugestiami kelnerek, które proponowały grę w szachy, kontynuowali rozwiązywanie problemów matematycznych. Swoje przemyślenia – ku utrapieniu pracownic kawiarni – zapisywali na blacie stolika. Gdy wybitni matematycy opuścili lokal, kelnerki dały upust swemu niezadowoleniu. Sytuację uratowała pani Lucja Banachowa, która przyniosła do kawiarni zwykły zeszyt w kratkę. Od tej pory jej mąż i jego koledzy w nim właśnie zapisywali swoje oryginalne zadania. W ten sposób powstała słynna „Księga Szkocka”. Za rozwiązanie zamieszczonych w niej problemów przyznawano nagrody. Zgodnie więc z historyczną prawdą na naszej scenie pojawiła się piękna gęś – nagroda obiecana za przeprowadzenie dowodu pewnego twierdzenia. By zadbać o dostarczenie odbiorcom jak największej ilości cennych informacji, do kawiarni przybył również profesor von Neuman, który usiłował nakłonić Banacha do wyjazdu do USA. Decyzja Stefana Banacha o pozostaniu we Lwowie zakończyła spektakl nagrodzony gromkimi brawami przez widzów. Pracę uczniów klasy II A docenili ich koledzy ze szkoły oraz rodzice i zaproszeni goście. Wśród nich znaleźli się przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich na czele z przewodniczącym Oddziału Stołecznego panem Ryszardem Orzechowskim oraz wiceburmistrz Dzielnicy Praga Południe pan Mateusz Mroz.

Po przedstawieniu goście mieli okazję, by zapoznać się z komputerowymi prezentacjami popularyzującymi wiedzę dotyczącą słynnych matematyków.

Wszystkim bardzo podobał się projekt przygotowany przez drugoklasistów. Uczniowie odnieśli zasłużony sukces. Ich powodzenie można uznać za doniosłe, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że przynajmniej część wypowiedzianych kwestii pozostała dla nich niezrozumiała, co wynikało z tego, że trudno było mówić o matematyce wyższej bez tej matematyki, zaś zagadnienia, którymi zajmowali się Banach, Ulam, Steinhaus i inni, są niezrozumiałe nie tylko dla gimnazjalistów, ale również dla zdecydowanej większości licealistów. Tak więc nadal niejasne jest pojęcie przestrzeni mierzalnej i niemierzalnej, przestrzeni Banacha czy problem dzielenia kuli na dwie o takiej samej objętości. Myślę jednak, że już sam fakt, iż uczniowie zetknęli się z wymienionymi pojęciami oraz kilkoma, które bez większych problemów zrozumieli, przyniesie im wymierne korzyści. Pożytkiem, według mnie, jest także to, że przekonali się, iż w nauce światowej pojawiają się sylwetki wybitnych Polaków, a co za tym idzie mieli okazję poczuć się pełnoprawnymi obywatelami Europy dumnymi z osiągnięć rodaków.

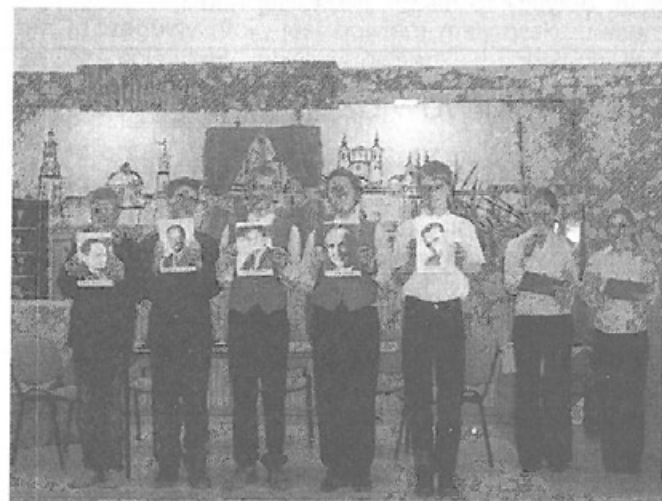
Przygotowanie prezentacji wpłynęło także pozytywnie na integrację klasy. Moi wychowankowie bardzo przeżywali przygotowania do występu, czuli się odpo-



Nagrodą za udowodnienie twierdzenia była żywa gęś.



Banach nie przyjął propozycji von Neumana.



Matematycy i aktorzy

wiedzialni za jego przebieg, pomagali sobie. Ponadto projekt „Kawiarnia Szkocka” dał uczniom i widzom możliwość spotkania się z matematyką w inny sposób niż tylko rozwiązywanie zadań.

Chciałabym serdecznie podziękować wszystkim, którzy uczestniczyli w przedsięwzięciu realizowanym przez uczniów klasy II a.

Zdjęcia wykonała Halina Ostrowska

Stan badań nad polską nauką i uczelniami we Lwowie

Lwów przez sześćset lat był ważnym ośrodkiem polskiej myśli kulturalnej i naukowej, który kształtował tożsamość polskiego społeczeństwa, zwłaszcza w okresie zaborów i drugiej Rzeczypospolitej. Działalność kilku uczelni, zwłaszcza Uniwersytetu Jana Kazimierza, oraz innych placówek naukowych, w tym Ossolineum, a także teatrów, redakcji czasopism, wydawnictw i muzeów na trwałe wpisała się w polską historię i kulturę. W wyniku pojałtańskiego podziału Europy Lwów znalazł się poza granicami naszego kraju i podporządkowany sowieckiej dominacji został opuszczony przez większość polskich mieszkańców. Równocześnie w oficjalnej PRL-owskiej historiografii na długie lata zapadła, wspierana przez cenzurę, wstydliva zmowa milczenia na temat polskiej historii Lwowa, dziejów jego kultury i nauki oraz innych osiągnięć jego mieszkańców. Co najmniej dwa pokolenia Polaków wyrosły w niewiedzy o znaczeniu i zasługach tego miasta dla polskiej historii. Wydawane w ośrodkach politycznej emigracji prace kultywujące zalety i zasługi Lwowa docierały do kraju w ograniczonym zakresie i wypełnić tej luki nie były w stanie. Dopiero po przemianach ustrojowych zapoczątkowanych w roku 1989 i odzyskaniu suwerenności państwowej zaczęto nadrobić pięćdziesięcioletnie zaniedbania utrudnione faktem, że pokolenie pamiętające przedwojenne lata polskiego Lwowa jest coraz mniej liczne. Pojawiła się fala artykułów i książek, początkowo popularnych, potem także naukowych, przywracających Lwów i jego dzieje polskiemu społeczeństwu. Są jednak jeszcze zaniedbane dziedziny, w których ilość i poziom publikacji ciągle nie są wystarczające, m.in. dotyczy to historii lwowskiej nauki.

Z uznaniem więc należy ocenić ukazanie się w ubiegłym roku książki Wiesławy Chrzanowskiej *Osiągnięcia i działalność naukowa polskiej uczelni weterynaryjnej we Lwowie w latach 1881-1939*, opublikowanej jako 434 numer „Zeszytów Naukowych Akademii Rolniczej we Wrocławiu”. Pozycja ta wraz z monografią piszącego te słowa *Nauki weterynaryjne we Lwowie do roku 1945*, opublikowaną w roku 1999 przez Instytut Studiów Wschodnich w Rzeszowie stanowią pierwsze całościowe ujęcie dziejów Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, tej jedynej w naszych dziejach samodzielnej uczelni weterynaryjnej. Już nieco wcześniej podobnego opracowania doczekała się Politechnika Lwowska dzięki publikacji Zbysława Popławskiego z roku 1992 *Dzieje Politechniki Lwowskiej 1844-1945*, wydanej nakładem Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Wrocławiu i opublikowanej przez Politechnikę Wrocławską pracy zbiorowej *Politechnika Lwowska 1844-1945*. Ciągłe jednak brak całościowej monografii Uniwersytetu Lwowskiego, a zwłaszcza jego dziejów w okresie międzywojennym, ponieważ opublikowana w roku 1894 przez Ludwika Finkiela i Stanisława Starzyńskiego *Historia Uniwersytetu Lwowskiego* opisuje tylko jego najstarsze dzieje i dla zwykłego czytelnika jest dzisiaj trudnodostępna. Nie ma także monografii poświęconych dziejom Akademii Rolniczej w Dublanach oraz innych placówek prowadzących działalność naukową, m.in. lwowskiego Ossolineum czy Muzeum im. Dzieduszyckich. Zarówno ich rola, jak i lwowskich uczelni w dziejach polskiej kultury trudna jest do przecenienia i zasługują w pełni na ukazanie ich działalności w całościowych, naukowych opracowaniach, a nie tylko okazyjnych, przyczynkarskich i wspomnieniowych artykułach. □

Alicja Wolwicz

Sanoccy kresowianie

Przemijający czas zwykle skłania ludzi do zastanowienia i jakby bilansu zamierzeń spełnionych lub nie, faktów zaplanowanych albo przypadkowych.

Przed rokiem w 2 numerze „Semper Fidelis” czytelnicy mogli przeczytać artykuł pt. „Pamiętamy” mówiący o kontaktach sanockiego Klubu TMLiKPW z Polakami zza wschodniej granicy. Dzisiaj będzie to jak gdyby ciąg dalszy, ale uzupełniony informacjami o różnych formach naszej klubowej działalności.

Jest oczywiste, że centrum naszego zainteresowania to sprawy związane z przeszłością i teraźniejszością Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, czyli z naszymi korzeniami i „krajem lat dziecińczych”.

W minionym roku mieliśmy możliwość wysłuchania opowieści o różnych miejscach bliskich naszemu sercu, zobaczyć przeżroczka, zdjęcia, ilustracje, a także uczestniczyć w krótkich wycieczkach.

Od lat przyświeca nam cel – pomoc rodakom na Wschodzie, więc i w minionym roku było to aktualne.

W marcu 2002 r. gościliśmy na naszym klubowym spotkaniu przewodniczącą Towarzystwa Kultury Polskiej

Ziemi Lwowskiej w Dobromilu, Kazimierę Hamadową. Z zainteresowaniem słuchaliśmy opowieści o losach Polaków w Dobromilu i okolicy w czasie wojny i po wojnie oraz o dzisiejszej ich egzystencji i o działalności TKPZL. Cieszy nas, że około 30 dzieci uczy się tam języka polskiego, że niektóre z nich wyjeżdżają potem na studia do Polski. Pani Hamadowa była głęboko poruszona spotkaniem z rodakami, ze wzruszeniem dziękowała za zaproszenie i otrzymane dary.

Członek sanockiego Klubu, Jerzy Kowalewski, przez cały ubiegły rok szkolny uczył jęz. polskiego w Polskiej Szkole Sobotniej w Sąsiadowicach – 15 km od Chyrowa (w bieżącym roku szkolnym wraz z żoną, również polonistką, uczą jęz. polskiego w Grodnie). Po świętach Wielkanocnych, 7 kwietnia ub. r. zorganizował w sąsiadowickiej szkole świąteczne spotkanie połączone z konkursem wiedzy o Polsce i loterią fantową. Uczniowie wykazali się sporą wiedzą o historii i teraźniejszości naszego kraju, a drobiazgi wygrane na loterii (każdy los wygrał) sprawiły im dużo radości. Tradycyjny stół wielkanocny – babki, szynki, baranki, czekoladowe pisanek itd. – został przygotowany przez panią z sanockiego Klubu TMLiKPW – Mieczysława Czopor i Urszulę Pańczyk, a jego obfitość pochodziła od sanockich sponsorów – prywatnych osób i drobnych firm. Wśród przy-

wiezionych darów była odzież, polska prasa i na specjalną prośbę uczniów sportowe koszulki z polskimi symbolami.

Na początku czerwca ub. roku grupa dzieci z Sąsiadowic i Chyrowa spędziła kilka wakacyjnych dni w Sanoku. Organizatorem był Jerzy Kowalewski. Jak zwykle znaleźli się sponsorzy tego pobytu, jak i wycieczek do Krakowa, Łańcuta i w Bieszczady oraz innych rozrywek. Część dzieci była goszczona przez członków naszego Klubu (noclegi, śniadania, kolacje). Dzieciaki zadowolone z pobytu, pełne wrażeń, uradowane podarkami wróciły do swych rodzinnych domów. Osoby goszczące małych przybyszów były szczęśliwe, że mogły przyczynić się do tego, że przeżyły w Polsce i naszym mieście trochę radości.

W listopadzie ub. roku na spotkaniu klubowym zebrani zadeklarowali składkę pieniężną z przeznaczeniem na paszporty dla dzieci ubogich polskich rodzin w Chyrowie i Sąsiadowicach celem umożliwienia im przyjazdu wakacyjnego do Polski. Akcja „paszport” zajęły się, jak zwykle niezawodne i niezmordowane, panie M. Czopor i U. Pańczyk. W imieniu Klubu TMLiKPW dotarli do kilku instytucji, firm oraz osób prywatnych, co zostało uwieńczone skutkiem nie byle jakim. 30 listopada ub. roku trójka naszych członków, tj. U. Pańczyk, M. Czopor i Igor Wójciak, wybrała się samochodem przez niedawno otwarte przejście graniczne w Krościenku do Chyrowa, Sąsiadowic i Dobromila. Samochód załadowany był podarkami mikołajowymi pod sam dach, toteż istniała obawa, że będą kłopoty przy odprawie granicznej, ale, o dziwo, wszystko poszło gładko. W Chyrowie u przewodniczącej Towarzystwa Polskiego, Janiny Piróg, zostawili słodczyce dla 25 dzieci, kilka par butów oraz trochę odzieży.

Następnym etapem były Sąsiadowice, gdzie w sobotniej szkole uczy się 80 dzieci. W tym roku szkolnym pracują tam miejscowi nauczyciele. Na ich ręce przybysze z Sanoka złożyli 500 zł na dziesięć paszportów dla dzieci, których rodzice nie są w stanie ponieść takich kosztów, 50 zł dla osieroconego rodzeństwa na wydatki świąteczne, no i dla wszystkich dzieci słodczyce, zeszyty i długopisy. Ostatnim celem wyprawy był Dobromil, gdzie u Kazimierze Hamadowej pozostawili słodczyce dla 30 dzieci z sobotniej szkoły oraz 50 zł na bieżące potrzeby. Dzięki członkom naszego Klubu oraz sanockim ofiarodawcom rodacy na Ukrainie wiedzą, że o nich pamiętamy. Nauczyciele jęz. polskiego z Sąsiadowic oraz p. Piróg z Chyrowa w imieniu swoim i dzieci wyrazili nam podziękowania na piśmie.

Nie brakowało też w ciągu minionego roku indywidualnych wyjazdów członków Klubu do pobliskich miast za wschodnią granicą, tym bardziej, że z Sanoka przez Krościenko droga znacznie się skróciła.

Władze administracyjne Sanoka podpisały w marcu ub. roku porozumienie z władzami administracyjnymi Truskawca. Z tej okazji przyjechał też do Sanoka przewodniczący TKPZL w Truskawcu – Eugeniusz Dąbrowski. W sali herbowej Urzędu Miasta odbyło się spotkanie z panem Dąbrowskim zorganizowane przez Towarzystwo Przyjaciół Sanoka i Ziemi Sanockiej z udziałem członków Klubu TMLiKPW. Ze szczególnym zainteresowaniem słuchaliśmy opowieści pana Dąbrowskiego o jego losach i innych Polaków, którzy nie opuścili ziemi swoich przodków, aby swą obecnością świadczyć o jej polskiej przeszłości. Mówił też o odbudowie kościoła w Truskawcu.

7 czerwca ub. roku kilka osób z naszego Klubu wzięło udział w uroczystości poświęcenia wyremontowanego kościoła oraz zwiedziło Truskawiec, Boryslaw i Drohobycz. Przy tej okazji wycieczkowicze porozmawiali z miejscowymi Polakami i obdarowali dzieci drobnymi upominkami.

Ciekawy był też wyjazd naszej najbardziej operatywnej trójki członków Klubu, powyżej już wspomnianej, do Użhorodu w dniu 23 listopada ub. roku. Zostali oni zaproszeni przez dyrektorkę tamtejszej Polskiej Szkoły Sobotniej, Tatiannę Pułk, na uroczystość związaną ze Świętem Niepodległości Polski (11 listopada), przygotowaną przez nauczycielkę jęz. polskiego Annę Górzyńską, która od początku roku szkolnego podjęła pracę w Użhorodzie. W uroczystości wzięła też udział przewodnicząca Organizacji Polskich na Ukrainie – Emilia Chmielowa. Program artystyczny bardzo się wszystkim podobał. Goście z Sanoka byli bardzo serdecznie przyjęci i miło spędzili czas.

Nasze przywiązanie do Lwowa i Kresów Wschodnich przejawia się również w gawędach o miejscach naszego urodzenia, dzieciństwa i młodości. W minionym roku były to opowieści o Krzemieńcu, Boryslawiu, a także o Armii Krajowej we Lwowie.

Ważnym wydarzeniem w życiu Klubu, a chyba i dla młodzieży sanockiej, był przyjazd zaproszonego przez nas zespołu „Iskierki” z Maciejowej pod Nowym Sączem z opiekunką i dyrygentką oraz dr. Jerzym Masiorem. Zespół wystąpił w Domu Kultury, gdzie byli obecni nie tylko członkowie Klubu, ale też młodzież sanockich szkół, z którą pan Masiorek nawiązał kontakt i obudził zainteresowanie Lwowem i Kresami Wschodnimi. „Iskierki” pięknie śpiewały lwowskie piosenki oraz teksty dr. J. Masiora zawierające piękno Lwowa, serdeczne wspomnienia i tęsknotę do ukochanego miasta.

W miesiącach wiosennych i wczesnej jesieni nasze spotkania klubowe odbywają się przy ognisku w ogrodzie przewodniczącej Klubu Marii Siekierzyńskiej lub wiceprzewodniczącej Ludmiły Patałowej, której ogród ma szczególny urok, jest bowiem małym skansenem. Zawsze śpiewamy lwowskie piosenki, a spotkania kończymy odśpiewaniem „Marsz, marsz Polonia”, która to pieśń stała się naszym hymnem.

Od czasu do czasu o naszej działalności pojawiają się artykuły w miejscowej prasie – „Tygodniku Sanockim” i „Głosie Ziemi Sanockiej”.



Fot. Jerzy Kwaśniewicz

Oplatek TM Lwowa. Sanok 10.01.2003 r.

Rok 2003 powitaliśmy tradycyjnym „opłatkiem” i serdecznymi życzeniami, które również przesyłamy Redakcji „Semper Fidelis”. □

Jadwiga Walocha Kościół w Winnikach

Kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Winnikach został wybudowany w roku 1737 w stylu barokowym. Jest to kościół murowany, jednonawowy, bez krypty, wybudowany na planie niepełnego krzyża. Fundament z ciosów kamiennych na zaprawie wapiennej, bez izolacji przeciwwilgociowej; ściany z cegły ceramicznej na zaprawie wapiennej, obustronnie otynkowane.

Kościół był otwarty i czynny przez całą II wojnę światową aż do roku 1945. W głównym ołtarzu znajdował się obraz Matki Boskiej Winnickiej – jego oryginał zaginął i do dziś nie ustalono, gdzie się znajduje.

W okresie powojennym we wnętrzu kościoła urządzono magazyn tytoniowy, a w budynku byłej plebanii mieściła się szkoła. W kościele na starych tynkach wapiennych zachowały się zniszczone freski i plafony z okresu budowy kościoła. W roku 1992 kościół – w złym stanie technicznym – przekazano oo. franciszkanom. Od tego momentu z zapalem zajął się jego restauracją ojciec Władysław Lizun, który wykonał szereg prac remontowych. Obecnie zarówno kościół, jak i znajdująca się obok dzwonnica, są odnowione. Przywrócenie do dawnej świetności wnętrza kościoła wymaga dużego nakładu pracy oraz środków finansowych. W ołtarzu znajduje się kopia zaginionego obrazu Matki Boskiej Winnickiej ufundowana przez mieszkankę Winnik Filomenę Wrotniak i była mieszkankę Jadwigę Walochę z domu Kaparnik.

Opiekę nad kościołem sprawują ojcowie franciszkanie z kościoła św. Antoniego we Lwowie: o. Krzysztof, o. Andrzej i o. Grzegorz. Starają się oni także o zwrot budynku parafialnego, przy czym natrafiają na poważne trudności. Aby zdobyć środki na dalszy remont kościoła, ojciec Krzysztof Kozioł ze Lwowa przyjechał 25 stycznia 2003 roku do parafii Matki Boskiej Pocieszenia na Podolanach w Poznaniu (z inicjatywy mego zięcia Dariusza Kucharskiego), na zaproszenie ks. kanonika Rafała Pierzchały – proboszcza i ks. Krzysztofa Andrzejewskiego – wikariusza. W niedzielę 26 stycznia 2003 roku ojciec Krzysztof odprawił mszę św. oraz wygłaszał homilie na wszystkich mszach św. tego dnia. Poruszył serca parafian, którzy okazali się hojni w swojej dobroci.

W Poznaniu ojciec Krzysztof był gościem Hanny i Dariusza Kucharskich (mojej córki i jej męża); gościł także na śniadaniu i obiedzie u ks. proboszcza Rafała Pierzchały i ks. Krzysztofa Andrzejewskiego.

Księdzu proboszczowi i wszystkim parafianom, którzy wsparli inicjatywę mego zięcia oraz okazali serce i hojność – składam serdeczne „Bóg zapłać”.



Dzwonnica przy kościele w Winnikach.
Winniki – Lwów. 15 maja 1993 r.



Wnętrze naszego kościoła pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Marii Panny.
Winniki – Lwów. 15 sierpnia 1992 r.



Winniki – Lwów. Wnętrze kościoła. 02.07.2001 r.



Nasz kościół pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Marii Panny.
Winniki – Lwów. 15 sierpnia 1992 r.

Stanisław Czerkas Jubileusz 10-lecia FOPU (Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie)

W dziesiątą rocznicę powstania „Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie” (dalej FOPU), 31 listopada – 1 grudnia 2002 roku w Kijowie, odbyło się spotkanie działaczy Polskich Towarzystw Kulturalnych na Ukrainie, oraz zaproszonych gości, poświęcone 10-leciu FOPU. Zostałem zaproszony, ponieważ byłem prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, w okresie organizacji FOPU. Będąc prezesem brałem aktywny udział w organizacji i powstaniu FOPU. Sytuacja wymagała założenia organizacji łączącej Polaków i polskie organizacje kulturalne na Ukrainie i reprezentowania ich potrzeb w organach władz państwowych Ukrainy i Polski. Powstała w 1992 roku FOPU odpowiadała w/w wymaganiom. Z biegiem czasu FOPU objęła swą działalnością prawie całą Ukrainę, od jej granic zachodnich do obecnych granic na wschodzie, południu i północy.

Po przyjeździe do Kijowa uczestnicy spotkania zamieszkali, jak zawsze, w bazie „Energopolu”. Artystycznie jubileusz wzbogaciło IV Spotkanie Polskich Rodzin Muzykujących na Ukrainie. Przybyło 14 zespołów z całej obecnej Ukrainy: Borysławia, Brodów, Truskawca, Łucka, Równego, Stryja, Czerniowiec, Jarmolinca, Żytomierza, Połonnego, Dniepropietrowska, Doniecka, Kijowa – ogółem 60 osób. Występy Polskich Rodzin Muzykujących na Ukrainie będą również podsumowaniem dziesięcioletniego dorobku kulturalnego FOPU. Pierwszy dzień spotkania był dniem roboczym zarządu

FOPU i uczestników spotkania. Opracowano i przyjęto przez zarząd FOPU plan pracy na 2003 rok. Rodziny muzykujące uzgadniały swe programy z Teresą Dutkiewicz wiceprezesem FOPU i Bożeną Sokołowską z „Radia Lwów”. Do późnego wieczoru w bazie „Energopolu” słychać było wspólne śpiewy, śmiech, skrapiany łzami radości i wzruszenia, słowa wzajemnej otuchy. Byliśmy dumni z tego, że Polacy na Ukrainie mogą pozostać Polakami.

Drugi dzień spotkania – niedziela 1 grudnia – dzień oficjalnych imprez, rozpoczął się mszą świętą o godzinie 11.00 w kościele pod wezwaniem św. Mikołaja. O godzinie 13.00 w „Ukraińskim Domu” na Kreszczatiku, w niedużej, ale miłej sali „Świetlica Kobzarska”, rozpoczęły się spotkania Polskich Rodzin Muzykujących na Ukrainie. Obecnych na sali gości i uczestników spotkania przywiteli: Starszy Radca MSZ RP Albin Szyszka oraz prezes FOPU Emilia Chmielowa, która w krótkim sprawozdaniu zaznajomiła obecnych z pracą zarządu FOPU i dorobkiem kulturalnym w minionym 10-leciu. Występy rozpoczęła rodzina Turiabów z Borysławia wykonując „Tańce Wiejskie” Händla. Kolejni wykonawcy to rodzina Buherów ze Stryja, Wiszniewskich z Połonnego – zespół rodzinny: babcia, syn, synowa i wnuczka. W ich wykonaniu a capella polskie pieśni ludowe i wojskowe. Po raz czwarty w spotkaniach bierze udział rodzina Piotrowskich z Truskawca, wzbogacając stale



Otwarcie IV Spotkania Polskich Rodzin Muzykujących
przez Albina Szyszkę Radcę MSZ RP w Kijowie
i Emilię Chmielową prezesa FOPU



Występ rodziny Piotrowskich z Truskawca

swój repertuar o nowe utwory. Jak w kalejdoskopie przeplatają się występy rodzin muzykujących: Haniuków z Czerniowiec, Poliszczuków z Żytomierza, Olszewskich z Brodów, Rolingerów z Łucka, Koniuchowych z Kijowa, Korzeniaszewych z Charkowa. W ich wykonaniu dominował patriotyczny polski temat. Ciekawą kompozycję swych własnych utworów muzycznych zaproponowała ośmioosobowa rodzina Grzegorzewskich z Jarmoliniec na Podolu. Dwa utwory muzyczne: „Żona” i „Siostra”, głęboko wzruszyły obecnych. Ich pasją to muzyka, którą kultywują od czterech pokoleń. Dziadek był organistą w kościele, co w pewnym okresie przypła-



Występ rodziny Poliszczuków z Żytomierza

cił życiem. Jego miejsce zajął syn Edward. Jego synowie, Władysław i Eugeniusz, prowadzą rodzinny zespół muzyczny, wykonując własne utwory muzyczne. Utwory muzyki klasycznej światowej i polskiej to domena rodzin Kulikowskich z Dniepropietrowska i Fiodorowych z Równego. Melodie estradowe i jazzowe usłyszeliśmy w wykonaniu rodziny Busowych z Doniecka. Programy występów zespołów to zauważalny dorobek Polskich Rodzin Muzykujących na Ukrainie.

Na pożegnanie spotkania prezes FOPU Emilia Chmielowa podziękowała Polskim Rodzinom Muzykującym na Ukrainie i prowadzącej T. Dutkiewicz, za stworzenie na scenie i na sali prawdziwie polskiego rodzinnego nastroju.

Następnie skierowaliśmy swe kroki do Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie, na zaplanowane spotkanie na godzinę 17.00 z uczestnikami biorącymi udział w koncercie i zaproszonymi gośćmi, poświęcone dziesięcioleciu FOPU. Z okazji jubileuszu na ręce prezesa FOPU Emilii Chmielowej gratulację złożył Ambasador RP na Ukrainie Marek Ziółkowski oraz Konsul Generalny RP w Kijowie Krzysztof Świderek. Dyrektor Departamentu Konsularnego i Polonii RP Janusz Skoli-



Chlebem i solą witają członkowie Polskich Rodzin Muzykujących na Ukrainie Konsula Generalnego RP w Kijowie Krzysztofa Świdereka

mowski w imieniu Rządu RP podziękował Emilii Chmielowej za owocną i pożyteczną pracę, życząc powodzenia na przyszłość. Prezes FOPU Emilia Chmielowa podziękowała obecnym za uznanie działania FOPU i wręczyła Dyplomy Uznania aktywnym działaczom i osobom współpracującym z FOPU. Spotkanie przy małej czarnej upłynęło w przyjaznej i przyjacielskiej atmosferze. Żegnając się obiecaliśmy sobie wzajemną pomoc i współpracę, nie biorąc pod uwagę, gdzie los życia nas skieruje. Wracając przez kochany nasz Lwów, podzieliłem się wrażeniami z przyjaciółmi polskiej i niepolskiej narodowości. Wyrazili aprobatę dla pracy FOPU.

Kijów-Lwów-Kluczbork

P. S. Przykro było, że nikt nie przybył ze „Wspólnoty Polskiej”, a TVU w Kijowie nie „znalazła” choć jednej kamery TV, dla wprowadzenia materiału do dziennika TV Ukrainy. Równocześnie odbywały się uroczystości innej mniejszości narodowej na Ukrainie. Aparatury TV nie zabrakło. □

czytanek, gramatyki czy innych pomocy szkolnych może wiele pomóc tym kielkującym grupkom językowym, które po zmianach ustrojowych na Ukrainie nie muszą już teraz żyć w pewnej konspiracji i mogą – kto chce – przyznawać się do polskości i podciągnąć się w znajomości języka polskiego, co jest właśnie bardzo istotne dla dzieci i młodzieży. Dlatego gorąco apelujemy do naszego Zarządu Głównego, aby sprawę pomocy językowej dla polskiej młodzieży na Ukrainie uznać za priorytet działania naszego środowiska. Naprzód konieczne wydaje się dość dokładne zinventoryzowanie potrzeb, także lokalizacji grup dzieci chcących się uczyć polskiego, a następnie skoordynowanie organizacyjne tak, aby każdy ośrodek języka polskiego i kultury polskiej otrzymał choć trochę tego, czego mu najbardziej potrzeba. Niestety, są duże trudności techniczne w organizowaniu tej pomocy, szczególnie jeśli chodzi o bardzo potrzebną pomoc żywnościową. Wszelka inna pomoc poza żywnościową nie nastręcza już takich kłopotów, ale wymaga to energiczniejszego działania nas wszystkich z Zarząd Głównym na czele! Jest tu wdzięczne pole do działania dla Prezesa Emila Legowicza we Lwowie, do którego należałoby się zwrócić w sprawie „inventaryzacji” wspomnianych przez nas potrzeb, ustalając dość pilny termin tego ważkiego zadania!

Gabriel Krische

Wiadomości z Jagielnicy

Nad rzeką Czerkaską pośród zielonych wzgórz leży Jagielnica. Jagielnica jest jednym z najstarszych osiedli Podola. Istniała już w trzecim tysiącleciu przed Chrystusem, o tym świadczą odnajdywane groby z epoki miedzi. W 1448 roku wymieniana jako Jagielnicę jako miejscowość. Nazwa ta wzięła się prawdopodobnie od króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, który tutaj stanął ze swoim wojskiem w drodze do Kamieńca Podolskiego.

W XVII wieku wojewoda ruski i hetman koronny wznosił zamek na trudnodostępnym wzgórzu, który z natury, dzięki umiejętnemu zastosowaniu systemu bastionowego, stał się jedną z najsilniejszych warowni na Podolu.

Parafia jagielnicka sięga XV wieku. Istniała na pewno w 1478 roku. W tym roku powstał pierwszy kościół. Drugi, murowany, stojący do dziś, zawdzięcza swe istnienie Fundacji Lanckorońskich. Uległ on pożarowi w 1898 r. Już w rok po pożarze został odremontowany. Zbudowany został w 1842 roku. Ostatnim księdzem przed drugą wojną światową był ks. Józef Myśliwy. Zmarł w wieku 80 lat w Gostyniu koło Leszna. Po wojennych zniszczeniach zadanych przez wrogie siły kościół zamieniony był na magazyn zboża, potem mebli, a następnie służył jako hala sportowa. 4 lipca 1992 roku zostaje przywrócony do celów kultu, dzięki staraniom ks. Józefa Michałowskiego, pierwszego powojennego proboszcza, po nim nastąpił o. Reginald Wiśniowski – dominikanin.

Pierwszą inspiratorką odnowienia i rekonstrukcji kościoła rzymskokatolickiego w Jagielnicy pod wezwa-

Pamiętajmy, że wg ostatnich danych na Ukrainie żyje ok. 1 milion Polaków, ale tylko ok. 12% z nich mówi dobrze po polsku! Duża część z tych pozostałych, prawie 90%, pragnie uczyć się naszego i ich języka ojczystego, ale na pomoc w tym zakresie mogą liczyć tylko od nas. Wysoko oceniamy wielką pomoc świadczoną Polakom na Wschodzie przez Wspólnotę Polską i Fundację Pomocy Polakom na Wschodzie, ale nie powinno to oznaczać założenia rąk przez wszystkich Lwowiaków i ich sympatyków.

Warto przy okazji pamiętać, że aktualne wskaźniki demograficzne Polski są wysoce niepokojące. Nie mamy niezbędnego przyrostu naturalnego! A za wschodnią granicą jest tylu Rodaków, z których bardzo wiele wartościowych jednostek nie wyklucza przyjazdu na krótko lub na dłużej do swojej Ojczyzny! Słyszmy ostatnio o planach obcinania funduszy na pomoc Polakom na Wschodzie. Nie możemy się na to godzić! Musimy stać się katalizatorami pomocy dla Polaków na Wschodzie wszystko jedno z jakiego źródła! Ci ludzie to wielki i niezwykle cenny rezerwuariusz genetyczny polskości! Nie wolno o tym zapomnieć.

Trzeba zatem koniecznie wzmocnić nasze wysiłki i zrobić wszystko, co możliwe, aby postulowana pomoc stała się faktem.

Jeżeli takiej pomocy nie zorganizujemy – serca naszych Rodaków nigdy nam tego nie wybaczą! □

niem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny jest pani Stanisława Kwaśniak Wiśniewska z Warszawy. Rodowita Jagielniczanka zabiegała o to od roku 1993. Pani Wiśniewska zwróciła się bezpośrednio do Pani prof. Karoliny Lanckorońskiej zamieszkałej w Rzymie o pomoc finansową przy odnowieniu kościoła tak bliskiego jej sercu i tę pomoc otrzymała, czego efektem jest dzisiejszy stan, w jakim kościół się znajduje. Aktywni przy tworzeniu pomocy finansowej i rzeczowej są: pani Zy-wuszek Halina z d. Malasewicz, pani Skrzyszowska Weronika z d. Wojewoda, pani Myszograj Józefa z d. Majdra, pan Jasiński Bronisław – przewodniczący wspólnoty kościoła i wiele innych osób. Wszystkim serdeczne Bóg zapłać.

Po dziesięciu latach mozolnej pracy kościół został odremontowany i przywrócony swojemu przeznaczeniu. Dnia 28 września 2002 roku o godz. 16.00 (sobota) roz-



Fot. Gabriel Krische

Kościół w Jagielnicy pw. Najświętszej Marii Panny po remoncie w 2002 r. z odbudowaną dzwonnica

Bolesław Nagay, Remigiusz Węgrzynowicz

0 aktywizację działań TMLiKPW na rzecz ludności polskiej na Ukrainie

Szybkimi krokami zbliża się lipiec bieżącego roku, kiedy to wschodnia granica Polski stanie się również wschodnią granicą Zjednoczonej Europy. Nie wiemy aktualnie, jak będzie wyglądać sprawa kontaktów z naszymi rodakami na Ukrainie, gdyż nie możemy wykluczyć ewentualnych utrudnień w tym zakresie, choć ostatnie enuncjacje prasowe na temat wiz napawają ostrożnym optymizmem. Jak wiadomo, poszczególne oddziały naszego Towarzystwa w rozmaity sposób i z rozmaitym nasileniem organizują szeroko pojętą pomoc dla rodaków na Wschodzie, a ostatnio nadesłane przez Zarząd Główny pismo o „rozdziale” tej pomocy na poszczególne ośrodki na Ukrainie jest niezwykle aktualne i pożyteczne. Z własnych obserwacji jednak wiemy, że nie zawsze dobrze przedstawia się koordynacja tej cennej pomocy dla poszczególnych środowisk polskich.

Niektóre ośrodki, szczególnie we Lwowie, ale nie tylko, otrzymują pomoc z kilku stron a inne mogą tylko pomarzyć o jakiegokolwiek pomocy. Jesteśmy mocno przekonani, że warto przyjrzeć się tym sprawom bliżej i to co trzeba – uporządkować.

Chodzi nam o powoli odradzające się „gniazda” polskości na Ukrainie, czyli małe grupki dzieci czy młodzieży, które bardzo chciałyby uczyć się polskiego i które rozproszone są w różnych regionach tego wielkiego kraju. Potrzebują one choćby najskromniejszej, ale pilnej pomocy! Rzecz jasna, nie tylko Lwów mamy na myśli! Zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy, niestety, bogatym Towarzystwem, że nasze możliwości są ograniczone, ale przecież nie samymi wspomnieniami mamy żyć! Jesteśmy głęboko przekonani, że nawet trochę polskich książek, elementarzy,



Fot. Gabriel Krische

Przywitanie ks. bp. Mariana Buczka
przez byłych parafian z Jagielnicy

poczęły się uroczystości związane z poświęceniem kościoła w Jagielnicy pow. Czortków, woj. Tarnopol. Poświęcenia dokonał Jego Ekscelencja ks. bp Marian Buczek ze Lwowa. Przywitany przez przedstawicieli parafii w składzie: Bolesław Samborski, Genowefa Wierzbicka, Maria Wesołowska. Obecni byli również księża z pobliskich parafii, a także księża grekokatolicy i prawosławni. Wszystkich zgromadzonych na uroczystości powitał ks. Jan Piątkowski (dominikanin). Poświęcono trzy dzwony o imionach:

Karolina – poświęcony Karolinie Lanckorońskiej,

Karol – poświęcony ojcu Karoliny – Karolowi Lanckorońskiemu,

Czesław – poświęcony patronowi parafii czortkowskiej.

Należy się kilka zdań o Głównej Darczyńcy pani prof. Karolinie Lanckorońskiej.

Urodziła się 11 sierpnia 1898 roku w Wiedniu. Ród Lanckorońskich sięga XIV wieku. Byli wybierani na posłów i senatorów. W galerii różnych funkcji i godności

obok biskupa, wojewodów, kasztelanów, starostów nie zabrakło generała i hetmana wielkiego koronnego. Studiowała historię sztuki na uniwersytecie w Wiedniu. Była dziedziczką majątku w Komarnie koło Lwowa. Pierwsza Polka habilitowana na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Znaną włoskiego renesansu, zwłaszcza twórczości Michała Anioła. Porucznik Armii Krajowej. Aresztowana przez Gestapo, skazana została na karę śmierci, wyrok zamieniono na obóz koncentracyjny dla kobiet w Rawensbrück. Po opuszczeniu obozu w 1945 roku wyjeżdża do Włoch, wstępując do armii Andersa. Pani profesor Karolina Lanckorońska – wybitny historyk i mecenas sztuki, wielka patriotka. Założycielka Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie oraz Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, dobroczyńca Zamków Królewskich w Krakowie i Warszawie oraz Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Żyła 104 lata. Przeżyła więc cały XX wiek. Zmarła 25 sierpnia 2002 roku w Rzymie. Zabrakło jej jednego miesiąca, by dołączyć do ceremonii poświęcenia kościoła w Jagielnicy.



Fot. Gabriel Krische

Zbigniew Abram

Obertyn – „Pod mogiłami”

Artykuł Szanownej Pani Danuty Tabińskiej-Juhasz, drogiej mojej Rodaczki, opublikowany w SF 5 (70) 2002 pt. „Trzykrotnie w Obertynie” stał się pierwszą reakcją na moje trzy artykuły w SF 2 (61) 2001, 5 (64) 2001 i 2 (67) 2002.

Mam świadomość tego, że moje artykuły pt. „Obertyn – Obertyniacy” odbiegają jakością i zawartością od większości publikacji w SF.

Publikując je chciałem sprowokować swoich ziomków do wzbogacenia tych treści. Żyje nas jeszcze trochę starszych, pamiętamy wiele faktów, zdarzeń, szczegółów. Wydaje mi się, że te wiadomości są bardzo ważne dla historii i ludzi tworzących historyczne zapisy, opracowania.

Cieszę się bardzo, że moje artykuły zauważyła i tak ciepło oceniła pani Danuta Tabińska-Juhasz. Postanowiłem przedstawić własne wspomnienia związane z „krzyżem pod mogiłami”. Pierwszy raz

zobaczyłem go w okresie żniw, a był to chyba 1942 rok.

Mój dziadek Abram Józef miał część swego pola w bezpośrednim sąsiedztwie tego historycznego miejsca – nazywanego przez wszystkich Pod Mogiłami. Dziadek mój pochodził z okolic Tarnowa, z Gręboszowa lub Żabna. Z końcem XVIII wieku razem z rodzicami znalazł się w okolicy Obertyna. Jego ojciec, a mój pradziad, jako kowal pracował we dworze Jakubówka.

Całą moją rodzinę „tamtejsi” od zawsze nazywali „Mazurami”. To było w ustach Ukraińca coś więcej niż Polak i bardziej niebezpiecznego. Honor, patriotyzm „Mazurzy” demonstrowali na każdym kroku i co tu ukrywać – nie przepuszczali nikomu. Tak im nakazywał niepisany Kodeks Honorowy.

Wracając do wspomnianych żniw – dziadek któregoś dnia mnie i memu młodszemu bratu Tadeuszowi kazał siadać na drabiniastym wozie. Nie pytaliśmy po co. Wiedzieliśmy, że pojedziemy po snopki. Pojechała z nami kochana ciocia Mania (ojca siostra). Ja z bratem byliśmy jedynymi wnukami, a nasz ojciec – jedynym synem dziadka. To było i jest bardzo wymowne (ile znaczyliśmy dla dziadka).

Jechało się Pod Mogiły z ul. Czortowieckiej przez całe miasto. Za miastem skręcało się w lewo na polną drogę. Po prawej stronie w oddali widać było ciemną ścianę Chocimskiego Lasu, a po lewej wśród kopek zboża widniał wysoki jakby kopiec ziemi, na którym stał krzyż. Zapamiętałem ten widok, ale dopiero po latach dowiedziałem się, co się działo tam, czym stał się Obertyn. Stryj Tadeusz Kilar opowiadał mi, że ojciec mój (murarz) do 1939 r., z innymi strzelcami, odnawiał podmurówkę tego krzyża.

Po wielu, wielu latach z wycieczką na Kresach. Prowadził ją nieprzeciętnie uzdolniony (geograf i górólaz) przewodnik p. Zbigniew Berling pod nadzorem swojej przeuroczej małżonki p. Danusi. Jeden wolny dzień przeznaczam na sprawy najważniejsze i najmilsze sercu memu – odwiedzam miejsce, w którym ujrzałem świat, nazwane Obertynem, oczywiście – za zgodą pana Berlinga. Poznany we Wrocławiu i goszczony w moim domu (kiedyś) młody Ukrainiec posiada samochód i wiezie mnie do Obertyna (to były już trzecie chyba urodziny). Objechaliśmy miasto w tę i z powrotem. Potem trochę pochodziłem sam. Staram się zaspokoić całą tę tęsknotę, która nawarstwia się ciągle w duszy człowieka. Zamiast odprężenia doznaję uczucia rozczarowania. Wszystko inne obce z wyjątkiem jednym: potoczek, z żelazną wąską kładką, nad wyschniętym potoczkiem, wtedy chodziłem z cicią do studni po wodę.

Warto było przejechać tysiąc kilometrów, ażeby to zobaczyć...

Wracam do kierowcy, a on mi proponuje odwiedzić jego rodziców, którzy mieszkają we wsi Żuków (tej, u której pani Tomyń odnalazła tę historyczną tablicę zerwaną z krzyża Pod Mogiłami). O tej wsi tyle słyszałem, tyle się mówiło, a dopiero teraz po raz pierwszy ją zobaczę. Wieś była ostoją UPA jeszcze po II wojnie.

Znaną drogą w znanym mi kierunku jedziemy i po kilkunastu minutach jesteśmy na miejscu. Jestem zaskoczony: olbrzymia wieś, zadłaba. Przyjęto mnie gościnnie. Ojciec kierowcy, po osiemdziesiątce, w czasie rozmowy zapytał me o los Mogiły z krzyżem (w tym czasie nie było go widać). On od pokoleń mieszkający w Żukowie zdenerwował się i odpowiedział, że tu nigdy czegoś takiego nie było. Z kolei ja zdecydowanie pytałem – mówiąc, że pamiętam, że tam było nasze pole, widziałem... To on mówił po chwili, że był jakiś tatarski kurhan, ale od dawna już po nim nie ma nawet śladu, bo front tu stał. Tak mówili tamtejsi ludzie w 1995 r. Upłynęło tylko sześć lat i taka odmiana w pamięci tych ludzi. Wracamy do Obe-

rtyna, zatrzymujemy się w tym miejscu, gdzie kiedyś stała dzwonnica. Tak mi się wydaje. Po lewej stronie, w głębi jakby ogrodu, stoi stary budynek. To plebania – wszystko na to wskazuje. Wjazd z boku z polnej drożki na podwórko – chyba plebania. Często tu bywałem, ale wchodziłem furtką od strony kościoła, mało szczegółów pamiętam, ale jeden doskonale: ścinał mi kapustę, my, młodszy, nosiliśmy z ogrodu na podwórko. Po skończonej pracy częstowano nas bułeczkami z marmoladą. Pracował z nami sam ksiądz. Ks. F. Fiałkowski pamiętam do dziś. Może dlatego, że był moim pierwszym, z którym się zetknąłem, a on w całej czeredzi ministrantów dostrzegał mnie. Ja przy każdej okazji, czy to pogrzeb, ślub, nieszpory, czy msza, byłem do dyspozycji w zasięgu jego przyjaznego wzroku.

Dziś pewny jestem, że dużo pomagała mi siostra mego dziadka Konstancja Kilar – będąc starszą siostrą w kościele.

W Obertynie ostatni raz widziałem ks. F. Fiałkowskiego w dniu pierwszego bombardowania. Część ludzi uciekała w pola w tzw. Sołonec – były to takie jary-wąwozy. Tam się ludzie chowali, ale pod wieczór zaczęli wracać do domów. Moja mama mając nas trójkę bała się wracać i postanowiła iść do Jakubówki, tam mieliśmy stryja. Po drodze spotkaliśmy większą grupę ludzi wracającą do Obertyna. Na czele szedł ks. F. Fiałkowski. Dziś już nie pamiętam, czy odmawiali różaniec, czy jakąś litanie. W każdym razie głośno modlili się.

Parę lat po wojnie mieszkaliśmy już w Sobociuku. Był to rok 1950 lub 1951, lato, we wsi wielkie poruszenie i przygotowania. Przyjeżdża ks. F. Fiałkowski do swoich byłych parafian. Było nas pięćdziesiąt rodzin. Ja, dorastający chłopiec, obserwowałem wszystko. Straszny ścisk, przed kościołem, w kościele i po mszy przed kościołem wokół księdza. Nie było możliwości zbliżyć się i pokazać, przywitać się. Taką scenkę zapamiętałem: ks. Fiałkowski Bronkę Błaszczukową głaszcze jakoś tak serdecznie po głowie, poklepuje po policzku i pyta: „Co Broniu, dobry mąż, dobry?” (ta Bronia to dziś Pani przed 80-tką i bardzo chora). W taki sam i podobny sposób witał i żegnał swoich parafian.

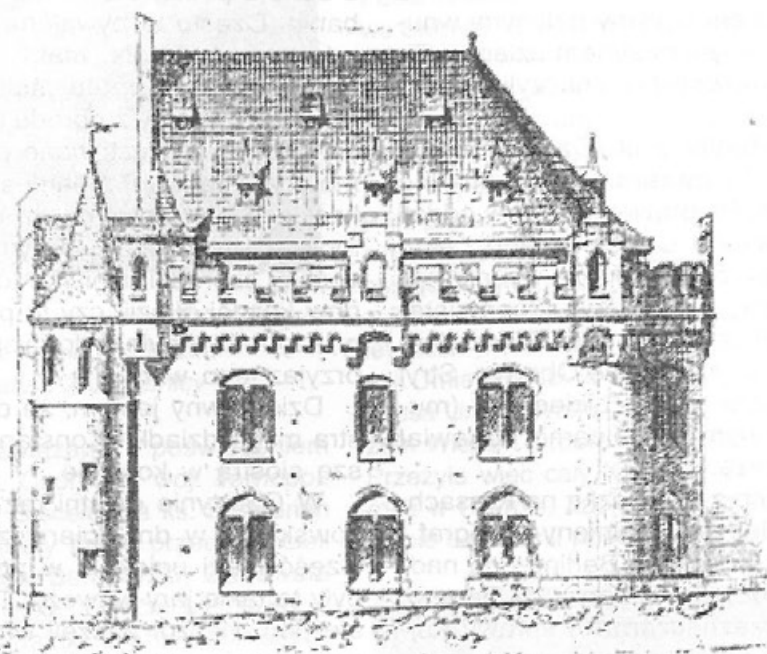
Takie są moje wspomnienia o zdarzeniach i faktach pokazanych przez panią Prezes w swoim artykule.

Bardzo pragnę jeszcze raz, ostatni, pojechać w tamte strony. Chcę pochodzić, posiedzieć, pomilczeć w małej grupie rodaków czujących to samo, co ja.

Może się spełnią moje marzenia.

Listopad 2002 r.

Lwowskie porządkowanie architektury



Projekt adaptacji Baszty Prochowej na Archiwum (widok z boku). Według planu inż. Łużeckiego

Baszta Prochowa, stanowiąca ogniwo miejskich umocnień poza właściwymi murami, wzniesiona została przez lwowskich mieszczan w latach 1554-1556 i usytuowana na ziemnym wale. Jak sama nazwa wskazuje służyła do przechowywania sypkiej amunicji: prochu, ołowiu i salety. W czasie pokoju wynajmowano ją natomiast kupcom do składowania zbóż i kasz: żyta, jagły, krup gryczanych i czarnego grochu. Ze stosownych dokumentów wynika, że komory w niej dzierżawili m.in. niejaki Anczowski, dr Tomicki, Jan Ubaldyni, Wojciech Kupiński, żona ławnika Attenmajera, podkomorzyna Krosnowska, podsędzina Ożga, wreszcie jezuita. Administracją obiektu zajmowali się tzw. *regentes armamentarii et granarii*, wyłaniany spośród rajców, ławników i czterdziestomężów czyli przedstawicieli mieszkańców grodu.

O solidności murów świadczy ich grubość, dochodząca do 3 metrów. Wykonano je z kamienia łupanego, pozyskanego częściowo z rozebranego w tym samym czasie starego Arsenалу, położonego u zbiegu Podwala i późniejszej ulicy Sobieskiego (obecnie braci Rohatyńców). W otworach strzelniczych instalowano siatki, chroniące przed ptactwem, gdy służyła jako magazyn produktów spożywczych, a kiedy pełniła funkcje obronne, wstawiano w nie lufy dział. To właśnie stąd mierzono w 1648 roku do samego Bohdana Chmielnickiego, gdy w jej okolicach stanął na czele sprzymierzonych wojsk kozackich i tatarskich, przystępujących do oblężenia Lwowa. Dostępu do trójkondygnacyjnego wnętrza broniły potrójne, żelazne drzwi, a całość przykrywał dach namiotowy.

W okresie zaborów Baszta Prochowa służyła za magazyn dla wojsk rosyjskich i austriackich, co uchroniło ją od rozbiórki, ale nie od popadnięcia w ruinę. Dopiero w 1895 roku miasto wykupiło ją od armii za 6 tysięcy

złotych reńskich, aby... wyburzyć, ponieważ szpeciła rzekomo reprezentacyjne Wały Gubernatorskie. Podobny los sądzone był zresztą i Miejskiemu Arsenalowi, gdyby nie interwencja Władysława Łozińskiego, konserwatora zabytków starożytnych miasta Lwowa (to w jego rezydencji przy ul. Ossolińskich 3 urządzono później Galerię Narodową m. Lwowa). Z kolei Edmund Moch-nacki, prezydent w latach 1887-1897, wystąpił z propozycją, aby umieścić w niej miejskie Archiwum, gnieźdzące się dotąd w piwnicach Ratusza oraz na zapleczu Muzeum Przemysłowego przy Wałach Het-manskich 20 (w okresie sowieckim Muzeum Lenina,



Projekt adaptacji Baszty Prochowej na Archiwum (widok od frontu). Według planu inż. Łużeckiego

a dziś Muzeum Narodowe ze zbiorami sztuki ukraińskiej). Planowano też umieszczenie w niej eksponatów utworzonego 2 lata wcześniej Muzeum Historycznego, albowiem – jak przekonywał Fr. Janowski w 10 numerze „Tygodnia” z 1905 roku – „daje z powodu rozległości wewnętrznych ubikacji dostateczną ilość miejsca na pomieszczenie zbiorów obecnych i przyszłe nabytki”.

Projekt adaptacji, z attyką w stylu polskiego renesansu, na zlecenie władz miasta opracował Michał Łużecki. Niezależnie od niego, własny plan przebudowy przygotował Kazimierz Mokłowski. Obydwa stanowiły daleko idącą ingerencję w oryginalny kształt i substancję historycznego zabytku. Do rekonstrukcji zamierzano ponadto użyć architektonicznych detali, pozostałych

z wyburzonych lwowskich budowli, a przechowywanych w lapidarium.

Można chyba żywić satysfakcję, że powyższe inicjatywy nie doczekały się realizacji. Dzięki temu Baszta Prochowa dotrwała do naszych czasów nieomal w niezmienionej postaci. Pojawiły się jedynie u jej wejścia dwa dziewiętnastowieczne, marmurowe lwy, a w latach 1956-1959 dokonano dyskretnego przystosowania na potrzeby Domu Architekta. Miejskie Archiwum zostało natomiast zlokalizowane przez władze sowieckie w poklasztornych zabudowaniach Dominikanów, podczas gdy Muzeum Historyczne znalazło ostatecznie w 1929 roku siedzibę w Czarnej Kamienicy, zwanej też Lorencowiczowską, a stojącą na Rynku pod numerem 6 i 18 lat wcześniej przejętej w tym celu przez miasto. □

Szczepan Sasiadek Początek drogi

SEMPER FIDELIS to dewiza, którą kierowali się nie tylko mieszkańcy Lwowa. Była ona drogowskazem prawie wszystkich Polaków zamieszkujących Kresy Wschodnie. Uwidoczniło się to szczególnie dobitnie w czasie II wojny światowej. Setki i tysiące mężczyzn młodych i w sile wieku wyruszyły w drogę, aby włączyć się do walki o wolność ojczyzny w szeregach armii polskiej formującej się na Zachodzie. Droga nie była łatwa. Kresy były pod okupacją sowiecką, granice pilnie strzeżone. Nie zrażało to ludzi zdecydowanych, dla których jedynym imperatywem było uwolnienie ojczyzny od okupantów, walka z nimi na wszystkich frontach.

Ja byłem jednym z takich zapaleńców. Moja droga do armii polskiej była długa i pełna trudności. A oto relacja z początku tej drogi:

Rok 1939 to rok szarpania nerwów na tle politycznym. Mieliśmy wprawdzie pakt o nieagresji zarówno z Niemcami jak i Związkiem Radzieckim, lecz to nie dawało nam gwarancji nienaruszenia naszych granic. Kiedy w drugiej połowie sierpnia 1939 r. Hitler ze Stalinem zawarli pakt (Ribbentrop-Mołotow) dzieląc kraj nasz między siebie – my w Chodorowie czytaliśmy afisze głoszące, że jesteśmy SILNI, ZWARCI, GOTOWI!

Dnia 1 września 1939 r. Niemcy napadają na Polskę od Zachodu. Pomimo układu z Anglią i Francją żadnej pomocy należnej nam z ich strony nie otrzymujemy. W tej walce z najeźdźcą zostaliśmy sami, zdani na własne siły. Na dodatek tego złego w dniu 17 września Związek Radziecki napadając na nas od wschodu wbija nam nóż w plecy. Przez pierwszy moment wydawało się, że przychodzi nam z pomocą, lecz szybko okazało się, że to fałsz, że to najazd, na który nie byliśmy przygotowani. Rząd polski, a z nim wódz naczelny, marszałek Śmigły-Rydz wraz ze swoim sztabem i niektórymi oddziałami armii polskiej opuszczają Polskę, przechodząc do Rumunii. Następuje zmiana prezydenta, naczelnego wodza i rządu. Gen. Władysław Sikorski, jako naczelny wódz i premier, tworzy armię polską na terenie Francji. Nawoływania do wstępowania w sze-

regi tej armii docierały także do Chodorowa, mego miasta rodzinnego.

W 1939 roku ukończyłem gimnazjum i jesienią zacząłem naukę w liceum, lecz wobec wprowadzenia w nim języka ukraińskiego jako j. nauczania wraz z kilkoma kolegami i koleżankami przenieśliśmy się do liceum z polskim j. nauczania we Lwowie dojeżdżając tam codziennie z Chodorowa, położonego ok. 66 km na południe od Lwowa. Nauka i dojazdy wypełniały cały dzień. Lecz mimo to nawoływania do wstąpienia do armii polskiej gen. Sikorskiego wciąż brzmiały nam w uszach i wciąż o tym rozmawialiśmy. Pewnego dnia w lutym 1940 r. po masowych wywózkach Polaków na Sybir mój kolega Bolek Łupian zawiadomił mnie, że już dzisiaj jedzie do armii Sikorskiego i czeka na mnie o 6 wieczorem na stacji kolejowej. Niestety, na stacji już go nie było, a od rodziny dowiedziałem się, że szwagier wysłał do niego przewodnika, z którym Bolek natychmiast wyjechał. Wyjechał i zaginął bez wieści. Do dziś mimo starań nie mam o nim żadnej wiadomości.

Wkrótce potem przyszła moja kolej na wyjazd do armii gen. Sikorskiego. Naszą grupę sześciu chodorowianów stanowili Marian i Ludwik Czernieccy, Mieczysław Jaguszewski, Szczepan Sasiadek, Władysław Siewko i Edward Ziranek. 7 marca spotkaliśmy się o godzinie 9-tej w naszym kościele parafialnym w Chodorowie na mszy świętej w naszej intencji odprawianej przez księdza dziekana Władysława Klecana. Na zakończenie zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę...”. Na mszy była też moja matka, z którą jeszcze chwilę rozmawiałem przyjmując jej błogosławieństwo i zalecenie, abym siedł i szczęśliwie wrócił do domu z moimi braćmi, Jankiem i Władkiem. Władek zmobilizowany znalazł się w Rumunii, lecz Janek, pracując już podczas okupacji sowieckiej jako maszynista kolejowy, nie powrócił do domu. Jak się później okazało został wywieziony w głąb Związku Radzieckiego wraz z pewną rodziną polską z Tarnopola, u której nocował. Na pożegnanie powiedziałem matce, że jeśli w najbliższej przyszłości dostanie od poślątca medalik, który mam na piersi to będzie to oznaczało, że granicę rumuńską przeszedłem szczęśliwie. Wiem, że przez długi czas czekała na tę wiadomość od poślątca.

Po nabożeństwie i pożegnaniu się z mamą poszedłem na stację kolejową. Każdy z nas szedł oddzielnie. Kupiłem bilet do Zabolotowa, a kasjerka, sąsiadka z mojej ulicy, uśmiechając się powiedziała: „przesiadka w Stanisławowie. Pociąg odchodzi o 11.20”. Odchodząc od kasy usłyszałem, jak jeden z kolegów woła „Szczepan! Twój ojciec idzie”. Ukryłem się za drzwiami frontowymi i przez szparę zobaczyłem ojca, po raz ostatni w moim życiu. Ten moment tkwi w mojej pamięci po dzień dzisiejszy. W rozmowach o mojej podróży ojciec prosił, abym go nie zostawiał, abym go zabrał ze sobą. Moja odpowiedź była nieodmiennie taka sama. „Ja muszę pójść tam, gdzie mnie Ojczyzna wzywa, a w domu jest jeszcze młodsze rodzeństwo, matka”. Może ojciec chciał się tylko pożegnać ze mną, a ja stchórzyłem i nie zobaczyłem się z nim.

Za chwilę spotkaliśmy się z naszym przewodnikiem i czwórką osób z Podhajec i Przemyślan. Ta czwórka to ksiądz dr Juliusz Kaczorowski, katecheta gimnazjum i liceum, nauczyciel polonista Szczepański, oficer WP Radomski i komornik Stanisław Rogalski. Przewodnik był dobrym znajomym, a nawet przyjacielem jednego z nas, więc ufnie słuchaliśmy jego zaleceń. W Stanisławowie czekamy na pociąg do Śniatyna. W tym czasie przewodnik podchodzi do każdego z nas, aby pobrać po 500 zł (lub rubli) za przeprowadzenie do Rumunii. Gdy przyszedł do mnie, powiedziałem mu, według umowy opłatę uiszczyć mu na terenie Rumunii, to jest po przekroczeniu granicy. Po krótkiej, ale zdecydowanej rozmowie stanęło na tym, że zapłacę już za granicą. Następnie nasz przewodnik przedstawia nam człowieka, który ma nas przeprowadzić przez granicę. Jest nim podobno podoficer WP. Tak twierdził nasz dotychczasowy przewodnik. Zwróciłem uwagę, że nasz nowy przewodnik jest bez kciuka prawej dłoni. Człowiek ten zrobił na mnie bardzo ujemne wrażenie. Jego zachowanie wydało się mi bardzo podejrzane, z czym się nie kryłem wobec współtowarzyszy ucieczki. Wówczas jeden z moich przyjaciół mówi do mnie: „Szczepan, tu nie ma wstydu – jak nawalasz, to wsiadaj do pociągu Stanisławów-Chodorów i wracaj do domu. A ja mu na to „Zobaczysz, jeszcze dziś będziemy za kratkami, ale idę z wami”. Wsiadamy do pociągu do Śniatyna z instrukcją, aby przed stacją w Zabolotowie na ostrym zakręcie, gdzie pociąg zwalnia, wyskoczyć z pociągu, i jak najszybciej oddalić się od toru w kierunku terenów niezabudowanych. Wszyscy ruszyli za przewodnikiem, który wysunął się na czoło całej grupy. Około 200 m od widocznej w oddali wioski przewodnik zatrzymał nas mówiąc, że musi pójść sam, aby sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak zaaranżowano. Nam kazał rozproszyć się po zaśnieżonym polu i udawać kupki nawozu, co się chyba udało, gdyż zmęczeni siedzieliśmy bez ruchu.

Po jakimś czasie nasz przewodnik powraca zadowolony i idziemy dalej w kierunku rzeki granicznej Czeremosz. Napotykamy most, przez który musimy przejść. Ku naszemu zdziwieniu, po drugiej stronie mostu natykamy się na dwuosobowy patrol graniczny, oficera i strażnika, którzy przeliczają nas i nie zatrzymują. Po oddaleniu się od mostu zatrzymujemy naszego prze-

wodnika żądając stanowczo wyjaśnienia tego, co miało miejsce na moście. Jego odpowiedź była prosta i sensowna. „Oni nie was sprawdzają, lecz mnie, ponieważ ja im płacę za każdego z was. Jeżeli płacę za dziesięciu to nie może być was jedenastu”. No, niby zrozumiałe i jasne.

Idziemy dalej, a teren jest jeszcze mocno zaśnieżony, więc ludzie starsi odczuwają zmęczenie. W końcu zatrzymujemy się przy dużym stogu siana i słomy. Przewodnik tłumaczy nam, że jesteśmy nad granicą rumuńską. „Teraz piszcie listy do rodziny z zawiadomieniem, że jesteście w Rumunii. A ja pójdę do przodu i zbadam teren, i za chwilę wrócę do was i zbiorę wasze listy i umówione znaki”. Nic nie pisałem i nie miałem zamiaru oddawać mu tego medalika, który pokazywałem matce, kiedy żegnałem się z nią po mszy świętej w Chodorowie. Prosiłem też kolegów z Chodorowa, aby o mnie w swoich listach nic nie wspominali. Patrząc dookoła i widząc księdza Julisza Kaczorowskiego modlącego się na kolanach w tym śniegu. Westchnąłem „Boże, wysłuchaj modlitwy sługi Twego”.

Za chwilę wrócił przewodnik – pozbiierał listy i znaki i żegnając się z nami powiedział: „Ja teraz pójdę raz jeszcze do przodu, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Gdy usłyszycie kukanie kukulki – ku-ku, ku-ku, to wtedy biegnijcie w moim kierunku ile sił”. Za chwilę znikł nam z oczu i usłyszeliśmy kukanie, a było to około pierwszej w nocy 8 marca 1940 r. Zerwaliśmy się i biegniemy ile sił. Za chwilę biegnę pierwszy, lecz poczułem, że jakaś siła przytrzymuje mnie, więc zwalniam i biegnę już jako drugi, potem trzeci, czwarty i piąty, i ujrzałem brzegi Czeremoszu. I już inne myśli przychodzą do głowy, że to nie zdrada, że to ja byłem w błędzie. Więc zrywam się i biegnę do przodu ile sił. Już jestem czwarty, trzeci, drugi i znowu pierwszy. Wówczas usłyszałem przeraźliwy krzyk „Postoj – ruki w wierzch (stój, ręce do góry)”. I już go widzę. Stoi przede mną. W ręku karabin z nasadzoną bagnietą, który już dotyka mojej piersi. I znów przeraźliwy krzyk: „Łożysz (padnij)”. Leżąc, widzę karabin maszynowy jako czasowe stanowisko, a od niego w prawo i lewo w skos strażnicy uzbrojeni w karabiny z bagnietami, a przy nich psy. Szyk ten zamyka drugi z jednej strony i trzeci z drugiej strony karabin maszynowy. Jesteśmy otoczeni od przodu oraz z prawej i lewej strony trójkąta. Na rozkaz „Łożysz (padnij)” upadłem na wznak. Tak leżąc patrzę w niebo i myślę: „To już koniec wolności, koniec dojeżdżania do Lwowa do II liceum na Podwalu, koniec walki o wolną ojczyznę”. W tym momencie podchodzi do mnie jeden ze strażników i robi rewizję w poszukiwaniu broni. Nagle odskoczył ode mnie z wielkim krzykiem i uderzył mnie kolbą w brzuch. Dwóch innych strażników podbiegło do mnie i przytrzymało mnie za nogi i ręce, a ten pierwszy wsadził rękę do kieszeni mego płaszcza i wyciągnął jabłko. Zaklął siarczyście, gdyż myślał, że mam w kieszeni granat ręczny. Po skończonej rewizji ustawili nas w rzędzie, jeden po drugim, a pomiędzy każdym z nas jeden ze strażników z bagnietą na karabinie. Szczekające psy, biegnące wokół nas, uzupełniały tę nocną karawanę. W takim to korowodzie prowadzą nas do najbliższej strażnicy. Jak idziesz za szybko,

to się nadziewasz na kolbę karabinu strażnika przed tobą – a jak idziesz za wolno, to jesteś popychany bagnietą strażnika, który idzie za tobą. Teren mocno zaśnieżony – miejscami wpadasz po pas w śnieg, co nie pomaga w tym pochodzie. Nie wiem, jak długo trwał ten marsz, po którym w końcu dotarliśmy do strażnicy granicznej. Była to kilkuizbowa budowla. Zgromadzili nas w jednej z tych izb i ustawili twarzą do ściany z rękoma podniesionymi do góry. Wyjątkowo męcząca pozycja, zwłaszcza po odbytym marszu w korowodzie i wcześniejszych wysiłkach dotarcia do granicy.

Po chwili zjawił się oficer i zapytał, który z was jest popuszka (księdzem). To ja – odezwał się ks. dr prałat Juliusz Kaczorowski. „Dawaj so mnoj (chodź ze mną)”. Wyszedł z naszej izby i zaczęło się śledztwo, które trwało chyba pół godziny. Po tym śledztwie wprowadzili ks. Kaczorowskiego z powrotem do naszej izby. Twarz miał posiniaczoną, a na głowie zakrwawioną bandaż. Ten sam oficer wchodził do naszej izby jeszcze dziewięć razy i za każdym razem zabierał jednego z nas na to śledztwo i spisywanie danych personalnych. Za którymś razem przyszła moja kolej. Po wejściu do izby zobaczyłem duży stół, pośrodku którego siedział starszyzna (przewodniczący komisji), po bokach sekretarka i tłumacz, a za nimi kilku strażników w pozycji stojącej. Przewodniczący zapytał mnie, co ja robiłem nad Czeremoszem o tak późnej porze w nocy. „Chciałem przekroczyć granicę rumuńską” – brzmiała moja odpowiedź. „A za czym (a po co)?” – pyta. „Aby przejść przez Bałkany, Włochy północne i dostać się do Francji”. „A za czym do Francji?” – pyta przewodniczący. „Bo we Francji tworzy się armia polska pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego”. „A za czym w armii Sikorsko?” – pyta śledczy. „Aby bić Niemców” – odpowiedziałem. „Ot ty młodyczek – no wsio taki durak. Bo jak ty chciałeś bić Niemców, to tobie nada było poczekać na nas. My jak nie za rok, to najpóźniej za półtora będziemy w wojnie z Niemcami”.

Po przesłuchaniu ostatniego z nas na dworze już się rozwidniało. Wyprowadzili nas na drogę i powiedzieli, abyśmy szli nią aż do zakrętu, a tam będzie czekać na nas lora, którą powiozą nas do Kołomyi. Zwróciłem uwagę, że po obu stronach tej drogi są dość głębokie rowy. Te rowy to zasadzki na nas – powiedziałem dość głośno. Idziemy dalej i w końcu dochodzimy do zakrętu, na którym istotnie stoi lora. Zatrzymaliśmy się, a z rowów wyskakuje uzbrojona eskorta. Wchodzimy na lorę wraz z eskortą i jedziemy do Kołomyi. Wsiadamy na dziedzińcu więziennym, na którym czekali na nas dozorczy więzienni. Do Kołomyi przywieźli nas chyba po to, aby opróżnić strażnicę graniczną, którą potrzebowali dla następnych „turyistów”. W więzieniu w Kołomyi byliśmy dość krótko, ale dostatecznie długo, aby zapoznać się z robactwem, powszechną plagą więzienną w tamtych czasach. Wkrótce przetransportowano nas do więzienia w Stanisławowie. Tam, po gruntownej rewizji z zaglądaniem nawet tam, gdzie nie potrzeba, zostałem skierowany do celi nr 60. Okna tej celi wychodziły na boczną ścianę skrzydła budynku więziennego. Od czasu do czasu dochodziły do nas gwar i krzyki uliczne. W tym

więzieniu trwały śledztwa przez 24 godziny na dobę. Pamiętam powracających kolegów z kilkunastogodzinnego śledztwa kompletnie wykończonych. Śledczym chodziło głównie o to, kto organizował polski ruch oporu. W moim przypadku sprawa była prosta. Nikt mnie nie organizował. Ja chciałem przekroczyć granicę, aby się dostać do armii gen. Sikorskiego we Francji. Cel? Bić Niemców. Uniknąłem więc bicia i tortur, które były udziałem starszych współtowarzyszy ucieczki. Najlepiej chyba tłumaczył się pan Mieczysław Jaguszewski, który twierdził, że uciekał od żony, która go biła przez cały czas małżeństwa. Mówił do nich: „To ja czekałem na was 21 lat, abyście mnie oswobodzili od bicia przez żonę. A wy co? Przyszlście nas oswobodzić, a moja żona, jak biła mnie przed waszym oswobodzeniem, tak w dalszym ciągu bije mnie po waszym przyjeździe. W związku z tym widziałem ratunek tylko w ucieczce od żony.” W rezultacie takiego tłumaczenia p. M. Jaguszewski dostał wyrok trzech lat łagrów. Reszta z nas od pięciu w górę.

Materiały śledztwa po jego zakończeniu wysłano do wyższej instancji do zatwierdzenia. Na to zatwierdzenie czekaliśmy w różnych więzieniach Rosji przez sześć miesięcy. Tymczasem przygotowywani jesteśmy do transportu w głąb Rosji. Przechodzimy badania, a raczej oględziny lekarskie. W naszej grupie przeprowadzała je młoda i bardzo ładna lekarka. Jeden ze śmielszych w naszej grupie zapytał ją, co nas czeka po przyjeździe do Rosji i czego możemy się spodziewać. Odpowiedź młodej lekarki brzmiała: „Nie bezpokojsia – żyć будiesz, no jebać nie zachociesz (Bądź spokojny – żyć będziesz, ale na seks nie będziesz miał ochoty)”.

Wszystkich gotowych do transportu umieszczali w kaplicy więziennej. A raczej upychali tak, aby wszyscy się zmieścili. Były tam setki ludzi. Potem wyprowadzili nas na dziedziniec więzienny, nałożyli kajdanki na obie ręce, uformowali z nas kolumnę marszową i pod silnie uzbrojoną strażą popędzili na stację kolejową. Sądzę, że było nas z tysiąc osób. Kiedy tak maszerowaliśmy ulicami miasta, ludzie zatrzymywali się i żegnali nas znakiem krzyża, płacząc nad naszym losem. Na stacji czekały na nas wagony towarowe z zakratowanymi okienkami. W środku wagonu, po lewej i prawej stronie trzypiętrowe nary z desek pozwalające jedynie na zajęcie pozycji leżącej. Nie dało się na nich swobodnie siedzieć. Na środku wagonu, pomiędzy drzwiami wycięty był otwór na załatwianie potrzeb fizjologicznych. Zaczęto nas ładować do wagonów 6 czerwca 1940 r. W drogę ruszyliśmy następnego dnia. Wiedzieliśmy, że jedziemy do Rosji. Miałem nadzieję, że przez Chodorów i że jeszcze raz zobaczę moje miasto rodzinne. Niestety, pojechaliśmy na Stryj i przez Lwów na wschód, na wschód, na wschód.

Tak zakończył się pierwszy etap mojej wędrówki do armii polskiej na Zachodzie, „aby bić Niemców”. Nie zdawałem sobie sprawy, co nas czeka w Związku Radzieckim, co to są łagry, na pobyt w których nas skazano. To było przed nami. Tymczasem jedziemy i tułamy się po różnych więzieniach czekając na zatwierdzenie wyroku i ostateczne skierowanie. □

Redakcja „Biuletynu” TMLiKPW w Krakowie – redagowanego przez Jerzego Kowalczyka. Dziękuję za zgodę na druk.
A. K.

OD REDAKCJI: Państwo Anna i Andrzej Sołtyśowie-Kulniczowie (Toronto, Kanada), umożliwili Redakcji nawiązanie kontaktu z panem Andrzejem J. Barączem, Lwowianinem, zamieszkałym od wielu już lat w Hiszpanii (Mijas Pueblo, Malaga). Pan A. Barącz jest autorem wielu opracowań-esejów o bardzo różnicowanej tematyce. Przesłał je naszej Redakcji. Z kilkunastu opracowań wybraliśmy te, w których Autor kreśli swoje wspomnienia z okresu pobytu we Lwowie.

Pobyt ten został brutalnie przerwany wydarzeniami II wojny światowej. Pan A. Barącz w korespondencji do redakcji zapowiada opracowanie także następnych odcinków wspomnień, zarówno z okresu „lwowskiego” jak i odnoszących się do Jego życia na emigracji. Chętnie je wykorzystamy mając na uwadze potrzebę utrwalenia refleksji, jakie nasuwają się rodakom-Lwowianom od wielu już lat przebywającym poza granicami kraju, którzy jednak myślami tkwią uporczywie w Mieście swego dzieciństwa i lat młodości, tak jak to ma właśnie miejsce w przypadku pana Andrzeja Baracza.

W tym miejscu chcemy podziękować Autorowi wspomnień za wyrażenie zgody na opublikowanie przesłanych opracowań. Pani Annie Sołtyś-Kulnicz dziękujemy za pomoc w edytorskim opracowaniu rękopisów pana A. Baracza oraz za możliwość wykorzystania fotografii Autora tych rękopisów. Redakcja dokonała nieznacznych skrótów w publikowanym rękopisie, które oznaczyliśmy: (...).

Sylwetkę pana Andrzeja J. Baracza i sylwetki członków Jego rodziny opisujemy słowami Autora publikowanych esejów. Opis ten został zaczerpnięty z szerszego opracowania (datowanego: 14 kwietnia 1997 i 30 lipca 2000) dołączonego do listu do Redakcji, jaki Autor wspomnień przesłał w styczniu 2003 r. (patrz także: cz. IV publikowanych WSPOMNIENI. W tej części Autor opisuje swe losy wojenne i powojenne):

„Urodziłem się we Lwowie w roku 1911. Było to wtedy C.K. Imperium Austriackie i trwająca już przeszło stulecie okupacja austriacka, która na skutek swojej względnej łagodności była traktowana raczej z przekąsem. Wszystko, co było wątpliwe i niezgodne z naszymi poglądami określano jako „austriackie gadanie”. Nad narodami Imperium czuwał najmiłościwiej panujący nam „Najśmieszniejszy Pan”, na czele trochę operetkowej armii. Przyjeżdżał on czasem do stolicy „Galicji i Łodomierii”. (Galicji i Łodomierii), królewskiego stołecznego miasta Lwowa, kiedy demonstracje patriotyczne przybierały zwykle formę kawałów. Np. kiedy w czasie wizyty Franciszka Józefa we Lwowie nakazano iluminację przez wystawienie świec we wszystkich oknach, jeden z arystokratów kazał zamurować w swoim palacu wszystkie okna na czas wizyty Najjaśniejszego Pana, a hrabina Komorowska, była wychowawczyni cesarza, podobno stale demonstrowała swój stosunek do C.K. monarchii przez płacenie austriackich podatków specjalnie zrobionymi w tym celu srebrnymi nocnikami. Jedynym szczegółem z tych czasów, który utkwił mi w pamięci, był austriacki policjant w jasnoszarym mundurze z mosiężną blachą, z numerem na piersiach i szablą w czarnej skórzanej pochwie, i w charakterystycznej

czapce z „bączkiem”. W tym, raczej dobrotliwym, zabozrze kultura polska rozwijała się swobodnie. Ośrodkami jej był Kraków i Lwów.

Pochodzę z rodziny ormiańskiej, która w XVII czy XVIII w. osiadła na Podolu koło Mohylewa, w obszarach należących do hr. Szczęsnego Potockiego. Mieli oni powiązania z Czerniowcami i Kutami, w których istniały ośrodki ormiańskie. Po rozbiorach rodzina osiadła we Lwowie, gdzie Dziadek piastował urząd dyrektora jakiejś kancelarii w C.K. Izbie Skarbowej (wszystko wtedy było C.K.). Poza tym, mając żytkę ormiańską do interesów Dziadek był właścicielem dużego, co moglibyśmy dzisiaj nazwać, motelu.

Kolej jeszcze nie było, przyszła dopiero w roku 1845, więc ludzie podróżowali dyliżansami, wymagającymi stajni i wozowni obok hotelu. Kiedy przyszła (wybudowano) kolej, Dziadek sprzedał tereny, na których były stajnie i wozownie, i pozostał jedynie przy „Hotelu Krakowskim”.

Rodzina była liczna. Czterech synów i córka. W Europie szalała epidemia ospy. Było to jeszcze przed wynalezieniem szczepionki (przeciwko ospie). Konsekwencją tego była śmierć jednego z synów i córki oraz utrata wzroku przez mojego Ojca.

Wszyscy synowie otrzymali wykształcenie.

Stryj **Tadeusz (1849-1905)** był rzeźbiarzem (studia w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie (1868-69), Akademia w Monachium (1869-71), Włochy (1872-75)). Stryj **Erazm** ukończył Akademię Górniczą w Leoben, będąc potem starszym radcą górniczym (za czasów austriackich) i dyrektorem Kopalni Soli w Wieliczce, już po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. (Interesująca informacja: w zbiorach Galerii Obrazów we Lwowie znajduje się portret Tadeusza Baracza pędzla Jacka Malczewskiego – olej, płótno, 23,5 x 18,5 sygnowany: JM, **dar Erazma Baracza dla Galerii**). Przytoczę okoliczności, które skierowały stryja Erazma do kariery w branży górniczej. Mianowicie, kiedy był jeszcze w gimnazjum, katecheta opowiadał uczniom o świętym Szymonie Słupniku, który przez jakiś przydługi czas siedział na słupie ku chwale Pana Boga. Na to mój stryj, nie mogąc jakoś skojarzyć tego faktu z korzyścią dla Stwórcy, powiedział: proszę księdza, to nie był święty, tylko wariat”. Takie bluźniercze oświadczenie w C.K. Katolickiej Monarchii, spowodowało, że został natychmiast wyrzucony z tzw. „wilczym biletem, czyli że nie mógł dalej korzystać z dobrodziejstwa nauki w C.K. Galicji. Dziadek więc wysłał niesfornego gagatka do Leoben, gdzie ukończył Akademię Górniczą. Do tego czasu jakoś zapomniano o jego młodzieńczym wybryku, czy może nawet przebaczone mu. I tak zaczęła się jego kariera górnicza.

Stryj **Roman** był chirurgiem i profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza (UJK) (Prawdopodobnie chodzi tu o okres sprzed I wojny światowej, kiedy Uniwersytet we Lwowie nie nosił imienia Jana Kazimierza (Red.)). Najmłodszy z synów mego Dziadka, **Stanisław**, mój Ojciec, będąc upośledzony kalectwem utraty wzroku, przygotowywał się do kariery muzycznej.

Ukończył z odznaczeniem Konserwatorium lwowskie, klasę skrzypiec i kontrapunktu. Poza tym uczył się jako extern na wykłady literatury i filozofii na UJK (por. uwagę wyżej (Red.)). Był biegłym w językach: francuskim, włoskim i niemieckim. Ojciec mój też publiko-

wał swoje poezje. Niestety, następne nieszczęście uderzyło go, przekreślając jego karierę artystyczną.

Pojawił się skurcz mięśni, co było fatalne dla kariery skrzypka. Wożony do rozmaitych ówczesnych sław medycznych, wedle porady jednego z wiedeńskich specjalistów, przeszedł operację nacięcia pewnych ścięgien w dłoni. Przekreśliło to dalszą karierę ojca bezpowrotnie. Ojciec więc skoncentrował się tylko na poezji.

W ówczesnym świecie literackim Ojciec skupiał dookoła siebie artystów i literatów. Znałe były jego niedzielne śniadania, na których bywali ówcześni najbardziej znani literaci, tacy jak: Jan Kasprzowicz, Stanisław Przybyszewski, Stanisław Brzozowski, Henryk Zbierzchowski, Leopold Staff, Ruffer, Władysław Orkan oraz krytycy literaccy i znawcy literatury jak: Tadeusz Sobolewski, Stanisław Womela, Ostap Ortwin i prof. Juliusz Kleiner.

Przyjacielem Ojca aż do Jego śmierci był kompozytor Karol Szymanowski, dla którego Ojciec pisał teksty, a także cała jego rodzina z Tymoszwówki. A więc: brat-Feliks, pisarz i siostra Stanisława Korwin Szymanowska, śpiewaczka.

Pamiętam, kiedy Szymanowski przyprowadził do nas młodego, skromnie ubranego pianistę z rudą kędzierzawą czupryną, którego określił jako bardzo zdolnego, ale jeszcze nierównego. Grał on u nas. Był to Artur Rubinstein, jeszcze przed małżeństwem z Anielą Młynarską.

Jednym słowem świat mojego Ojca to był świat artystów i literatów. Ojciec czytał dużo pismem niewidomych – Braille'a; poza tym miał lektorów, gdyż nie wszystkie książki były wydawane w „brajlu”. Ojciec sprowadzał czasopisma, przeważnie francuskie (np. *Far de France*) wydawane pismem Braille'a).

Stryjowie moi, poza Tadeuszem, który był zawodowym rzeźbiarzem (m.in. Pomnik Króla Jana III Sobieskiego we Lwowie – obecnie w Gdańsku, popiersia i medaliony portretowe), mieli także zainteresowania sztuką. Stryj Erazm był zbieraczem mebli, dywanów, zbroi, obrazów. Był kolegą i przyjacielem Wyczółkowskiego i Jacka Malczewskiego, który namalował wiele jego portretów.

Urządzali oni częste reduty, na których uczestnicy występowali w zbrojach i strojach średniowiecznych ze zbiorów Erazma. Miał on muzeum swego imienia na ul. Karmelickiej w Krakowie, które po jego śmierci, zgodnie z jego wolą zostało wcielone do zbiorów wawelskich. W jego wypełnionej antykami willi w Wieliczce gościł często cesarz niemiecki Wilhelm, który przyjeżdżał do Krakowa incognito, aby pozować Juliuszowi Kossakowi, który był jego nadwornym malarzem.

Stryj, chirurg, Roman zbierał obrazy, ale jego zawód tak go absorbował, że nie pozostawiał już miejsca na poważne zajęcie się sztuką. Dlatego też jego kolekcja poza tym, że były to obrazy stare, nie przedstawiała dużej wartości artystycznej. Był on biegły w 12-tu językach. Między innymi w ormiańskim, angielskim, francuskim, włoskim, niemieckim i ... nawet w żargonie żydowskim. Miał wielu pacjentów Żydów. Syn jego Zygmunt był też chirurgiem i docentem UJK. Miał prawdopodobnie odziedziczyć Katedrę po ojcu, jednak w roku 1920 jako ochotnik poszedł na wojnę i zmarł na froncie w Mejszegli pod Bobrujskiem (w „Atlas świata” PWN - 1962, odnaleźliśmy: MEJSZAGOŁA = MAIŠIOGALA k. Wilna (Red.)) na szalejącą wtedy w Europie hiszpankę.

W dalszej rodzinie był kuzyn Dziadka, **Kajetan Barącz**, który ożenił się z baronową Janos, córką marszałka austriackiego i kuzynki cesarzowej Marii Teresy (z domu Auerberg). Baron Janos dowodził w jakichś działaniach wojennych na Morawach z początku XIX wieku. W jaki sposób Kajetan wydrapał się na tak wysokie progi, nie wiem. Z małżeństwa tego było dwoje dzieci, syn **Władysław** i córka **Jadwiga**. Władysław był aktorem występującym głównie na scenach niemieckich i później był dyrektorem Teatru we Lwowie, na czym stracił znaczny majątek; zmarł w domu ubogich. Córka jego była śpiewaczką operową. Wiem, że w domu posiadaliśmy papiery, które mogły mieć wartość dla historyków. Dotyczyły one rozkwaterowania wojsk na Morawach, a także papiery dotyczące łoża wolnomularskiej, której baron Janos był członkiem lub mistrzem. Co stało się z tymi papierami, nie wiem. Innym kuzynem Dziadka był ksiądz **Sadok Barącz** dominikanin z klasztoru w Podkaminie. Napisał on szereg książek historycznych, głównie dotyczących historii Ormian w Polsce.

Andrzej Barącz Wspomnienia

Część I

Siedzę nad błękitnym Morzem Śródziemnym, w miejscu obcym, choć w kraju spadkobierców wielu kultur, które tu nakładały się warstwami od przeszło czterech tysięcy lat. Nie „nad szumiącym Tajem”, jak głosiła niegdyś piosenka rewii gimnazjalnej pióra Zygmunta Reissa, ale w romantycznej Andaluzji. Zmienia się ona niestety szybko w hałaśliwą i wulgarną riwierę.

Przed wszystkim na tle błękitnego morza i nieba, na wzgórzu, na którym kiedyś stały kolejno twierdze Fenicjan, Kartagińczyków, Greków, Rzymian i Arabów wznosi się teraz kościół, którego wieża postawiona 1200 lat temu była częścią fortyfikacji arabskiej.

Było to jeszcze przed narodzeniem się Piasta, w czasie, kiedy kalif Kordoby odwiedził dzikie, północne kraje, ok. roku 1000 był w Kaliszu i Krakowie, który wtedy jeszcze był miastem czeskim.

Wszystko to malownicze, ale obce, przypomina mi wciąż, że jestem wygnańcem, że gdzieś tam za sobą pozostawiłem, zmuszony tyranią losu, miasto „Siedmiu Wzgórz”. Tam to przeżyłem moją tragiczną młodość, ale młodość. Dziś przypomina mi to tylko, że gdziekolwiek osiadłbym, nawet w tej nowej III Rzeczypospolitej, będę zawsze za granicą. Gdybym zaś wrócił do mego rodzinnego miasta, będę już też w kraju obcym, za granicą. Obrazuje to bezsens sztucznych podziałów, którymi człowiek podzielił ziemię na: moje i twoje.

Dziś, kiedy z przestrzeni spojrzeliśmy na ziemię, stało się jasne, że żyjemy w cienkiej warstwie gazów, na zawsze zawieszonym w przestrzeni satelicie, którego skłóconą załogę stanowi ludzkość i że w nieskończoności przestrzeni i czasu istnieją miliardy takich słońc, jak to, dookoła którego krążymy. (...)

Ludzkość dojrzewając przechodzi ewolucję, w której rywalizują kultura i cywilizacja. W naszej dobie hołdującej łatwiznie, prym wiedzie cywilizacja, która daje nam do ręki narzędzia bez sposobu ich użycia. Dlatego naj-

częściej używamy ich błędnie. Przepis ich użycia zawarty jest w kulturze, dlatego kultura i cywilizacja powinny rozwijać się współmiennie. Wydaje się to nieodzownym warunkiem dla przeżycia ludzkości. (...)

Takie myśli przychodzą mi na tym samotnym wygnaniu.

Ale dość tej filozofii. Powróćmy do naszego pierwszego tematu. Ta do Lwowa.

Widziałem kiedyś w telewizji obrazki z ówczesnej rzeczywistości – to było już po „pierestrojce”. Może teraz to się zmieniło? Ale wtedy zobaczyłem kolumnę Mickiewicza na tle obdrapanych domów, pomalowanych na jakiś „kazonny” kolor, z powybijanymi szybami, przez które powiewały podarte firanki. Na ścianach domów wypisane były białą farbą, cyrylicą, jakieś prawdy życiowe. Po ulicach posuwali się ludzie w kufajkach, w futrzanych czapkach patrzący bezmyślnie w dal. Każdy niósł jakiś tobolek, jak mrówka do mrowiska. Potem widziałem pomalowane na żółto Ossolineum i tylko kawki, jak za dawnych lat, kłębiły się chmurą nad jesiennymi drzewami. I te bruki lwowskie, którym nawet czołgi przewalających się armii niemieckich i sowieckich nie dały rady.

Było mi smutno i zacząłem chodzić myślami po ulicach przedwojennego Lwowa, przypominać sobie czasy i ludzi związanych ze Lwowem mojej młodości.

A więc najpierw Chorążczyzna, gdzie mieszkałem.

Z Cytadeli schodziła do niej stromo ulica Heleny Dąbczyńskiej, dawniej ul. Cytadelna. Przez nią to właśnie, w dzień deszczowy i ponury, szły kiedyś lwowskie dzieci na tułaczkę, ale z nadzieją na powrót. Tym razem ta nadzieja zawiodła.

Idąc od Cytadeli w stronę ul. Akademickiej, miałem wiele wspomnień.

Wtedy był Plac Dąbrowskiego ze studnią artezyjską, z której brano wodę w czasie wojny ukraińskiej, kiedy nie działały wodociągi lwowskie.

Gdzieś na Chorążczyźnie stał pałacyk hr. Aleksandra Fredry, ale już za moich czasów nie było po nim żadnego śladu. Naprzeciwko placu Dąbrowskiego stał jednopiętrowy dom, w którym było seminarium handlowe żeńskie Anny Rychnowskiej-Ciorochowej. Mąż pani Anny, inż. Cioroch, był Ukraińcem i konstruktorem pływającego młyna, w którym mielił zboże dla ukraińskich chłopów mieszkających nad Dniestrem. Dom ten był też szczególnie, bowiem mieszkał w nim inż. Franciszek Rychnowski albo *Iks von Chyr* (czytaj wspak) de Wyszehrad. Kiedyś miał on tam fabrykę zatrudniającą stu ludzi. Cały personel został za moich czasów zredukowany do jednego człowieka, starszego pana Maciaka, który pracował tam na własne utrzymanie.

Pan Rychnowski był niezwykle oryginalnym, średniego wzrostu, z brzuskiem, nosił kapelusz z piórkiem spod którego spadały mu na ramiona długie, siwiejące włosy. Miał ogromny ogórkowaty nos. W krawacie lśniła wielka perła, którą dostał za jakieś zasługi od królowej Carmen Silva. A z butonierki zwisał order nadany mu przez królową Wiktorię.

Inżynierowie-elektrycy byli cenieni w owych czasach. Pan Rychnowski założył w gmachu sejmu galicyjskiego (późniejszego UJK) pierwsze na terenie Imperium Austriackiego oświetlenie elektryczne, do którego elektrownia i lampy łukowe były skonstruowane przez niego (w tym czasie nie można było nic takiego kupić).

Plotka mówi, że jeden z ówczesnych posłów próbował kupić od pana Rychnowskiego beczkę *tego, co świeci* w lampach łukowych, bowiem inżynier twierdził, że udało mu się skroplić substancję, która tworzy elektryczność. Wydał nawet dwie broszury: „Omnia in Sole” oraz „Prana Vis Vitalis”, a także pozostawił po sobie gruby manuskrypt pisany kodem. Inżynier uważał, że udostępnienie tej wiedzy całej ludzkości grozi katastrofą.

Po śmierci pana Rychnowskiego zakodowany manuskrypt był w rękach Tadeusza Zwiernickiego, jego pasierba.

Pan Rychnowski leczył też ludzi jakimiś promieniami wytwarzanymi przez jego maszyny, które przypominały wyglądem maszyny Wimshurst.

Kiedy słusznie zaniepokojona izba lekarska zaczęła badać działalność inżyniera i przesłała mu do wyleczenia psa ze sparaliżowaną nogą, pan Rychnowski wyleczył mu ją, ale sparaliżował mu inną nogę i odesłał psa z powrotem, aby tym razem wyleczyli go lekarze. Zyskało mu to pewne uznanie i dostał pozwolenie na leczenie, ale przydzielono mu do nadzoru lekarza dr. Kowalskiego. Pan Rychnowski twierdził również, że jeszcze przed Edisonem skonstruował fonograf, co było o tyle możliwe, że idea „wisiała w powietrzu”.

Jego kolorowe przeźrocza widziałem osobiście w jego pracowni, w której wisiał pod sufitem wypchany krokodyl.

Pan Rychnowski miał też duże uznanie u teozofów, a nawet Anne Bessant odwiedziła go we Lwowie. W jego staromodnym salonie wisiał duży obraz, zajmujący całą ścianę, przedstawiający w matejkowskim stylu kazanie Savonaroli, malowany przez ucznia Matejki – pewnego Rusina, którego nazwiska nie pamiętam.

W rupieciarni, która pozostała po fabryce, były trzy samochody. Jeden parowy, na paliwo naftowe, jeden elektryczny z ogromnym kufrem akumulatorów i jeden jednocyndrowy – „modern”, bo już na benzynę.

Jako jeszcze jeden rys charakterystyczny pana Rychnowskiego: był to wielki patriota i na wszystkich pochodach trzeciomajowych szedł w pierwszej czwórce z białą-czerwoną kokardą.

Alchemik? Być może.

Czuję, że zbyt długo zatrzymałem się na osobie pana Rychnowskiego.

Idziemy zatem dalej. Mijamy poprzeczną ulicę Sokoła z „knajpką” Maksymowicza na rogu. Ulica ta znów zasługuje na uwagę, gdyż mieściła dwie, a właściwie trzy ważne instytucje. Pierwszą był gmach Sokoła Macierzy, drugą redakcja i drukarnia *Wieku Nowego*, a trzecią VII Gimnazjum Neoklasyczne im. Tadeusza Kościuszki, którego i ja byłem uczniem.

To gimnazjum było nową formą szkolnictwa niezadowolonego z wiedzy klasycznej, a kładącego większy nacisk na nauki ścisłe, coraz bardziej potrzebne w rozwijającej się coraz szybciej technice. Nikt jeszcze nie przewidywał komputerów lub konsekwencji teorii Einsteina, o której mówiono początkowo jako o ciekawostce naukowej bez praktycznego zastosowania.

Gimnazjum dało nam jednak wystarczająco wiadomości o świecie klasycznym, o początkach filozofii, o Sokratesie, o pierwszych krokach i kłęsce demokracji ateńskiej. Przygotowało nas ono na przyjście nowego porządku świata.

Historia się powtarza, gdyż natura ludzka nie zmieniła się od owych czasów. Kiedy po wielu latach znalazłem się na białych skałach Aeropagu, ogarnęło mnie wzruszenie, że jestem dokładnie w miejscu, gdzie odbyła się jedna z największych tragedii w dziejach ludzkości, równa chyba tylko krucyfikacji, gdzie wydano wyrok na Sokratesa i na pierwszą w świecie demokrację.

Kiedy zostałem uczniem VII Gimnazjum Neoklasycznego, było to już po wojnach i profesorami byli albo panowie w wieku emerytalnym, albo młodzi ludzie, którzy przyszli jeszcze w mundurach. Jednym z największych oryginałów był prof. Gawlikowski, polonista.

Postać nad wyraz komiczna. Grubawy pan, łysy, z sumiastymi wąsami, zawsze ubrany w czarny płaszcz, w meloniku, z grubą laską lub parasolem. Zawsze też w zbyt dużych kaloszach, którymi, idąc, cziapał. Jego lekcje mogłyby być często przedmiotem zainteresowania jakiegoś cenzora, niemniej były one bardzo rozweselające. Kiedy cziapiąc kaloszami wchodził do klasy, wszyscy głośnym murmurando skandowali do taktu: „jedzie, jedzie, jedzie”. Kiedy wchodził na gradus, na którym stała katedra, chór powiadał „całuj-rączki”, na co Gawlik, bo tak go nazywano, odwracał się do klasy i odpowiadał: „pocałuj mnie...”.

I tak rozpoczynała się lekcja.

Kiedyś, przy czytaniu „Trylogii”, przy słowach: „i leciały pod nogi hetmana buławy”, ktoś, aby zilustrować to dźwiękowo, rzucił polano, które potoczyło się po podłodze. Gawlik zerwał się i złapawszy lagę ryknął: „który to?” Na to ktoś z klasy odpowiedział: panie profesorze to Kłafien. „Wierzę ci” – ryknął Gawlik i pognał na koniec klasy, gdzie między ścianą a piecem siedział Kłafien, nie mając możliwości ucieczki. W tej chwili widać było tylko niknącego pod ławką Kłafiena i stojącego nad nim i wywijającego lagą Gawlika. Wtedy cała klasa unisono zaczęła wołać: „nie bij, nie bij”, na co Gawlik opuścił lagę i mrucząc pod nosem jakieś niecenzuralne epitety, pocziapał z powrotem na katedrę.

Przypominało to jakiś surrealistyczny balet i było widocznym źródłem uciechy zarówno dla klasy jak i dla profesora.

Był on jednak doskonałym polonistą, a takie epizody okraszały wykładany przedmiot jak rodzyнки placek.

Na końcu każdej lekcji była zawsze modlitwa. Jednego dnia Gawlik warknął: „Gottesman módl się!” Ktoś z klasy bąknął: „ta, panie profesorze, ta on jest Żyd”. „Stul ...”, Gottesman módl się” i biedny Gottesman, choć się nie przeżegnał, odmówił „Ojcze nasz”, które tak wiele razy słyszał. Najdziwniejszy jest fakt, że później Gottesman wychrzcił się, ale nie miało to związku z jego przymusową modlitwą, tylko ze „sprawą sercową”.)

Religii uczył pocziwy ksiądz Bielówka. Zawsze żalił się przed nami, że nie czuje się dobrze w mieście. Pochodził ze wsi i rozumiał prostoduszność chłopów. Jednym z naszych standardowych kawałów były diabełki. Diabełki wycinało się z sukna i smarowało kredą. Kiedy ksiądz przechodził, rzucało się diabełka na sutannę. Oczywiście sukno spadało, ale pozostawała kreda i ksiądz paradował z diabłami na sutannie.

Ponieważ w gimnazjum był duży procent Żydów, mieli oni swojego nauczyciela religii, któremu też robili

kawały. Jednym z najpaskudniejszych kawałów było wysmarowanie kapelusza od wewnątrz klejem, a ponieważ nosił on perukę, efekt by oczywisty.

Nie było różnic religijnych. W każdą niedzielę na chórze kościelnym, w kościele św. Mikołaja śpiewał Tunek Dzieduszycki, a na skrzypcach przygrywa Wiszniewicz, Żyd, polska szlachta, polski lud.**)

Jednym z najbardziej lubianych pedagogów był prof. Zygmunt Reiss, były legionista z Pierwszej Brygady. Był on także naszym przywódcą kulturalnym. Organizował rewie i pisał do nich piosenki. Rewie te miały dobry poziom. W latach 20-tych powstał w rządzie polskim groteskowy projekt starania się o ponemieckie kolonie w Angoli. Oczywiście, my Polacy, nigdy nie staraliśmy się być kolonizatorami i projekt ten dla wielu z nas wydawał się śmieszny. W rewii zatem zorganizowaliśmy balet, w którym tańczyły Murzynki w krakowskich strojach, śpiewając: „hej, my sobie jacy tacy chłopcy Angolacy”.

Tenorem był zawsze Tunek Dzieduszycki, konferansjerem Kazio Związek, który raz w czasie programu, kiedy ktoś z ostatnich rzędów upomniał się: „głośniejj!”, odpowiedział: „ta panie, ta musi być jakaś różnica między biletem za złotówkę i za dwa złote!”

Ja malowałem zwykle dekoracje z Karolem Baranieckim, po którym pozostały po II wojnie, dwa charaktery: Bolek i Lolek, w popularnych kreskówkach. Nie naśladowaliśmy Zachodu. Mieliśmy nasz własny humor.

Wychodząc z Sokoła w kierunku ul. Akademickiej, mijamy budynek Konserwatorium Muzycznego, który mieścił też kino „Apollo”. Na rogu Akademickiej był elegancki lokal „śniadankowy” pani Teliczkowej, patrycjuszki lwowskiej, o okazałych proporcjach.

O tragicznym wypadku, który zdarzył się w czasie popisu akrobatycznego „człowieka-muchy”, właśnie pod lokalem pani Teliczkowej, napisał popularny bard uliczny „Buwajtyzdorowa”.

*„Przyjechał do Lwowa sławny człowiek Mucha
Wlaź na Teliczkową i wyzionął ducha”.*

A Tunek Dzieduszyckiego widuję czasami w telewizji i to bodaj jedyny z moich szkolnych kolegów, o którym wiem, że jeszcze żyje.

Tyle z lamusa mojej pamięci

Część II

15 czerwca, 1995 r.

Ulica Akademicka, czyli tzw. Corso, było ulubionym miejscem dla spacerów młodzieży lwowskiej. Wieczorem można było tu spotkać wszystkie panny na wydaniu i kawalerów do wzięcia, usłyszeć wszystkie plotki i nowości, a także zawrzeć wszelkiego rodzaju znajomości. Na Akademickiej mieściło się Kasyno Literackie, w którym odbywały się różne imprezy kulturalne, najelegantsze bale i zabawy. Jednym z wydarzeń roku poza Sylwestrem był Bal Ormiański.

Ormianie mieli stare tradycje we Lwowie. Mieszkali tu od wieków, mając własną katedrę z XIV wieku, nazwiska jak Szymonowicze, Agopsowicze, Stafanowicze, Teodorowicze, Moszorowie, Barącz byli dobrze zapisane w kronikach Lwowa.

Na początku był plac Fredry z pomnikiem hr. Aleksandra Fredry, znakomitego komediopisarza. Na rogach ul. Fredry zaczynającej się na wprost pomnika, mieściły

się dwie eleganckie kawiarnie: „Roma” i nieco skromniejsza „Szkocka”. Ta druga zapisała się nawet w światowych annałach nauki, gdyż odwiedzali ją lwowscy matematycy, którzy przy „małej czarnej” prowadzili filozoficzne dysputy, a na serwetkach i marmurowych stolikach rozwiązywali skomplikowane matematyczne problemy. Chodzili tam profesorowie: Banach, Bartel, Stożek, Ulam (jeden ze współtwórców bomby atomowej) i inni. Rezultaty ich prac, a szczególnie Banacha i Stożka, używały miano Szkoły Lwowskiej. W ten sposób skromna kawiarnia lwowska przeszła do historii matematyki.

Moje wspomnienia są nieco chaotyczne, ale tyle myśli ciśnie mi się do głowy, że trudno nadać im pierwszeństwo. Poza tym są to dawne czasy, tonące już w wodach letejskich, ale obrazują nieco stosunki w tym tak rdzennie polskim mieście, w okresie tuż po przeszło wiekowej niewoli.

Wszystkie narodowości składające się na mozaikę ludnościową Lwowa, nie zaniedbując swoich tradycji pochodzeniowych, złożyły się na jego rozwój kulturalny.

Wszyscy oni kochali to urzekające swym czarem miasto. Wszyscy byli przede wszystkim patriotami Lwowa. Warto wspomnieć o różnych notablach, aby zobrażać dziwny, międzynarodowy charakter Lwiewo Grodu. A więc dowódcą Okręgowego Korpusu był gen. Zulauf – legionista i rodowity lwowski Żyd. Dowódcą jednego z pułków piechoty był pułkownik (późniejszy generał) Gigiel-Melechowicz, Tatar z pochodzenia. Dowódcą szóstego pułku lotniczego był rodowity Włoch – Camillo Perini, a jego zastępcą był mjr Paleolog – potomek greckiej rodziny panującej. Dyrektorem poczty był Ormianin Moszoro.

Żeby rzucić nieco światła na stosunki polsko-ukraińskie muszę wspomnieć o szwecu, panu Jaremie, który miał swój zakład szewski obok kawiarni „Szkockiej”. Pan Jarema nie był zwykłym szwecem. Pierwszą czynnością w jego zakładzie było zrobienie gipsowego odlewu stóp. Wtedy buty można było zawsze zamówić nawet pocztą. Para butów do jazdy konnej kosztowała „majątek”, czyli 500 złotych, co było poważną sumą na owe czasy. Pan Jarema był Rusinem, żona jego była Polką. Mieli troje dzieci, dwóch synów, z którymi kolegowałem się, i córkę. Wszyscy byli na studiach. Uważali się oni za Polaków. prócz tego miała pan Jarema przybranego syna, którego wychowywał w duchu ukraińskim. Wszyscy pod jednym dachem żyli w zgodzie. Szewc pan Jarema miał w domu piękny zbiór 100 obrazów najlepszych polskich mistrzów. Ciekaw jestem, co stało się ze zbiorem obrazów pana Jaremy po „uwolnieniu” Lwowa przez wschodnich aliantów.

Przy ul. Sykstuskiej mieściła się piwniczka pana Carla Perantoni. Była to autentyczna, murowana piwnica z dębowymi, czysto wyszorowanymi stolami bez nakrycia, gdzie można było dostać różne włoskie potrawy, ale przede wszystkim doskonałe włoskie wina: Cianti, Aleatico, lacrima Cristi. Chodzili tam miłośnicy szlacheckich trunków. Tam nauczyłem się pić dobre wina.

W jednym kącie piwniczki stał zawsze zarezerwowany stół, przy którym „urzędował” sam pan rektor Ciechanowski, który po dobrej włoskiej kolacji i butelce Cianti zwykł czytać gazetę.

Pan Carlo miał dwóch synów, którzy pomagali mu w interesie. Kiedy była kampania abisyńska, wysłał ich

patriotycznie do ojczyzny. Spodziewam się, że Niemcy po zajęciu Lwowa odesłali wiernego alianta w ślad za jego synami.

Inna knajpka, uczęszczana przeważnie przez artystów i literatów, to była restauracja Naftuły, przy placu Trybunalskim, gdzie specjalnością były flaczki, obficie zakrapiane „czystą”. Właścicielem jej był pan Michał Szymon Toepfer. Człowiek o okazałej tuszy. Jednak nawet woda święcona nie wymazała z pamięci klientów jego pierwotnego imienia Naftali, został więc Naftułą. Pan Michał miał aspiracje artystyczne i sam „popelnił” bardzo oryginalnie wydany tomik satyrycznych poezji na temat rajców miejskich, gdzie sam siebie określił jako: zaprzysiężony rymarz miejski.

Pan Michał był melomanem i zbieraczem dzieł sztuki. Ofiarował galerii muzeum lwowskiego ponad sto obrazów, między innymi: Malczewskiego, Wyczółkowskiego i Dobrowolskiego. Był on częstym gościem mojego ojca.

Lokalem najbardziej uczęszczanym przez boheme lwowską była piwnica *Atlasy* w Rynku Lwowskim. Na ścianach tego lokalu pozostawione były przez różne mniejsze i większe gwiazdy literackie sentencje i aforyzmy w rodzaju tego, który zostawił tam Henryk Zbierzchowski.

„Wódki i pracy jednakowa władza, dlatego razem nieźla im panować.”

Jeżeli wódka w pracy ci przeszkadza, przestań pracować.”

Nad babcią pilnującą wygodki widniał napis: „Stosunek do babci powinien być przyzwity i płatny”.

W lokalu tym wypiliśmy morze Kaliszczakówki, jak nazywaliśmy wiśniówkę, na którą chodziliśmy z naszym łacinnikiem, profesorem Karolem Kaliszczakiem.

Kiedy po latach tułaczki koledzy odwiedzili Edzia *Atlasy*, gdzieś w australijskim szpitalu, padło pierwsze lwowskie pytanie: ta, Edziu, ta co ty tu robisz? Odpowiedź była: ta, co mam robić w szpitalu, ta umiram.

Jako dziwny anachronizm z czasów Zagłoby, ale miłośników syconego miodu, mieściła się koło Teatru Wielkiego, miodosytnia Mechla Loewa.

Lwowski Teatr Wielki był to budynek utrzymany w stylu barokowego klasycyzmu. Wybudowano go w drugiej połowie XIX wieku. Front budynku ozdabiała rzeźby i kolumny, a obszerne foyer i obsadzone kinkietami marmurowe schody, mogły znajdować się w najbardziej reprezentacyjnym teatrze C.K. Imperium.

Wnętrze było równie wspaniałe. Pokryte czerwonym pluszem fotele, obficie pościelane łóżka i balkony, oraz malowana przez Siemiradzkiego kurtyna, przedstawiająca apoteozę Pytii, dopełniały splendoru. Wszystko to było zbudowane z inicjatywy i za pieniądze łytków lwowskich, którzy chcieli w ten sposób udokumentować swój udział w rozwoju kultury i podtrzymania polskości swego kresowego grodu.

Nieopodal Teatru Wielkiego stał pomnik króla Jana III Sobieskiego, dłuta mojego stryja Tadeusza. Król Jan III po wysiedleniu ze swoich rodzinnych stron i tułaczce przez Wrocław zawędrował do Gdańska, gdzie tak jak ja jest wygnanym...

We Lwowie był jeszcze teatr ruski, dawniej nazywany Skarbkowskim, którego dyrektorem był niegdyś mój stryj Władysław. Był też Teatr Rewiowy, który znajdował

się w okolicy ul. Słonecznej, w tzw. dzielnicy krakowskiej, za Teatrem Wielkim.

Do Teatru Rewiowego przyjeżdżały często zespoły operetkowe oraz kabarety takie jak: Qui Pro Quo i inne teatry, jak żydowska Habima.

Mój ojciec był członkiem Związku Literatów, dostawał dlatego często bezpłatne lub ulgowe bilety do teatrów. Chodziłem więc często do teatru i doskonale pamiętam „Proszę Państwa” Fryderyka Jarosiego, przeboje Ordonki i „Marianne”, i „Miłość ci wszystko wybaczy”, Mirę Zimińską śpiewającą „Ja się boję sama spać”, „Dodka” – Dymasz i szmoncesy Lopka Krukowskiego.

Jarosy opowiadał o nim, że kiedy Lopek stawiał się do poboru, lekarz po dokładnych oględzinach zawyrokował: typowy nieżyty, na co Lopek zwracając się do niego powiedział: przepraszam, pan doktor chyba niedowidzą.

Innym razem opowiadał, jak Lopek uratował Qui Pro Quo od płacenia podatków. Pewnego razu przyszedł do Qui Pro Quo komornik, aby zająć ruchomości za zaległe podatki. Ponieważ właśnie odbywało się przedstawienie, poproszono komornika, aby poczekał na widowni. Szedł właśnie numer Krukowskiego, po którym komornik wybiegł wzburzony w sali z okrzykiem: to nie jest przedstawienie to jest hańba!

Ponieważ od hańby nie płaci się podatków, teatr uniknął płacenia tychże.

W Teatrze Wielkim często występował nieśmiertelny Solski, a w operetce Milowska i Ruszkowski. Przyjeżdżała też na gościnne występy Elna Gistedt.

LISTY DO REDAKCJI

Kielce 2003.02.14

Szanowna Redakcjo!

W numerze piątym miesięcznika „Semper Fidelis” z 2002 roku na stronie 49 przeczytałem komunikat pt. „Zakusy na M. Konopnicką”, w którym przeczytałem o powołaniu Fundacji im. Marii Konopnickiej w Suwałkach (miejscu urodzenia pisarki i poetki). Z zaniepokojeniem przyjąłem plan ekshumacji przez Fundację doczesnych szczątków M. Konopnickiej z Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie do Suwałk. Przecież był już taki plan po II wojnie światowej, aby zwłoki sprowadzić na obszar obecnego terytorium Polski, ale wtedy sprzeciwiła się temu żyjąca jeszcze córka literatki.

Urzeczywistnienie tego zamiaru byłoby więc jawnym sprzeniewierzeniem się woli rodziny zmarłej, jak również jej samej. Nie pozostanie to także bez szkody dla polskości Lwiewo Grodu. W sytuacji gdy Lwów – i całe Kresy – pozostaje poza politycznymi granicami Macierzy o jego polskości decydują mieszkający tam Polacy, zabytki sztuki polskiej, kościoły z nabożeństwami w języku polskim, szkoły z polskim językiem nauczania, polskie organizacje i stowarzyszenia, pomniki znanych Polaków, a także nekropolie z polskimi mogiłami, zwłaszcza tych, które kryją prochy sławnych Polaków.

Prawdziwa utrata jakiegoś miasta czy terytorium nie musi następować już w momencie znalezienia się ich poza granicami naszego państwa, ale dopiero wtedy, gdy naród na ten fakt się zgadza. Przenoszenie prochów sławnych Polaków ze Lwowa w obecne granice Polski jest publicznym przyznaniem się przez nas, że Lwów nie jest już polski. Tylko tego potrzeba, aby na-

O dzielnicy „za teatrem” należałoby napisać parę słów. Była to dzielnica biedna, zamieszkała przeważnie przez biedotę żydowską. Sercem jej były tzw. Krakidały, czyli wielki targ, na którym można było kupić wszystko. Przeważnie stare rupiecie, ale znawca mógł znaleźć również cenne antyki. Znajdowały się tam też często przedmioty kradzione.

Miałem okazję przyjrzenia się tej dzielnicy, kiedy byłem komisarzem spisowym w czasie dużego spisu ludności w latach 20-tych. W jednym z tych biednych mieszkań mieszkał stary Żyd w chalcie i jarmulce, z pejsami, który był znany z tego, że pisał studentom trudniejsze elaboraty matematyczne. Gdy zapytałem go, gdzie studiował, odpowiedział, że nie ma żadnych studiów. Matematyki nauczył go ojciec – wiedza była w rodzinie.

Koniec części II

Przypisy:

*) należy zwrócić uwagę na fakt, że nie było żadnej reakcji ze strony Żydów na nakaz modlenia się Gótsmanowi. Po prostu każdy potraktował to jako wybryk. Poza tym była to modlitwa napisana przez Żyda dla Żydów do wspólnego Boga i przejęta przez chrześcijan.

**) jakiś Narodowy Demokrat po przeczytaniu, że Wisznovic grał na skrzypcach na chórze w czasie katolickiej mszy św. wtrącił: „bo mu za to zapłacili”. Właśnie że nie. Była to usługa koleżeńska. Pokazuje to jednak indoktrynację umysłów przez partie polityczne i stosunki panujące w społeczeństwie przedwojennym. □

cjonaliści ukraińscy z radości zacierali ręce, że synowie Lecha sami przyczyniają się do odpolszczania miasta „Semper Fidelis”. A nasi pobratymcy spod znaku Tryzubna usilnie walczyli o to, aby ich pamiątki były w takim Przemyslu czy Chełmie.

Rodacy do dziś mieszkający we Lwowie, jak i ci mający w nim korzenie, choć obecnie jesteście rozsiani po Polsce i świecie, nie dopuście do realizacji tego antypolskiego czynu!!!

Przy tej okazji warto wspomnieć o zbiorach „Ossolineum” pozostających we Lwowie, o których zwrot strona polska od wielu lat bezskutecznie zabiega. My, chcąc te zbiory zabrać ze Lwowa twierdzimy, że Maksymilian Ossoliński darował je Narodowi Polskiemu, Ukraińcy zaś, że miastu Lwowu i dlatego odmawiają nam ich zwrotu. Wobec powyższego proponuję wyjście pośrednie, które by wyszło naprzeciw obu interpretacjom – polskiej i ukraińskiej. Zamiast walczyć o wywiezienie tych zbiorów do Polski, spróbujmy wszcząć batalię o założenie polskiej instytucji naukowej we Lwowie, w której by one znalazły pomieszczenie i udostępniane byłyby wszystkim zainteresowanym bez względu na przynależność narodową i obywatelstwo tego czy innego państwa. W ten sposób z tego rozwiązania zadowoleni byłiby zarówno Polacy (bo zbiory znajdowałyby się w polskiej instytucji) jak i Ukraińcy (bo pozostałyby we Lwowie), a dzisiejszemu Lwowowi przybyłby nowy symbol jego polskości.

Łączę pozdrowienia
Jarosław Tadeusz Leszczyński

Kraków, dnia 3 stycznia 2003 r.

Redakcja „Semper Fidelis”

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązuję do artykułu p. Natalii Koczan opublikowanego w SF nr 5/2002. Jest to jednak tylko pretekst do zasygnalizowania problemu, jaki w publicystyce polskiej (ale nie tylko, bo również w innych dziedzinach życia) w ostatnim czasie przyjął się jako rzecz całkiem naturalna, zwyczajna.

Chodzi mi mianowicie o używanie terminu GALICJA, jako słowa zamiennego z terminem: MAŁOPOLSKA stosowanego w okresie II Rzeczypospolitej. Właśnie p. Natalia Koczan w swym artykule taką stosuje terminologię (np. „ziemie galicyjsko-wołyńskie”, „podlegała swojomu Galicja” i in.).

Nie jest to jednak odosobniony przypadek. Jak wiadomo, Galicja to terytorium zaboru austriackiego. Stosowanie tego terminu jest uprawnione do wydarzeń historycznych, jakie miały miejsce na tych ziemiach DO pierwszej wojny światowej. Z chwilą uzyskania przez Polskę niepodległości w roku 1918, nazwa „Galicja” sta-

ła się już terminem historycznym, w rozumieniu obszaru okupowanego w ubiegłych latach przez zaborcę austriackiego.

Niestety dzisiaj w wielu przypadkach termin „Galicja” jest „reanimowany” na użytek codzienny. I tak np. w Krakowie funkcjonuje w radiu („Plus”) – „galicyjski wieczór muzyczny”, na Rynku krakowskim jest sprzedawany „grzaniec galicyjski”, zaś w planach rozbudowy ulic Krakowa jest projektowana „ulica Galicyjska”.

To tylko nieliczne przykłady stosowania terminu funkcjonującego w okresie zaboru = okupacji austriackiej Małopolski, w okresie lat XVIII-XX w.

Niestety, pamięć o zniewoleniu Polski przez zaborców w naszym społeczeństwie się zaciera. Aż strach pomyśleć, że, nie daj Boże, za jakiś czas, kiedy odejdzie pokolenie pamiętające okres II wojny światowej, zaczną funkcjonować jako całkiem „zwyczajne” terminy: „genralne gubernatorstwo”, „dystrykt Krakau, Warschau, Lemberg”.

Niech jako wspomnienie tych koszmarnych czasów, pozostanie w pamięci Polaków (i nie tylko Polaków) już tylko termin „SS-Galicja”.

Prof. Jerzy Kowalczyk

Londyn, 1 stycznia 2003

Wielce Szanowni Państwo,

Przesyłam bardzo serdeczne podziękowania za przesłany podarunek na „gwiazdkę” – wydanie specjalne „Semper Fidelis” na rok 2003. Zatrzymam go w moim archiwum – jako bezcenną pamiątkę kronikarską mojego drogiego miasta.

Specjalny głęboki ukłon dla p. Leszka Sawickiego za opracowanie, wysiłek, pracę i rzetelność pisarską, którego komentarze odnotowały ważne daty wydarzeń historycznych – naszego niezapomnianego „Semper Fidelis”.

Składam gorące podziękowania wszystkim tym, którzy się przyczynili do powstania takiej znakomitej kroniki.

Jako lwowianka „z krwi i kości” – albowiem: urodzona na Łyczakowie (w Szpitalu Wojskowym), wychowana i wykształcona wpięrow w klasztorze SS. Ormiańskich, a potem w gimnazjum Olgi Filipi-Zychowicz. Następnie studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza, ukończone jako magister praw i umiejętności politycznych. Zamieszkała aż do wybuchu wojny przy ul. Łyczakowskiej 16 (róg ul. Żulińskiego i vis a vis ul. Franciszkańskiej). Aktorka-pieśniarka Rozgłośni Lwowskiej Polskiego Radia. Od pierwszego dnia jej powstania – wykonawczyni popularnej audycji „Lwowska Fala”, z którą opuściłam Lwów 11 września 1939, a 17 września przekroczyłam granicę rumuńską i zostałam emigrantką!

Otóż, po takiej epistole – czuję się „uprawniona i usprawiedliwiona, i ulaskawiona” za moją krytykę niektórych adnotacji w kalendarzu. Oto one:

Na stronie miesiąca „Październik”: krótka notatka o Henryku Vogelfängerze, który wtedy emigrując (po rozwiązaniu „Lwowskiej Fali” – po wojnie) wraz z żoną – do Afryki – zmienił nazwisko na Barker. W Afryce pracował w fabryce swojego szwagra, a w chwilach wolnych, nieregularnie dorabiał w polskich imprezach artystycznych. Rzadko ukazywał się na scenie jako Tońko, gdyż jego stały partner, Kazimierz Jan Wajda – Szczepko (przed wojną także speaker rozgłośni lwowskiej), powrócił wraz z żoną Mirą Grelichowską do Polski.

Tońko pozostał sam. Jako przedwojenny młody adwokat – magister praw – a nie doktor prawa, jak często lubił sobie przywłaszczać – nie miał wtedy żadnych możliwości artystycznych, więc emigrował do Afryki. Po paru latach powrócił do Londynu. Brał udział w jednym programie kabaretu literackiego Mariana Hemara, a potem w komedii muzycznej tegoż autora „Piękna Lucinda”. Równocześnie w angielskiej szkole uczył łaciny. Gdy jego żona zginęła tragicznie w wypadku londyńskiej kolejki podziemnej, Tońko był ustawicznie w nastroju pesymistycznym. Dom swój pozostawił synowi, a sam przeniósł się do kulturalnego domu starców na przedmieściach Londynu. I tam wtedy, za namową warszawskich przyjaciół, zdecydował się na powrót do Polski. Po przybyciu do Warszawy zamieszkał w Domu ZBO-WiD-u i kiedy minęła euforia i zainteresowanie jego osobą, Tońko czuł się osamotniony i żałował powrotu. Zmarł w Warszawie, spopieleny w Poznaniu, a prochy jego przywiózł syn do Londynu i pochował na cmentarzu Chiswick, w grobie obok żony. Pozostał jego syn z dwójkiem swoich dzieci, z którym nie mam żadnego kontaktu.

Tyle się rozpisalam o Tońku, ale niewymienienie imienia Szczepka jest krzywdą dla pamięci Kazimierza Wajdy. Obaj byli moimi kolegami, moimi przyjaciółmi i obydwóch serdecznie wspominam.

Jeszcze jedna mała, ale ważna sprawa: skoro w miesiącu „Lipiec” odnotowano pozycję 16.7.1933 jako pierwszą audycję „Lwowskiej Fali” – to można było dodać parę słów tylko, że inicjatorem, organizatorem, autorem, reżyserem, wykonawcą oraz twórcą „typków” w audycji – łącznie ze Szczepkiem i Tońkiem – był tylko i wyłącznie Wiktor Budzyński – obecnie niesłusznie pomijany i prawie zapomniany.

Proszę mi wybaczyć moje „wścibskie” uwagi, ale napisałam je nie jako krytykę, lecz jako rzetelny zapis archiwalny dla Fundacji Semper Fidelis.

Najlepsze, chociaż spóźnione, ale zawsze serdeczne życzenia na ten Nowy Rok 2003 – oby był lepszy, szczęśliwy, pogodny i pełen sukcesów! Raz jeszcze gratulacje!

Włada Majewska

Szanowni Państwo!

Zwracamy się do Państwa z serdeczną prośbą o wzięcie czynnego udziału w przygotowaniu materiałów do pamiątkowego albumu uczniów uczęszczających do polskiej szkoły nr 30 we Lwowie w ciągu jej istnienia. Pragniemy w ten sposób pozostawić ślad w pamięci zbiorowej o tej garstce Polaków, którzy pozostali po repatriacji 1946 roku we Lwowie.

Podejmujemy się redakcji, wydania oraz zdeponowania powstałego albumu w Ossolineum we Wrocławiu. Album zostanie opracowany według podanej niżej ankiety. Ponieważ podczas redagowania może pojawić się potrzeba uściślenia czy uzupełnienia nadesłanych informacji, prosimy o przesłanie aktualnych adresów, numerów telefonów ewentualnie numerów fax.

Termin nadsyłania materiałów – 31 XII 2003 rok.

Z poważaniem

Krystyna Węgier-Maksymowicz
doc. dr hab. med.

Zaproszenie do szkolnej izby pamięci

Gimnazjum Nr 15 w Częstochowie przyjęło imię słynnego lwowskiego matematyka Stefana Banacha. Wraz z uroczystością nadania imienia szkole zostało zainaugurowane mini-muzeum patrona szkoły. Otwarcia dokonali zaproszeni goście, m.in. pani Naczelnik Wydziału Edukacji Urzędu Miasta – mgr A. Rychter i prezes Częstochowskiego Oddziału TMLiKPW mgr W. Baczyński.

W zagospodarowanej sali można odnaleźć pamiątki z okresu międzywojennego. Pomieszczenie utrzymane jest w stylu pokoju mieszkalnego z tego okresu. Są tu fotele, lampa, stylowe biurko nakryte serwetą, a wszystko utrzymane w kolorze ciepłego beżu. Ściany zdobią pamiątkowe zdjęcia z pobytu grona pedagogicznego we Lwowie. Znajduje się tu także portret patrona szkoły ufundowany przez jedną z klas oraz kalendarium jego życia. Na regale wyeksponowane są materiały przekazane przez członków Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

W muzeum odbywają się spotkania Samorządu Szkolnego oraz redakcji szkolnych gazet. W kameralnej atmosferze odbywają się pogadanki z zapraszającymi gośćmi. Obecnie w szkole powstała inicjatywa założenia Młodzieżowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Spotkania tej organizacji będą również odbywały się w atmosferze Lwowa z okresu międzywojennego.



W niepowtarzalnej atmosferze Lwowa i Krakowa młodzież poznaje historię, literaturę, prowadzi dyskusje.

Proponowana ankieta:

1. Dane osobowe: imię i nazwisko (kobiety: panieńskie i po mężu), data i miejsce urodzenia, adres – ulica, dzielnica zamieszkania w czasach lwowskich, adres obecny.
2. Data rozpoczęcia, zakończenia lub przerwania nauki w szkole nr 30.
3. Przebieg (ewentualnej) dalszej edukacji, studiów lub pracy zawodowej.
4. Prezentacja ciekawego, wzruszającego lub zabawnego epizodu z życia szkolnego w Szkole Nr 30.
5. Opis innego istotnego wydarzenia z życia byłego ucznia Szkoły Nr 30 niezwiązany już ze szkołą. Prosimy o dołączenie fotografii z czasów młodości i współczesnych lub – ewentualnie w razie braku takich – z dowolnego okresu życia.

Adres kontaktowy:

05-840 Brwinów k/Warszawy
ul. Kępińska 7A
tel. (0-prefix-22) 729-41-36

Droga do stworzenia mini-muzeum była długa i pracochłonna. Wymagała pełnego zaangażowania grupy osób. Trudnością największą było zebranie funduszy na remont pomieszczenia. Tutaj inicjatywę wykazał Samorząd Szkolny pod opieką p. mgr M. Deski i szkolna świetlica p. mgr M. Maj i mgr E. Chądzyńskiej, które to kierowały apele do uczniów, rodziców i sponsorów z prośbą o wsparcie. Tym sposobem wyremontowano pomieszczenie, a w jego zagospodarowanie włączyła się większość szkolnej społeczności.

Obecnie zajmujemy się udoskonalaniem naszego mini-muzeum, pragniemy wymieniać nasze ekspozycje. Poszukujemy nadal materiałów, pamiątek, które mogłyby zaszczylić nasze muzeum.

Pragniemy zaprosić osoby zainteresowane tym tematem do współpracy z nami. Pamiętajmy słowa wielkiego poety C.K. Norwida:

„Przeszłość to dzisiaj – tylko cokolwiek bardziej odległa”.

Opracowanie:
mgr Małgorzata Deska
mgr Agnieszka Henkel

Apel młodzieży Gimnazjum Nr 15 im. Stefana Banacha w Częstochowie

W związku z nadaniem szkole imienia Stefana Banacha, wybitnego lwowskiego matematyka i otwarciem MINI-MUZEUM PATRONA SZKOŁY zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą o pomoc w zebraniu eksponatów do muzeum. Jesteśmy zainteresowani wszelkimi przedmiotami, materiałami itp. z okresu międzywojennego pochodzącymi ze Lwowa lub Krakowa. Dzięki ogromnej pomocy ze strony Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich udało nam się zainaugurować mini-muzeum i pokazać w nim szereg pamiątek. Cenne będzie dla nas wsparcie zarówno materialne jak i finansowe. Wszystkich odwiedzających Częstochowę zapraszamy do naszego mini-muzeum.

Osoby zainteresowane prosimy o kontakt:

Gimnazjum Nr 15
im. Stefana Banacha w Częstochowie
ul. Jasnogórska 84/90
tel. (034) 368-15-25
mgr Małgorzata Deska

Z góry dziękujemy za okazaną życzliwość

Redakcja Semper Fidelis

Tadeusz Riedl nie był wychowankiem VIII Gimnazjum we Lwowie, natomiast siedzieliśmy w jednej ławce w 14. średniej szkole w roku szkolnym 1939/40, mieszczącej się w budynku przy ul. Dwernickiego 17, w którym mieściło się do pierwszych bolszewików VIII Państwowe Liceum i Gimnazjum im. króla Kazimierza Wielkiego, zwane w skrócie VIII Gimnazjum.

Władysław Wilgusiewicz pisząc, a Szanowni Państwo drukując, powinniście sprawdzić informacje o VIII Gimnazjum i osobach z nim związanych: po pierwsze przywołanych w artykule opublikowanym w numerze 1 (72) 2003 *Semper Fidelis* – Tadeuszu i Władysławie Riedlach. Tadeusz Riedl napisał dwie książeczki o Lwowie, wydane przez wrocławskie Sudety w 1996 i 2002 roku. W obu nie napisał, że uczęszczał lub uczył się w VIII Gimnazjum, ale skromnie: „Uczeń Szkoły im. Marii Magdaleny”. (Na marginesie – kiedy był tym uczniem szkoły na Potockiego, gdy cały czas mieszkał koło mnie na ul. Dwernickiego?) Uczniem VIII Gimnazjum – jak w obu publikacjach podaje Tadeusz – co potwierdzam, był jego starszy brat Władysław. Być uczniem szkoły – nie znaczy być jej wychowankiem.

Tadeusz Riedl urodził się w lipcu 1933 roku, a więc w roku szkolnym 1939/1940 rozpoczętym 25 września 1939 r. w okolicznych szkołach, rozpoczynał swoje publiczne nauki.

Jeśli do artykułu W. Wilgusiewiczowi potrzebne są nazwiska luminarzy, to polecam lekturę T. Riedla oraz zgodny z prawdą, trzyczęściowy artykuł Adama Trojanowskiego pt. „Refleksja na sześćdziesięciolecie” w *Cracovia-Leopolis* (numery 23a, 24 i 25).

Z tekstu artykułu W. Wilgusiewicza wynika, że miał być kompilacją publikacji zamieszczonych w *Semper Fidelis*, poczynawszy od Z. Popławskiego w nr. 3/1993. Nie wiem czy słusznie uczynili pp. B. Broś i F. Cały inspirując PT Autora do takiej pracy, czy nie znali opracowania A. Trojanowskiego? Ale to tajemnice warsztatowe.

Pozostaję z poważaniem.

Andrzej Malina

Poszukiwania

Wnuczka **Jana Burkowskiego**, Anna Żurbiej, obecnie studiująca w Krakowie, poszukuje krewnych bądź wiadomości o swoim dziadku.

Jan Burkowski, syn Antoniego i Adeli, urodzony 8 VI 1905 roku w Szepietówce (?) w rejonie baranowskim (Żytomierz). Miał trzy siostry i dwóch braci. Uczył historii w szkole w Szepietówce (?). Zmarł 19 VI 1984 roku w Żytomierzu.

Anna Żurbiej
ul. Reymonta 11
p. 307
30-059 Kraków

Irena Bereźnicka

Polska droga

*Od wielu, wielu lat idziemy
W drodze krzyżowej,
Jakby nam los wyznaczył,
Naśladowanie Chrystusa:
My z pruskich rąk wydarci,
Od Moskali odcięci,
Od rzezi krwawych cudem uratowani,
I tak od 100-leci ciągle – my.
Uczeni przez rycerzy Mieszka, Chrobrego,
Jana III-ciego Sobieskiego,
Biczowani pałką z kaktusa,
Taki naród krzyżowy – my.
Ludy, ach ludy, cużeśmy uczynili,
Czym żeśmy Was skrzywdzili,
I czym zawinili – my?!*

20 XI 2002 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiem, czy zaciekał Pana to zdjęcie, które posyłałam i niewielką informację, ale może się przyda.



Otóż ten Światowid znajduje się przy ulicy Piaskowej 15 – to była willa Henryka Zbierzchowskiego.

Co do Zbierzchowskiego, to myślę, że starsi Lwowiaczy pamiętają tego najbardziej lwowskiego poetę, powieściopisarza, dziennikarza, redaktora kilku dzienników. W 1928 roku otrzymał literacką nagrodę m. Lwowa, a w 1938 r. Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Lwów był jego wielką miłością. Właśnie w listopadzie (6 XI) minęła 60-ta rocznica Jego śmierci. Pochowany w Krynicy.

Z poważaniem

Bogusława Bryła-Czerna

Ustrzyki Dolne, dn. 27 II 2003 r.

List otwarty

**do dawnych mieszkańców miasta Sokala i ich
potomnych oraz do wszystkich mieszkańców
Ziemi Sokalskiej**

My, dawni mieszkańcy Sokala i Ziemi Sokalskiej będąc na wycieczce w Sokalu, odwiedziliśmy tam Miejski Cmentarz Komunalny, na którym odszukaliśmy zbiorową mogiłę Bohaterskich Żołnierzy Polskich, poległych w bojach na Ziemi Sokalskiej w latach 1918-1920, kiedy po 123-letniej niewoli odradzało się państwo polskie i kształtowały się jego granice.

Na mogile tej złożyliśmy kwiaty, modliliśmy się o spokój dusz naszych bohaterów. Dokonaliśmy również sprawdzenia stanu technicznego mogiły i pomnika i stwierdziliśmy, że zarówno mogiła jak i pomnik na skutek 60-letniej naszej nieobecności na tej ziemi są w złym stanie. Bryła pomnika jest w kilku miejscach poważnie uszkodzona, tablica, na której widniały nazwiska 85 żołnierzy i oficerów została zerwana, kamienny płot otaczający mogiłę jest bardzo zniszczony. Po powrocie z wycieczki podjęliśmy decyzję o konieczności ratowania pomnika od całkowitego zniszczenia.

Powołaliśmy grupę inicjatywną celem ratowania pomnika, w składzie: Rajmund Huzarski, zamieszkały w Ustrzykach Dolnych, ul. Nadgórna 59, Tadeusz Sobiecki, zam. w Ustrzykach Dolnych, ul. Dwernickiego 24 i Stanisław Sobiecki, zam. w Równi 14.

Nadmieniamy, że na terenie Bieszczadów i Ustrzyk Dolnych zamieszkuje spora grupa dawnych mieszkańców zachodniej części miasta Sokala, którzy w latach powojennych zostali przesiedleni w Bieszczady.

Po bardzo długich i żmudnych staraniach uzyskaliśmy pisemną zgodę władz ukraińskich na odnowienie pomnika i otaczającej go mogiły. Wspólnie uzgodniona została treść napisu na tablicy: „ŻOŁNIERZOM POL-

**SKIM POLEGŁYM W PIERWSZEJ ŚWIATOWEJ WOJ-
NIE NA SOKALSKIEJ ZIEMI. CHWAŁA ICH PAMIĘCI.**

Na tablicy ma być umieszczony wizerunek Orła Białego. Treść napisu na tablicy ma być tylko w języku polskim.

Poczyniliśmy już starania u wykonawcy ukraińskiego celem zawarcia umowy na wykonanie renowacji pomnika pod warunkiem, że w lutym 2003 r. złożymy formalne zamówienie. Wykonawca zobowiązał się wykonać zamówienie w terminie do 15 maja 2003 roku.

Renowacja pomnika i mogiły będzie wymagała dużych nakładów finansowych, których sami nie jesteśmy w stanie ponieść.

Panie i Panowie zwracamy się do Was Drodzy Rodacy w naszej wspólnej sprawie o zorganizowanie w swoich środowiskach zbiórki pieniędzy na ten szlachetny cel. Ratujmy nasz ślad od zapomnienia.

Z góry serdecznie dziękuję Drodzy Rodacy, dawni mieszkańcy Sokala i Ziemi Sokalskiej za Waszą ofiarność.

Pieniądze prosimy przysyłać na niżej podany adres:

**TADEUSZ SOBIECKI
38-700 USTRZYKI DOLNE
UL. GENERAŁA DWERNICKIEGO 24**

Jesteśmy przekonani, że przy pomocy Bożej i opieki Matki Boskiej Sokalskiej zrealizujemy ten, tak szlachetny, cel.

Zaznaczamy, że po pomyślnym ukończeniu renowacji pomnika chcielibyśmy zorganizować wycieczkę na przełomie maja i czerwca 2003 r. mającą na celu poświęcenie pomnika. O terminie wycieczki zawiadomimy wszystkich ofiarodawców.

**Z poważaniem i serdecznym pozdrowieniem w
imieniu całej grupy inicjatywnej**

Tadeusz Sobiecki

NOWE KSIĄŻKI

Zbigniew Nartowski

„Wspomnienia harcerzy – uczestników obrony Lwowa we wrześniu 1939 roku”*

Pod tym tytułem ukazała się ostatnio książka opracowana przez dr. Janusza Wojtycę. Odebrałem ją z dużą radością, jako jeden z uczestników tej obrony i jeden z ponad 30 autorów tych wspomnień. Z tej racji wypowiedź moja nie może być w pełni obiektywna, ale stąd także wynika uprawnienie do przedstawienia mojej wypowiedzi.

Już okładka książki przywołuje w mojej pamięci szczególną atmosferę tego niezmiennie ważnego dla mojego pokolenia, choć krótkiego w skali życia, wrześniowego epizodu. Na tej okładce widzimy fotografię, reprodukcję w ciepłym kolorze starej, poślizgniętej odbitki, przedstawiającą dwóch polskich oficerów w mundurach polowych w otoczeniu młodych żołnierzy Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa. Na tym tle dyskretnie wpisano tytuł książki.

Książkę otwiera 10-stronicowy, bardzo dobry wstęp p. dr. Janusza Wojtycy, historyka i harcmistrza. Na początku autor w kilku zdaniach szkicuje rolę obrony Lwowa we wrześniowej kampanii 1939 r. Następnie wspomina o szerokim udziale harcerzy w tej kampanii na obszarze całej Polski i zawiązując przedmiot książki deklaruje, że „celem tej publikacji jest udokumentowanie wysiłku harcerzy – obrońców Lwowa z 1939 r.”. Wyrażenie określono ograniczenie do roku 1939, nie wchodząc w historyczne pokrewieństwa z obroną Lwowa w 1918 r. Jeden z byłych żołnierzy S. Podusowski w swoich wspomnieniach (s. 25) pisze, że wzdryga się przed szczytną nazwą „Obrońca Lwowa”, wiążącą się z historycznym rokiem 1918.

Dalej autor wstępu przedstawia szeroki przegląd źródłowych publikacji, przedstawiających obronę Lwowa

w 1939 r., opatrzone szczegółowymi przypisami. Te przypisy, występujące w całej książce i odnoszące się najczęściej do osób wymienionych w tekście, budzą szacunek dla redaktora jako historyka, znawcy tego okresu oraz świadczą o jego wielkiej skrupulatności. Podnoszą one wartość publikacji jako dokumentu. Szczególnie podkreślone zostały przez autora wstępu wzmianki zamieszczone w relacjonowanych źródłach historycznych, dotyczące kompanii harcerskiej.

Dla mnie osobiście istotną rolę spełniła przed wieloma laty wzmianka o udziale harcerzy w obronie Lwowa, podana w małej książeczce Tadeusza Jurgi „Wrzesień 1939” wydanej w 1970 r. Chyba popularno-naukowy charakter tej publikacji spowodował, że nie wspomniał o niej redaktor omawianej pozycji. Moja ówczesna radość wynikała z faktu pierwszego, po latach milczenia, spotkania w publikacji wydanej w okresie „głębokiego PRL-u” relacji o zdarzeniach, których byłem uczestnikiem. W organizacji ZBoWiD do końca odmawiano mi uznania udziału w kampanii wrześniowej.

Na końcu wstępu redaktor przedstawia historię powstałego w 1990 r. „Harcerskiego Kręgu Obrońców Lwowa 1939 r.” i charakteryzuje wspomnienia wydane przez ten Krąg w postaci kilkunastu zeszytów, zatytułowanych „Od lat najmłodszych do późnej siwizny...”. Z tych zeszytów, wydanych w bardzo małym nakładzie i bardzo skromnej formie edytorskiej, zostało wybrane 31 wspomnień, które stanowią podstawową materię omawianej tu książki. Wspomnienia te zostały podzielone na dwie grupy.

Pierwsza z nich zatytułowana jest „W Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa”. Czytanie kilkunastu wspomnień żołnierzy tej kompanii przeniosło mnie zarówno w czasie – ponad 60 lat wstecz, jak również w przestrzeni – z Krakowa na wschód, do Lwowa. Stało się powrotem do moich przeżyć z przeszłości. Wspomnienia te opisują na ogół te same, wspólnie przeżyte fakty, ale widziane oczyma różnych ludzi i formułowane po latach. Stąd też pewne rozbieżności w rejestracji szczegółów. Jeden jednak szczegół, ważny dla nas do dziś, został zanotowany tylko w jednym wspomnieniu. Jest to mało znana piosenka, śpiewana przez nas do dziś, której nauczył nas dowódca kompanii phm. por. Czekański, a słowa pierwszej zwrotki brzmią:

*Świat cały śpi spokojnie i wcale o tym nie wie,
Że nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskim śpiewie...*

Jerzy Petryński

Nowe książki o Lwowie

Literatura leopolińska została wzbogacona o kolejną wybitną książkę autorstwa prof. dr. Tadeusza Riedla „Lwów w pamięci i fotografii” (Oficina Wydawnicza Sudety, Wrocław 2002).

Autor, potomek znaczącej lwowskiej rodziny, opracował z naukową skrupulatnością i rzetelnością swego rodzaju przewodnik po przedwojennym polskim Lwowie. W wędrowce tej posługuje się oryginalnymi polskimi nazwami ulic i placów, uwzględniając nie tylko śródmieście, ale i rejony znajdujące się poza samym centrum. Nie jest to jednak tylko przewodnik, bowiem szeroko potraktowane zostały fakty historyczne, literaturowe, artystyczne i genealogiczne.

Znawstwo i erudycja Autora wręcz zdumiewają, wykraczając poza normy zazwyczaj przyjmowane w tego rodzaju opracowaniach. Przypomina nie tylko nazwiska

Wspomnienia nieżyjącego już podharcemistrza Tadeusza Drechslera, dowódcy II plutonu, który od kwietnia 1939 r. pełnił obowiązki komendanta Chorągwi Harcerzy we Lwowie, ukazują wielkie obciążenie przez powierzoną odpowiedzialną funkcję tego młodego wówczas 21-letniego instruktora harcerskiego. Warto uzupełnić jego biogram informacją, że później w latach wojny został zmuszony do noszenia munduru żołnierza Armii Czerwonej, gdzie jako felczer operował rannych żołnierzy.

Czytając dalszą część wspomnień, noszącą tytuł „W innych jednostkach i na innych posterunkach” wzbogaciłem moją znajomość wysiłku harcerzy i harcererek broniących Lwowa. Wszędzie panowała atmosfera zapалу, zaangażowania i ofiarności.

Publikację zamykają indeksy nazwisk i nazw geograficznych, a niezwykle cennym uzupełnieniem tekstów jest dość bogaty zbiór 28 starannie dobranych historycznych fotografii.

Słyszając przed rokiem o zamiarze książkowego wydania wspomnień, miałem wątpliwości co do celowości tej pracy. Miałem przecież na półce w mojej bibliotece kilkanaście zeszytów „Wspomnień harcerzy – obrońców Lwowa 1939 r.”, wydanych przez druhow F. Całego i R. Węgrzynowicza. Spotkała mnie jednak miła niespodzianka. Ukazała się bowiem pięknie i bardzo starannie wydana książka. Efektowna, nieporównywalna z niezwykle skromną postacią naszych zeszytów „Wspomnień” forma wydania, rzeczowy, obiektywny i zwięzły wstęp, napisany przez historyka młodej generacji, a także logicznie zbudowany wybór wrześniowych, pełnych emocji, naszych wspomnień – dały w sumie inną jakość. Nawet znane mi teksty wspomnień nabrały nowego blasku. Powstał dokument innej rangi, teraz weszliśmy do historii.

Publikacja, zgodnie z intencją redaktora, stanowi dojrzały, szeroko dostępny dokument wysiłku harcerzy broniących Lwowa w 1939 r., który daje im pełną satysfakcję. Jako jeden z nich pragnę wyrazić serdeczne podziękowania druhowi dr. J. Wojtyczy i tym, którzy mu w tej pracy pomogli.

** Wspomnienia harcerzy – uczestników obrony Lwowa we wrześniu 1939 roku [red.] Janusz Wojtycza, Kraków 2002, ss. 196, wyd. Towarzystwo Sympatyków Historii*

wybitnych ludzi Lwowa, ale i ich ówczesne adresy, a w wypadku niektórych nawet ich powojenne losy. Opisane dzieje budowli sakralnych i świeckich mogą wnieść wiele do naukowych opracowań dotyczących historii polskiego Lwowa.

Całość zilustrowana jest 366 fotografiami, dzięki czemu czytelnik nie jest zdany tylko na swoją pamięć i wyobraźnię, ale opisywane miejsca i budowle może zobaczyć tak, jak one wyglądały czy wyglądają jeszcze obecnie.

Autor, jako naukowiec entomolog, poświęcił jeden z rozdziałów owadziej faunie Lwowa. Mnie osobiście zabrakło tu naszego sympatycznego lwowskiego chrabąszcza.

Wartość tej książki trudno przecenić, jako że stanowi ona historyczny dowód wielowiekowej polskości Lwowa. Wbrew temu, co można czasem usłyszeć w publicznych wypowiedziach niektórych osób, wobec niezbitą prawdę historyczną przedstawioną w opracowaniu Tadeusza Riedla, wypowiedzi takie można potraktować jedynie jako przejaw trudno zrozumiałego oportunizmu.

W ubiegłym roku ukazała się też kolejna książka Jerzego Janickiego „Kluczyk Yale”. Jest to również powód do satysfakcji, tyle że w tej beczulce miodu znalazła się i łyżka dziegciu. Otóż opisując wojenne losy lwowskiego hokeisty Mieczysława Verocsy, w niby to anegdocie o „krzywym makaronie” Autor cytuję jego rzekomą wypowiedź, mianowicie: „Co ty mi tu, k...”, jakiś krzywy makaron podajesz”. Otóż w sytuacji, w jakiej to zdanie miało paść, byłoby ono nie tylko bezsensowne, ale po prostu chamskie. Autor nie pomyślał, że książkę tę będą czytali nie tylko lwowiaci, którzy potrafią odróżnić prawdę od zmyślenia, ale także ci, którzy osobiście nie znają ani przedwojennego Lwowa, ani mowy przedwojennych lwowiaków. W świadomości tych drugich pozostanie więc zupełnie fałszywy wizerunek lwowiaka

Wiesław Mietliński

O aktywizację współpracy z młodzieżą Kresów

Współpraca z „Polonią Wschodu” oraz sugestie kresowiakom proponowane przez Klub Inicjatyw Młodzieży w Kłodzku to temat spotkania, jakie odbyło się 20 listopada 2002 r. w bibliotece Muzeum Kłodzka.

Klub Inicjatyw Młodzieży to zorganizowany ruch samorządowy na Ziemi Kłodzkiej, działający od 1992 r. wśród młodzieży szkół gimnazjalnych i środowiska. Młody duchem Klub zaproponował odmienne spojrzenie na działania kresowiaków w Kłodzku oraz współpracę z Klubem. Czy seniorzy podejmą współpracę w proponowanych zadaniach pokaże czas. Klub przekazał pakiet zagadnień w sześciu tematach. Uznać należy, że sposób przekazania był prosty i zrozumiały, z akcentem młodzieżowym. Obecni kresowiacy uznali to za dobry pomysł, który wnieść może pewne innowacje, tak potrzebne, w obecne czasy. Z propozycji klubu wynika, że wiele miejsca jest w nim dla młodzieży, spadkobierców rodzin kresowych, którzy winni być zobowiązani do kultywowania historii kresowej.

Koordinator klubu zobrazował działalność młodzieży Ziemi Kłodzkiej w zakresie kontaktów z młodzieżą „wschodu”, które datują się od 1995 r. Wymienił on takie miejscowości jak: na Litwie – miasto Vysaginas oraz na Łotwie – Daļgompils, z którymi są utrzymywane ścisłe kontakty. W ocenie klubu „perelką polskości” pozostaje środowisko młodzieży w Daļgompils na Łotwie. Klub uznał, że dobrym elementem może być współudział TMLiKPW Oddział w Kłodzku w imprezie: Międzynarodowe Dni Młodzieży Samorządowej, gdy podejmą temat. Impreza ta będzie trwać od 13 do 18 czerwca 2003 r. i jeden z dni, tj. 17 lub 18, może być oparty na programie typowo polonijnym. Planuje się zorganizować koncert pt.: „Aby Polska była Polską”, gdzie byłoby podsumowanie konkursu malarsko-fotograficznego przewidzianego dla młodzieży polonijnej, finału Olimpiady Wiedzy Obywatelskiej pt. „Prawdy historii” i prezentacje śpiewu i recytacji młodzieży z Kresów. Klub przewiduje przybycie delegacji młodzieży z Litwy, Łotwy, Czech, Ukrainy i Niemiec.

jako ordynarnego chama. A przecież charakterystycznym rysem lwowskiej mowy było kamuflowanie wyrażen wulgarnych; nawet tak niewinne, jak nasze pocziwe „nasermater” ukrywało się w zwrotach „ja nas...sypali piasku”, „ja nas.. to nic (nie obchodzi)”, czy jeszcze oględniej „ta ja mu wielki agratusz” (ta ja mu taki wielki nasyrmatyr jak ratusz). Taki więc przerywnik „k...”, zwłaszcza w opisanej sytuacji, nie mógł chyba wyjść z ust takiego echt-lwowiaka jakim go Autor przedstawia.

Jest tam też zacytowany tekst bardzo frywolnej śpiewki o „pirogu”. Owszem, śpiewka ta była znana, ale jeżeli podśpiewywana, to dyskretnie. Wiadomo o co w niej chodzi, więc ze względu na przyzwoitość jej treść nie nadaje się do rozpowszechniania w tego rodzaju literaturze – nawet jeżeli się ona tak spodobała Szymonowi Kobylińskiemu. □

W zakończeniu spotkania młodzież zaprezentowała z akcentem kresowym kilka wierszy i piosenek dla relaksu. W programie słowno-muzycznym wystąpili: Paweł Juszcak – gitara akustyczna, Iza Posłuszna – śpiew, słowo mówione i recytacje: Monika Ruda, Anna Zarzycka, Monika Czechowska i koordynator – Wiesław Mietliński. Klub zaprasza do współpracy młodzież samorządową nie tylko z Ziemi Kłodzkiej, ale i całego Dolnego Śląska.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia Klub za pośrednictwem „Semper Fidelis” składa najlepsze życzenia wszystkim kresowiakom, a młodzieży w szczególności, życzy w Nowym Roku 2003 obfitości w zdrowie i pomysły na lepsze życie w świecie współczesności.

Wiersz pt. „Dźwiński hymn” nich będzie jaskółką naszych nadziei.

Młodzieży, nieście tę pieśń!

Dźwiński hymn

*Ziemio wschodu, Dźwiński grodzie,
dźwigasz pamięć wspólnych lat.
Fundamentem zaś w narodzie,
który dał nam trwałą ślad.
Twoja siła, jak opoka,
choć ponosisz tyle strat.*

*Szeptem Dźwina dziś dię żali,
jakby inny miała brzeg.
Tu rodacy jej ostali,
którym tęskno do siostrzanych rzek.
Wspólnie chcemy wnosić siły,
nowy Dźwinie nadać bieg.*

*Lata chwały, trud pioniera,
w sercach tli Ojczyzny glód.
Matka Polka pierś rozwiera,
karmiąc swój pokorny lud.
Myśl nadziei, nuta szczerą,
Brama wschodu, Dźwiński groń*

seria „Krajobraz stron”
Kłodzko, 9 X 2001 r.

Jerzy Masior

Wybacz mi Tato

Wiesz, przychodzi taki czas,
że milczeć już niepodobna.
To może być oka mgnienie,
a przewinień tyle:
te ucieczki nad rzekę-topielicę,
te żegluga na lodowych krach,
za ukamienowanie okna synagogi,
za ręce Mamy załamane nade mną,
wybacz mi Tato.

Już jestem niecierpliwy,
oczekuję spotkania.
Jak Ty tam teraz wyglądasz?
Wybacz, że tak mało o Tobie wiem,
o Twoich skrzypcach,
o Legionach,
o ślubie z Mamą w szpitalu polowym.
I kiedy to było? W marszu na Kijów?
Jakie niezwykle wydarzenie!
Twoje, moje, nasze.
To jednak był początek,
może mój, a nic o nim nie wiem.
Wybacz mi Tato.

Przywiozłeś krupy omaszczone benzyną
wrześniową trasą Warszawa-Lwów.
Ostatkiem tchu, rowerem na Leśną,
na nasze piętro – Twoje drzwi – zdążyłeś.
Podarowałeś mi ten wrześniowy wehikuł,
ale te benzynowe krupy
skręcały twarz i kiszki,
mimo komiśnej kromki do zagryzienia.
To był obiad przetrwania,
a nie wiedziałem.
Wybacz mi Tato.
Za ten arsenał w komórce,
za przeglądy PP-38 w stołowym,
gdy Mamę wchłaniał plac Antoniego,
a Ty zliczałeś tony we młynie,
minus kilogram do domu,
plus obiad dla nas na jutro i pojutrze.
Za moje akowskie sny jak będzie po wojnie,
bo reguły gry były takie.
Za zbyt krótkie godziny policyjne.

Za noc wrześniową z NKWD w 44-tym
i wszystkie noce i dni nad cichym Donem
w palcie od Mamy, w ostatniej chwili...
W nim trwałeś, wróciłeś
i łapciach słomianych – złoto Gulagu.
Za mój wojenkomat – ucieczkę,
za godnego braciszka,
za łzy Twojej żony – mojej Mamy
wybacz mi Tato.

Nowy Sącz, w grudniu 2002 r.

Pomoc medyczna dla Lwowa i Baranowicz

W ramach pomocy TMLiKPW Oddział w Szczecinie przekazał Towarzystwu Lekarzy Polskich na Ukrainie i Białorusi dwa nowoczesne aparaty (Viofor JPS System Classic Plus) do elektromagnetoterapii. Aparaty są osiągnięciem polskiej myśli naukowej, wysoko ocenionej w kraju i za granicą. Skuteczność terapeutyczna weryfikowana w licznych klinikach. Aparatura szczególnie pomocna w schorzeniach: narządu ruchu, systemu nerwowego, skóry, ginekologii i stomatologii, przyspiesza: proces regeneracji tkankowej, epitelializację (oparzenia, rany, wrzody żołądka), stosowany w osteoporozie, wykazuje silny efekt analgetyczny, przeciwzapalny. Aparaty przeznaczyliśmy głównie dla ludności niezamożnej w wieku zaawansowanym.

Lekarzom, którym przekazano aparaturę do stosowania, zorganizowano przeszkolenie w Szczecinie. Wartość aparatury – 20 000 zł.

R. Węgrzynowicz, B. Nagay



Od lewej: wiceprezes prof. Nagay, dr Syczewski (z Białorusi), prezes prof. Węgrzynowicz



Od lewej: dr A. Węgier-Grzegocka, siostra-pielęgniarka A. Roy (ze Lwowa), wiceprezes prof. Nagay, prezes prof. Węgrzynowicz

Piotr Franków

Spotkanie z poetką Ireną Cisek-Piątkowską

Dnia 16 stycznia 2003 roku Gorzowski Oddział TMLiKPW zorganizował w Zespole Szkół Elektrycznych w Gorzowie Wlkp. spotkanie z zielonogóską poetką urodzoną we Lwowie – Ireną Cisek-Piątkowską.

Spotkanie autorskie połączono z prezentacją książki *Spieszmy się ocalić Kresy od zapomnienia*.

Po powitaniu poetki i licznie zgromadzonych sympatyków Kresów przez Prezesa Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotra Franków, spotkanie prowadziła Władysława Staryszak (od 17 stycznia wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW).

Pod jej kierunkiem nauczycielka języka polskiego z Zespołu Szkół Elektrycznych Marzanna Cendrowska przygotowała wraz z uczniami montaż poetycki w oparciu o prezentowaną na spotkaniu książkę. Recytacje uczniowskie spotkały się z dużym uznaniem poetki i zgromadzonych słuchaczy – członków TMLiKPW, Związku Sybiraków, przedstawicieli Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz dyrekcji ZS Elektrycznych.

Następnie Pani Irena Cisek-Piątkowska prezentowała swoją książkę – poemat poetycki o Kresach. Korzy-

stając z mapy, odbyła wędrowkę z Wileńszczyzny poprzez Nowogródczyznę, Polesie, Wołyń, Podole, Pukucie – do Lwowa.

Poetycka podróż sentymentalna autorki pisana była sercem, nostalgią, przepełniona sentymentem i tęsknotą do utraconych ziem, z których nas, Polaków, eksportowano.

Swoją kresową opowieść zakończyła ostatnimi strofami ze swojej książki:

(...) *Bo póki w sercach tęskni miłość do tej ziemi,
Przysięgamy na przodków, ojców naszych cieni,
Że Kresy żyć będą w następnych pokoleniach!
W naszych dzieciach i wnukach –
– Jedyna nadzieja...*

Po tym wystąpieniu poetka podpisywała książki swoim sympatykom. Udzieliła też wywiadu redaktorce „Gazety Lubuskiej”.

Spotkanie z Ireną Cisek-Piątkowską było ciekawą kresową lekcją historii.

Gorzowski Oddział TMLiKPW będzie starał się organizować cykliczne spotkania z ciekawymi ludźmi prezentującymi wiedzę o Kresach Wschodnich. □

POROZUMIENIE

o ustanowieniu stosunków partnerskich
pomiędzy miastem Wrocławiem (Rzeczpospolita Polska) i miastem Lwowem (Ukraina)

My, niżej podpisani reprezentanci Miasta Lwowa i Miasta Wrocławia, realizując wolę mieszkańców i władz obu miast, deklarujemy poszerzenie istniejącej współpracy pomiędzy Lwowem i Wrocławiem oraz nadanie jej charakteru pełnego partnerstwa. W związku z tym zobowiązujemy się do:

1. rozwijania wymiany młodzieżowej i wszechstronnych kontaktów uczniów, studentów i nauczycieli szkół różnego szczebla,
2. współdziałania w sferze kultury obejmującego wymianę zespołów artystycznych i wzajemną prezentację dorobku profesjonalnych i amatorskich centrów sztuki,
3. zorganizowania regularnego, obustronnego przepływu informacji na temat najistotniejszych problemów i dokonań w zakresie gospodarki komunalnej i sfery gospodarczej miast – m.in. poprzez uczestnictwo w konferencjach, wystawach, targach we Lwowie i we Wrocławiu, wymianę publikacji oraz kontakty izb gospodarczych obu miast,
4. świadczenie wzajemnej pomocy poprzez kształcenie i wymianę specjalistów z odpowiednich służb miejskich,
5. kontynuacji działań znanych jako „Lwów – Wrocław – program dla pomocy” – wielonurtowej akcji tworzenia sieci opieki społecznej z dominującym udziałem organizacji pozarządowych.

Strony przewidują wymianę oficjalnych delegacji organów samorządu miejskiego i urzędów miejskich dla oceny stanu stosunków wzajemnych i określania możliwości rozwoju współpracy.

Niniejsze Porozumienie zostaje zawarte na okres 3 lat i zaczyna obowiązywać z dniem podpisania.

Ważność tego Porozumienia automatycznie przedłuża się na następny trzyletni okres, jeśli żadna ze stron nie powiadomi partnera o woli wycofania się na sześć miesięcy przed zakończeniem okresu trzyletniego.

Sporządzono w mieście Lwów 2002 roku w języku polskim i ukraińskim, w czterech kopiach, po dwie dla każdej ze stron. Każdy egzemplarz jest dokumentem tej samej wagi w świetle prawa.

w imieniu miasta Wrocławia
Rafał Dutkiewicz
Prezydent Wrocławia

w imieniu miasta Lwowa
Lubomyr Bunyak
Mer Lwowa

Komunikat

Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

I. PIELGRZYMKA LWOWIAN I KRESOWIAN W 2003 R.

1. Ustalono na zebraniu Zarządu Głównego, że tegoroczny Zjazd Lwowian i Kresowian z Pielgrzymką na Jasną Górę odbędzie się 5 i 6 lipca br.
2. Prezes Oddziału TMLiKPW w Częstochowie uzgodnił z Ojcami Paulinami na Jasnej Górze, że Zjazd odbędzie się pod patronatem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.
3. Zaproponowany program przewiduje:
 - w sobotę 5 lipca – ogólne zebranie i występy zespołów artystycznych,
 - w niedzielę 6 lipca – Mszę św. o godz. 9.30, a następnie spotkanie.
4. Do dyspozycji uczestników Pielgrzymki będą – Klub i aula Politechniki Częstochowskiej, Sala Papieska na Jasnej Górze, akademik i stołówka Politechniki na noclegi i wyżywienie.
5. Z uwagi na znaczne koszty organizacyjne postanowiono, aby uczestnicy wpłacali po 10 zł od osoby, a Oddziały/Kluby przekazały sumaryczne kwoty do 10 czerwca br. na konto Oddziału TMLiKPW w Częstochowie.
6. Wszyscy chętni do udziału w w/w Zjeździe i Pielgrzymce proszeni są o zgłoszenie się do 30 kwietnia br. do Oddziału w Częstochowie, celem wcześniejszej rezerwacji noclegów, sal itd.

Serdecznie zapraszamy na spotkanie u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej.

II. XV-LECIE POWOŁANIA TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOVA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

1. Na zebraniu Zarządu Głównego postanowiono, że obchody XV-lecia powołania Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich odbędą się 20 i 21 września 2003 r. we Wrocławiu.
2. Obchody przewidują m.in. sesję naukową, część artystyczną, zwiedzanie kresowych akcentów we Wrocławiu oraz zabytków wrocławskich.
3. Podjęta została uchwała Zarządu Głównego o upoważnieniu Prezesa Zarządu Głównego – A. Kaminskiego i Prezesa Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW Z. Piwko – do powołania Komitetu Honorowego i Organizacyjnego oraz przedstawienia programu obchodów.
4. Uczestnicy uroczystości wpłacą na częściowe refundowanie kosztów organizacyjnych po 10 zł od osoby i poprzez swoje Oddziały i Kluby przekażą na konto Zarządu Głównego we Wrocławiu do 31 sierpnia 2003 r.
5. Zgłoszenia chętnych do wzięcia udziału w obchodach przyjmowane będą w Zarządzie Głównym do 30 czerwca br., ewentualnie z prośbą o zarezerwowanie noclegów z 19/20, 20/21 lub 21/22 września br. Noclegi najprawdopodobniej będą w cenie 30 zł w bursie nauczycielskiej. Na rocznicowe uroczystości serdecznie zapraszamy do Wrocławia

Wiceprezes Zarządu Głównego **Danuta Śliwińska**
Prezes Zarządu Głównego **Andrzej Kaminski**

Mieczysław Kowal

Muzeum w Lubaczowie zorganizowało wystawę pt. „Rzeźba lwowska” (druga połowa XVIII wieku)

Na mapie artystycznej Rzeczypospolitej, zwłaszcza jeśli chodzi o historię rzeźby, Lwów zajmuje szczególne miejsce. Punkt szczytowy rozwoju rzeźby w tym środowisku przypada na drugą połowę XVIII wieku, kiedy to jej wykonawcy nawiązują swoim dorobkiem do największych osiągnięć sztuki europejskiej. Okres ten przez specjalistów nazywany jest „lwowską szkołą rzeźby rokokowej”.

Przez lwowską szkołę rzeźby rokokowej określa się zazwyczaj ten jej nurt, który wyraża się w pewnego rodzaju geometryzacji form, w szczególności w ujmowaniu draperii, załamującej się ostrymi liniami fałd, co upodabnia ją do giętego papieru lub blachy, dużą ekspresją postaci, wyszukaną elegancją, ascezą religijną doprowadzo-

ną do skrajnych granic. W przypadku rzeźby lwowskiej takie traktowanie formy odnosi się do kilkudziesięciu snycerzy, z których najwybitniejszymi okazali się: Antoni Osieński, Jan Jerzy Pinzel, Piotr i Maciej Polejowscy, Sebastian i Fabian Festingerowie, Jan Obrocki i inni.

Warsztatowy Lwowski dzięki dużej ruchliwości oraz dużej liczbie snycerzy ogarnęły swoim działaniem znaczną część Rzeczypospolitej. Niektórzy z nich, jak Maciej Polejowski, działali w promieniu około 200 km od Lwowa; na ówczesne warunki było to dużym osiągnięciem. Jego prace ozdobiły jeden z ołtarzy w Lipsku koło Narola.

Działalność tych snycerzy odznaczała się dużym uznaniem współczesnych, o czym świadczy fakt, że ich dzieła spotykamy z dala od środowi-



SIEDZĄCY ANIOŁ
koniec XVIII w. Drewno polichromowane
ŁÓWCZA

ska lwowskiego, niekiedy w prowincjonalnych kościołach, gdzie klientela była bardzo konserwatywna i zachowawcza. Czynną działalność rozwijali też osiadli na prowincji snycerze po odbytych praktyce u lwowskich mistrzów, szukając bogatych protektorów lub zakonów.

Działalność tych snycerzy weszła także do cerkwi wschodniej, gdzie sztuki zachodniej przez długie wieki nie uznawano. Klasycznym przykładem jest cerkiew św. Jura we Lwowie oraz na naszym terenie mała drewniana cerkiew w Łówczy z ołtarzem i wystrojem wykonanym przez snycerza ze szkoły lwowskiej pod koniec XVIII wieku.

Ziemia lubaczowska obejmująca tereny województwa bełskiego, od początku ciążyła gospodarczo i kulturowo do Lwowa. Nie było także inaczej w XVIII wieku. Nie wytworzyło się tu znaczące środowisko artystyczne, które mogłoby zaspokoić potrzeby lokalnej społeczności. W związku z tym zamawiano lub kupowano gotowe sprzęty artystyczne do nowopowstających kościołów w dużych ośrodkach lub odkupywano od innych parafii, w których obiekty wycofano z kultu. Tą drogą w okolice Lubaczowa trafiło wiele pojedynczych obiektów wysokiej klasy – powiedział mgr Janusz Mazur kustosz Muzeum w Lubaczowie.

W latach pięćdziesiątych XVIII wieku zakupiono dużą wczesnorokokową grupę „Ukrzyżowania” do kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Stanisława w Lubaczowie, łączoną z dorobkiem rzeź-

biarskim Tomasza Huttera działającego w Sandomierzu, Jarosławiu i we Lwowie.

W Horyńcu Zdroju w Klasztorze o. Franciszkanów ozdobiły prezbiterium kościoła klasztorowego monumentalną figurą Matki Bożej Niepokalanie Poczętej oraz kilkoma małymi puttami, które w połowie XIX wieku umieszczono w ołtarzu. Rzeźbę tę na podstawie analizy stylistycznej i formalnej należy przypisać Sebastianowi Festingerowi.

Rzeźby nieznanego snycerza ze szkoły lwowskiej udekorowały konstrukcję niewielkich rozmiarów ołtarza w drewnianej cerkwi w Łówczy, parafia Płazów. Z tego też warsztatu wyszła zapewne figura Matki Bożej Niepokalanej z Nowin Horynieckich ustawiona nad cudownym źródłem w ołtarzu kaplicy.

Kilka innych pokazanych obiektów na wystawie pochodzi z nieistniejących już dziś ołtarzy w Lipsku, Wielkich Oczach i Oleszycach. Ołtarze uległy zniszczeniu na przestrzeni wieków.

Zebrane przez Muzeum w Lubaczowie fragmenty tego wspaniałego dorobku rozproszonego po różnych kościołach, pozwala poznać z autopsji charakter twórczości i mistrzostwo warsztatu artystycznego tego środowiska – powiedział Stanisław P. Makara.

Oferta lubaczowskiego muzeum zapowiada się nader imponująco, ale czy wystarczy środków na realizację wszystkich zadań? – powiedział mgr Janusz Mazur kustosz Muzeum w Lubaczowie.



CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁY
ok. 1780, drewno polichromowane,
LIPSKO

Mieczysław Kowal

Coraz trudniej żyje się w Lwowie

Najnowsze wieści ze Lwowa

W centrum miasta Lwowa – mieszkańcy prawie przez cały dzień są pozbawieni bieżącej wody w kranach, mogą z niej korzystać tylko od 20.00 wieczorem do 6 rano. Woda płynie z kranów pod bardzo niskim ciśnieniem, ten stan trwa od wielu lat. Mieszkańcy miasta Lwowa wstają w nocy i łapią wodę osobno: na herbatę, kawę, do gotowania obiadów, mycia się (o kompanii nie ma mowy) i splukiwania ustępu. Dlaczego tak jest? Jak wiemy od lat przybyło (wybudowano) wiele nowych bloków mieszkalnych, zaś wodociągi nie zostały dostosowane do rozwoju budownictwa mieszkalnego i przemysłowego. Dla miasta Lwowa zachodzi potrzeba budowy nowych ujęć wodnych ze studni głębinowych o dużych zasobach wody, jakie istnieją poza granicami miasta. Jest potrzeba budowy trzech nitek rurociągowych z różnych stron do miasta, wtedy woda, czysta i zdrowa, popłynie z kranów pod ciśnieniem w ciągu całego dnia. Są w Polsce firmy specjalistyczne, które by się podjęły i zrealizowały takie inwestycje, ale jest pytanie, kto pokryje koszty tak potrzebnej od lat inwestycji?

Ciężko dziś żyje się we Lwowie i nie tylko tam

Zdecydowana większość społeczeństwa klepie zaś przysłowiową biedę w mieście i na wsi. Starsi rolnicy na wsi jeszcze trochę gospodarują, uprawiają pole, szczególnie ci co posiadają – hodują konie i bydło czy trzodę. Młodzi zaś nie biorą się za gospodarowanie na tak pięknej i urodzajnej ziemi, gdyż odwykli od takiej pracy na roli, jak tutaj tłumaczyli: pługów, bron, wozów konnych i innego sprzętu gospodarskiego – nie ma, stodoły do przechowywania zboża, siana, słomy i innych płodów rolnych zostały rozebrane podczas jednej bardzo mroźnej zimy i właściwie nie były potrzebne, gdyż kolchozy zabrali całą ziemię, nawet z przydomowymi ogrodami,

gdzie by każdy rolnik miał kilka arów na warzywa i uprawę ziemniaków na użytek rodziny. Więc dzisiaj nie ma stodoł, nie ma nic, wszystko władza sowiecka zabrała chłopom do kolchozów. Dziś ta ziemia leży odłogiem. A co gorsze, nie ma młynów do mielenia zboża na chleb. Zakłady i przedsiębiorstwa w mieście Lwowie i województwie upadają, wzrasta bezrobocie, a piękne, zdrowe i pracowite ukraińskie dziewczyny wyjeżdżają do Polski, Słowacji, Czech, Włoch, Niemiec, Ameryki, Kanady i innych krajów na świecie, które je z chęcią przyjmują do pracy. Niektóre z nich wychodzą za mąż, są żonami obcokrajowców nie wracając do swego kraju. Tak piękna, rozległa, o dobrych ziemiach Ukraina powoli się wyludnia.

W przeliczeniu na głowę, zarobki w zakładach pracy, przedsiębiorstwach wynoszą mniej niż przyjęte na Ukrainie minimum socjalne. Ustalono je na poziomie 237 hrywien (ok. 182 zł) miesięcznie. Emerytka otrzymuje raptem ok. 53 hrywien (ok. 10 USD) miesięcznie. Cena bochenka chleba, który kosztuje we Lwowie od jednej do dwóch hrywien, nie mówiąc już o znanym nam Big-Macu z Mc Donald'sa (bułka z podwójnym hamburgerem) za który trzeba dać 2 dolary, czyli prawie 11 hrywien.

Przeciętna rodzina odmawia sobie kupna nowej pralki, odkurzacza, nie mówiąc już o samochodzie, choćby używanym.

Ukraińcy nie przewidują, aby Ukraina stała się rychło członkiem Unii Europejskiej, będzie dalej pod wpływem Rosji.

Studia na Ukrainie – we Lwowie, nawet dzienne na uczelniach państwowych, są płatne, 750 dolarów rocznie, młodzi Ukraińcy z biednych rodzin nie mają szans na studiowanie obranego kierunku, dlatego często spotykamy ich na polskich uczelniach w naszym kraju.

Spotkanie z ks. Robertem Szteligą

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie i Podkarpacka Izba Poetów zorganizowali spotkanie autorskie ks. Roberta A. Szteligi połączone z promocją tomiku poetyckiego „Życie Piórem Pisane”. Spotkanie odbyło się 27 II 2003 r. w godzinach wieczornych w Klubie „Turkus” w WDK przy ul. Okrzei 7. Na spotkanie przybyła liczna grupa słuchaczy, miłośników poezji pisanej, gdzie kilka osób nabyło tomik, prosząc ks. Roberta o autografy. Na spotkanie autorskie przybyli: Ojciec Cherubin Pająk z kościoła Bernardynów, przybyli członkowie Związku Literatów w Rzeszowie, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, słuchacze Rzeszowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, z gminnej biblioteki w Boguchwale dyr. Janina Sobczak, p. profesor z Zespołu Szkół Gospodarczych im. Sytki Ligęzy w Rzeszowie wraz z uczenicami, które recytowały wiersze napisane przez księdza Roberta Szteligę, mama ks. Roberta p. Irena, instruktorzy-pracownicy Muzeum

Etnograficznego im. Franciszka Kotuli w Rzeszowie, przybyli poeci, słuchacze-miłośnicy słowa poezji księdza Roberta. Przybył p. Józef Guzek z rodziną, który był sponsorem wystawy pączkowej, zaś wnuk Kamil z Boguchwały zagrał na pianinie dwa utwory, wyuczone w szkole muzycznej, do której uczęszcza.

Ksiądz Robert A. Szteliga, urodzony w 1966 roku, lata dziecięce i młodzieńcze przeżywał w domu rodzinnym w Łańcucie. W roku 1985 po złożeniu egzaminu maturalnego w I LO im. H. Sienkiewicza w Łańcucie wstąpił do Seminarium Duchownego w Przemyślu. W roku 1991 ukończył studia i uzyskał tytuł magistra teologii na KUL po obronie pracy z historii kościoła pt. „Parafia Łańcut w latach 1890-1939” napisanej pod kierunkiem ks. dra Tadeusza Śliwy. Jako uwieńczenie formacji duchowej przyjął święcenia kapłańskie w przemyskiej archikatedrze z rąk księdza Arcybiskupa Metropolity Ignacego Tokarczuka. Pracował – był wikariuszem – w parafiach: Dubiecko, Przemyśl Archikatedra,

Sanok Posada, Krosno fara i Bircza. Bardzo czynnie zaangażowany jest w prace „Ruchu Światło Życie” pełniąc obowiązki Moderatora Diecezjalnego Diecezjalnej Diakonii Modlitwy. Swoją działalność literacką rozpoczął w 1998 r. od współpracy z tygodnikiem „Niedziela” i „Charyzmat i Wierność”. Tam zamieszczał cotygodniowe rozważania Pisma Świętego, felietony oraz poezję.

Słowo niesie, dotyka tego, co raduje i co boli człowieka, pyta o granice dobra i zła, szuka wszędzie śladów Boga, czasem rozmawia z Nim sam na sam, pochyla się nad dzieckiem, prowadzi rozmowę z drugim człowiekiem, zwierza się ze swoich własnych pragnień i słabości, mówi młodemu człowiekowi, że trzeba dojrzewać do świętości, uczy wrażliwości na otaczające piękno przyrody, sprawia, że czytelnik uczestniczy w rozmowie z nim, mówi o tym wszystkim, co bliskie i drogie człowiekowi.

Obdarował nas młody poeta refleksyjnymi „perelkami” zawierającymi głęboką wiarę i oddanie Bogu. Tyle w nich rozmodlenia, wrażliwości, ciepła, uśmiechu, zadumy nad losem człowieka szukającego Boga, a czasem zagubionego wśród zgłęku współczesnego świata.

Te „perelki” nanizane na cały sznureczek tworzą w całości piękny klejnocik, którego nie można schować do szkatułki, tylko trzeba nosić na co dzień. Dla młodego poety ks. Roberta Szteligi najcenniejsza jest ocena uznanego, wielkiego „władcy pióra”. Tak, jak dla młodego Adama Mickiewicza, dane w dowód uznania gęsie pióro przez J. W. Goethego było wielkim wyróżnieniem, tak słowa listu poety, księdza Jana Twardowskiego, skierowane do autora niniejszego tomiku sprawiły mu radość i „dodały skrzydeł”. Wiersze księdza Roberta są szlachetne, niepretensjonalne, czyste, bo inspirowane modlitwą i Pismem Świętym (...). Spotykamy w nich poetycką refleksję, zamyślenie (...).

Na zakończenie prelekcji poetyckiej ukazującej tere-ny i piękną ziemię pogranicza i kresów wschodnich wraz ze Lwowem, jego kościołami, ks. Robert Szteliga otrzy-



Fot. M. Kowal

Ks. Robert podczas prezentacji swoich wierszy

mał duże brawa i wiązanki kwiatów od miłośników poezji – kresowiaków z ziem wschodnich dawniej tam zamieszkałych, Polaków ziem bogatych, kwitnących pięknym życiem i słowem polskiej mowy – powiedzieli kresowianie ze Lwowa i Wilna. Spotkanie z ks. Robertem było udane, potrzebne i interesujące. □

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Generał Wł. Anders – patron i wzór

Od 28 lutego br. patronem Szkoły Podstawowej Nr 73 we Wrocławiu jest wielki Polak, żołnierz, dowódca i wychowawca – generał Władysław Anders. Nadanie szkole Jego imienia było nie tylko wielkim świętem w ponad 55-letniej historii „73”, stało się także wydarzeniem w stolicy Dolnego Śląska. Sprawili to przyjazd z Londynu na wrocławską uroczystość pani Ireny Renaty Andersowej, wdowy po Generale, ostatniego prezydenta RP na wychodźstwie p. Ryszarda Kaczorowskiego, kapelana Rodzin Katyńskich ks. Peszkowskiego oraz wielu podkomendnych Generała m.in. ks. kapelana A. Studzińskiego, którzy brali udział w zwycięskiej bitwie o Monte Cassino. Stawili się też dzieci – dziś już starsze panie i panowie – rodzin polskich wywiezionych

na Sybir, sieroty, które wraz z armią Generala ewakuował z nieludzkiej ziemi do Afryki, zorganizował im opiekę i naukę. Oczywiście nie zabrakło przedstawicieli Wojska Polskiego, organizacji kombatanckich i kresowych, w tym TMLiKPW.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w kościele pw. Św. Henryka, którą celebrował ks. Henryk kardynał Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski i poświęceniem nowego sztandaru szkoły z wyhaftowaną podobizną Patrona. Po mszy, uczestniczący w niej przeszli pochodem, na czele z wojskową orkiestrą, do Szkoły Podstawowej Nr 73. Tu, w holu budynku szkolnego, prezydent Kaczorowski odsłonił pamiątkową tablicę z popiersiem b. dowódcy II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W auli szkolnej prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz odczytał uroczyste akt nadania „73” imienia Generała Władysława Andersa, a uczniowie złożyli ślubowanie na nowy sztandar, którego matką chrzestną była p. Irena Renata Anders. – Dzisiejsza uroczystość to dla

mnie najpiękniejszy dzień od śmierci mojego małżonka – powiedziała wzruszona.

– Wybór Władysława Andersa na patrona szkoły nie był przypadkowy. Opowiedzieli się za nim nauczyciele, uczniowie i ich rodzice. Jego motto „Odrzućmy wszystko to, co nas dzieli – bierzmy wszystko to, co nas łączy” będzie nam zawsze przyświecać w pracy dydaktyczno-wychowawczej z młodzieżą – zapewniła uczestników uroczystości dyrektor szkoły p. Katarzyna Osie-
leniec-Moszczyńska.

W części artystycznej, bardzo patriotycznej i wzruszającej, przygotowanej przez uczniów różnych klas, wystąpiła „nieoficjalnie” pani Andersowa – zaśpiewała piękne piosenki lwowskie: – bo czuję się lwowianką i wciąż kocham Lwów – oświadczyła.

Miałem zaszczyt w imieniu Zarządu Głównego TMLiKPW wraz z prezes klubu „Leopolis” Elżbietą Urbańską wręczyć pani Generalowej bukiet kwiatów wraz z serdecznymi pozdrowieniami od wrocławskich lwowiaków oraz „Kalendarz Lwowski 2003 r.” Tym skromnym „lwowskim” prezentem sprawiliśmy Jej wielką radość.

Zegnął się z uczestnikami uroczystości nadania SP Nr 73 imienia jej małżonka, pani Andersowa obiecała wszystkim tym, którzy chcieliby się z nią spotkać, porozmawiać, że odwiedzi szkołę następnego dnia. Słowa dotrzymała. Spotkanie przebiegło we wspaniałej atmosferze. Nauczyciele, uczniowie i ich rodzice byli oczarowani bezpośredniością, spontanicznością i szczerością pani Ireny Renaty Anders.

Warto dodać, że uczniowie „73” przygotowali o swoim patronie kilka interesujących ekspozycji, obrazujących Jego drogę życiową, walkę, zwycięstwa. Nawiązali także współpracę z siedmioma polskimi szkołami oraz szkołą w Chicago, które noszą imię Generała.

Co powiedzą Ukraińcy?

Podczas niedawnego spotkania z A. Kwaśniewskim prezydent Ukrainy L. Kuczma – jak informowaliśmy – opowiedział się za wyjaśnieniem wszystkich okoliczności tragedii wołyńskiej. Powiało optymizmem – skomentowałem to oświadczenie. Niestety, ostatnio ukraińskie stanowisko w sprawie Wołynia uległo uczywnieniu.

– Władze w Kijowie nie przepraszają Polaków za masakrę wołyńską w 1943 r., gdyż w tym czasie nie było państwa ukraińskiego – powiedział w Równem przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Wołodymyr Łytwin. Były szef administracji Leonida Kuczmy zaapelowało do polityków polskich i ukraińskich, by nie szukali winnych tej tragedii „gdyż nie znajdziemy ich nawet w sądny dzień”. Jednocześnie zaproponował wydanie wspólnego oświadczenia, w którym obie strony „potępią tę przemoc”. Jak na ironię W. Łytwin jest z wykształcenia historykiem...

Marek Siwiec, szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, podczas pobytu w Kijowie nalegał, aby podczas lipcowych obchodów 60 rocznicy tragedii wołyńskiej z ukraińskiej strony padło słowo „ludobójstwo”, ale tę propozycję odrzucono. Kijowski dziennik „Deń” napisał, że Polska proponuje władzom Ukrainy udział w obchodach wołyńskich „na własnych twardych warunkach” i oczekuje przeprosin, mimo że historyczna wina obciąża także Polaków.

W oficjalnym dokumencie ukraińskiego MSZ z marca br. napisano, że w czasie obchodów powinno się unikać słów „ludobójstwo” i „czystki etniczne”, bo mogłyby „doprowadzać do wzrostu antyukraińskich nastrojów w Polsce i antypolskich na Ukrainie”. Kijów proponuje, aby podczas lipcowych obchodów prezydenci wspólnie wypowiedzieli formułę: „schylamy głowę przed świetlaną pamięcią Polaków i Ukraińców, którzy stali się ofiarami tragedii wołyńskiej”. Walentyna Hoszowska, zastępczyni sekretarza generalnego Ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony oświadczyła, że nie może być taryfy ulgowej dla żadnej ze stron konfliktu... „Przecież w tym kontekście tak samo jak UPA możemy mówić o AK”. I dodała, że władze w Warszawie zbyt ulegają nastrojom właściwym dla działaczy polskich organizacji radykalnych.

Za formułą pojednania jest natomiast Borys Tarasiuk z ukraińskiego parlamentarnego komitetu ds. integracji europejskiej. Uznał, że z okazji 60. rocznicy rzezi wołyńskiej przewodniczący parlamentów lub całe parlamenty mogą przyjąć wspólne oświadczenie. „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, tak powinna brzmieć – jego zdaniem – formuła pojednania polsko-ukraińskiego w kontekście tragicznych wydarzeń na Wołyniu.

Jakie zatem słowa Ukraińcy powiedzą nad mogiłami ofiar? – pyta min. Marek Siwiec na łamach „Dziesięć Tyżnia”. – Nie wiem. Niech sumienie każdego z nas podpowie nam, jak powinniśmy się zachowywać, obchodząc rocznicę tej tragedii. Polskie doświadczenie podpowiada, że słowa prawdy pomagają otwarcie patrzeć sobie w oczy.

A we Lwowie...

Młodzi ukraińscy nacjonaliści manifestowali ostatnio pod konsulem we Lwowie przeciwko obchodom 60 rocznicy mordów UPA na Wołyniu. Nieśli transparenty: „Wołyń – nasza ziemia!”, „Nasi dziadkowie byli bohaterami”, „Nie polskim szowinistom!”, „Polska nie będzie uczyć Ukraińców historii”. Ostap Kozak, szef lwowskiej organizacji UNA-UNSO, która zorganizowała manifestację powiedział: „Nie podoba się nam, że Polska próbuje narzucić Ukrainie swoją wizję historii”.

Pocieszeniem może być, że manifestacja nie była liczna.

Prawie jedna czwarta mieszkańców Lwowa nadal nie zgadza się, aby na płycie głównej Cmentarza Obrońców Lwowa znalazł się napis „Bohaterstwo poległym za Polskę w latach 1919-1921”, a dalsze 19 proc. sądzi, że „raczej nie wolno” umieszczać takiego napisu. Są to rezultaty sondażu przeprowadzonego na zlecenie Instytutu Rozwoju Miasta Lwowa.

Zwolenników polskiej wersji napisu na głównej płycie znalazło się we Lwowie zaledwie 8,6 proc., a 17 proc. uważa, że taki napis „raczej można” umieścić. Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik nie traci jednak nadziei, że uda się znaleźć kompromis w tej sprawie umożliwiający ostateczne zakończenie odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa i jego otwarcie. Niedawno odbyły się kolejne rozmowy ze stroną ukraińską. Rezultatów nie znamy.

Komitet cerkwi św. Olgi i Elżbiety (dawnego kościoła św. Elżbiety) zwrócił się z apelem do deputowanych Rady Najwyższej Ukrainy oraz rady obwodowej i miejskiej, aby ochronił wspólnotę przed przekazaniem świątyni (oraz innych świątyń za Ziemi Lwowskiej) Polakom. W liście skierowanym do kardynała Lubomyra Huzara, metropolity Lwowa komitet prosi JE „o wtrącenie się do biegu niecodziennego wydarzenia, które jest obraźliwe dla naszego narodu: rozpoczęto rozdawanie Polakom, byłym okupantom naszego państwa, Domów Bożych...” Oba listy zamieściła lwowska gazeta „Postup” (23-29 stycznia br.)

To „zagrożenie” komitetu cerkwi św. Olgi i Elżbiety wywołał – jak informuje „Gazeta Lwowska” – list JE kardynała M. Jaworskiego z lipca ub. roku do obwodowej Administracji Państwowej o potrzebach Kościoła rzymskokatolickiego na Ziemi Lwowskiej. Kardynał napisał, że ponieważ kościół św. Elżbiety jest przekazany grekokatolikom, rzymskokatolicy chcieliby odzyskać kościół św. Marii Magdaleny. Sprawa jest znana od dawna. – Myślenie, że katolicy rzymscy chcieliby odebrać świątynię braciom w wierze jest absurdem – pisze „GL”. I dodaje: – Widocznie niektórym zależy na rozdmuchaniu we Lwowie konfliktów między wyznaniem, wierzni jednego Kościoła – grekokatolikami i katolikami, „Wojna Cmentarna” (o Cmentarz Obrońców Lwowa) przeradza się w wyznaniową.

Spotkanie z ambasadorem RP

Na początku roku ambasador RP w Kijowie pan Marek Ziółkowski spotkał się w siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z przedstawicielami organizacji zrzeszonymi w TKPZL.

Poinformował m.in. zebranych, że nie będzie ustawy o przywróceniu obywatelstwa polskiego (posiadanego przed 1939 r.), ani o podwójnym obywatelstwie polsko-ukraińskim. Przywrócenie obywatelstwa może nastąpić w przypadku chęci połączenia się z rodziną w Polsce. Jest także możliwe, gdy osoba ubiegająca się posiada odpowiednią ilość środków do samodzielnej tam egzystencji. Polska wprowadzi od 1 lipca br. bezpłatne wizy dla obywateli Ukrainy, a Polacy będą jeździli do tego kraju bez obowiązku posiadania wiz.

Gospodarze spotkania mówili o pilnej potrzebie otwarcia Domu Polskiego we Lwowie, o zwiększeniu dotacji miasta na wydawanie „Gazety Lwowskiej” (pismo Ukraińców w Polsce, „Nasze Słowo”, otrzymuje dotację kilkadziesiąt razy większą!), o godne traktowanie Polaków, by „na Ukrainie byli Polakami, a nie Ukraińcami polskiego pochodzenia”. Poruszono też oczywiście sprawy Cmentarza Obrońców Lwowa. – Odpowiedzialność za rozwiązanie jej leży po stronie ukraińskiej – powiedział ambasador.

Nowi prezesi

Prezesem Zarządu Oddziału Stołecznego TMLiKPW został wybrany – na miejsce zmarłego w lipcu ub. roku ks. Janusza Popławskiego – dotychczasowy wiceprezes Ryszard Orzechowski. Funkcję wiceprezesa Zarządu OS Towarzystwa powierzono Stanisławowi Leszczyńskiemu, prezesowi warszawskich stanisławowian.

Długo pozostawał bez prezesa, po śmierci śp. Janiny Flis-Węglińskiej, najstarszy i największy wrocławski Klub TMLiKPW „Leopolis”. Dopiero ostatnio, na zebraniu sprawozdawczym Klubu, wybrano na tę funkcję **Elżbietę Urbańską**, dotychczasową wiceprezes Zarządu Klubu „Leopolis”.

Składamy gratulacje nowo wybranym prezesom i życzymy im, aby działali z taką energią i żarliwością jak ich poprzednicy.



Fot. St. Parille

Prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW Ryszard Orzechowski w towarzystwie pań Barbary Orlicz i Anny Orlicz, działaczek Towarzystwa wyróżnionych Honorowymi Odznakami TML.

Dr W. Poliszczuk uhonorowany

Znany historyk ukraiński mieszkający w Kanadzie dr Wiktor Poliszczuk (autor m.in. „Gorzkiej Prawdy”) otrzymał order „Polonia Mater Est”, ufundowany przez Społeczną Fundację Narodu Polskiego. Obok W. Poliszczuka uhonorowana została także Dora Kacnelson, przewodnicząca gminy żydowskiej w Drohobyczu, znana z propolskiego zaangażowania i wkładu w dokumentowanie i krzewienie kultury polskiej. Gratulacje od Kresowian!

Dr Poliszczuk jest konsekwentnie bojkotowany przez polskich historyków zajmujących się oficjalnie tematyką stosunków polsko-ukraińskich, próbuje się go zdyskredytować. Jego wielki dorobek naukowy nie jest w ogóle zauważany przez naszych historyków i Instytut Pamięci Narodowej, który nigdy się do niego nie zwrócił o pomoc w wyjaśnianiu i dokumentowaniu martyrologii Polaków na Kresach, do czego m.in. został powołany.

Podczas krótkiego pobytu w Polsce dr Poliszczuk spotkał się ze środowiskami kresowymi. Odpowiadając na pytania stwierdził m.in., że nie jest dla niego niespodzianką to, co się dzieje wokół Cmentarza Obrońców Lwowa. Dla ukraińskiego nacjonalizmu jedną z podstawowych zasad taktyki jest „permanentna rewolucja”, polegająca na ciągłym podtrzymywaniu stanu napięcia. Tak jest po dziś dzień. Skrytykował też Bohdana Osadcuka: „Dziwny to profesor, bez dorobku naukowego. Osadcuk jest melnykowcem i stara się, potępiając OUN Bandery, usprawiedliwić całą UPĄ”.

Historia Polski dla Ukraińców

Pod auspicjami Centrum Polonistyki Historycznej w Instytucie Badań Historycznych Uniwersytetu Narodo-

wego im. Iwana Franki we Lwowie ukazała się książka „Historia Polski”. Autorami są profesorowie **Leonid Zaszkiłniak** i **Mykoła Krykun**. Jest to pierwsza w historii grafii ukraińskiej synteza historii Polski. W oficjalnej prezentacji książki na lwowskim uniwersytecie, która odbyła się w styczniu br., uczestniczyli naukowcy z Krakowa, Warszawy, Przemyśla, Kijowa, Charkowa, Czerniowiec, Czernihowa, Zaporozża i Lwowa.

Inaugurując dyskusję nad książką rektor Uniwersytetu Lwowskiego prof. dr hab. Iwan Wakarczuk powiedział, że „autorzy starali się pokazać, iż historia Polski może być dla Ukraińców i Polaków przedmiotem intelektualnej dyskusji”. Autorem książki podziękował za trud (752 strony formatu A4 i 8 kolorowych map) ambasador RP na Ukrainie Marek Ziółkowski.

„Tu Polskie Radio Lwów”

Od dziesięciu lat, w środę (w godz. 16-18) i sobotę (w godz. 9-12) słychać we Lwowie w radio na falach 106,7 FM, 203,2 AM i 1476 kHz polską mowę, śpiew, muzykę. Pierwszymi prowadzącymi polskie audycje byli Kazimierz Miciński i Kazimierz Chyra. Prekursorkami, organizatorkami, duszą i sercem Polskiego Radia we Lwowie były i są panie – Teresa Pakosz, Elbieta Leusz, Irena Świdzińska, Barbara Baczyńska, Anna Gordyewska i Beata Kost.

Ks. Marek Niedźwiedzki i ks. Marek Cichusz oraz Barbara Pacan, Grażyna Basaranowicz i Julia Bert to zespół tworzący program katolicki, który uczy, jak żyć, by być godnym miana Polaka krocącego drogą prawdy i sprawiedliwości we współczesnym świecie. Program młodzieżowy jest dziełem Kazimierza Kosydora, a Zofii Iwanowej – piękne melodie muzyki klasycznej i rozrywkowej na antenie PR Lwów. Barbara Sokółowska swoimi felietonami bawi i skłania do refleksji słuchaczy, a Krzysztof Szymański organizuje i prowadzi różne konkursy, oczywiście z nagrodami. Współtwórcami wielu audycji są także goście odwiedzający studio – ludzie ciekawi, działacze, politycy i inni. Bo Radio Lwów jest otwarte dla wszystkich. Informuje, wspomina, budzi nadzieję, uczy, raduje, przybliża rodakom we Lwowie i okolicy Polskę. Mają w tym swój udział także realizatorzy dźwięku: Gienadizm Świdziński, Wiktor Pakosz i Andrzej Balicki.

„Semper Fidelis” przesyła całej radiowej rodzinie PR Lwów serdeczne, choć trochę spóźnione, gratulacje z okazji jubileuszu X-lecia. Tak trzymać! Kontynuujcie piękne tradycje przedwojennego Polskiego Radia Lwów.

Bandera na piedestale

Już sześć pomników Stepana Bandery, twórcy i ideowego przywódcy OUN-UPA, wzniesiono w obwodzie lwowskim. Otoczyły Lwów ze wszystkich stron. Ten szósty stanął w Dublanach przed obecnym Uniwersyteciem Agrarnym, gdzie przed wojną na wydziale rolnoleśniczym ówczesnej Politechniki Lwowskiej Bandera studiował w latach 1929-1933. W uroczystym odsłonięciu pomnika uczestniczyły czołowe osobistość obwodu i miasta, trzej parlamentarzyści oraz Jurij Szuchewicz, syn ostatniego dowódcy UPA Romana Szuchewicza. – Cenimy Stepana Bandere nie tylko jako wielką osobistość, ale także jako uosobienie niezwykłego ducha w walce o idee narodową i niepodległość Ukrainy –

powiedział w swoim wystąpieniu przewodniczący Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Myron Jakiw. Prawdziwość tych słów mają potwierdzać pamiątki po „bohaterze”, zgromadzone w muzeum jego imienia na tej uczelni.

Na zachodniej Ukrainie trwa gloryfikacja zbrodniczej działalności UPA i jego dowódcy, szerzenie jego kultu. W tym roku, na jednej z głównych ulic Lwowa, stanie kolejny pomnik Bandery (realizacja ma kosztować 190 tys. dol.) – poinformował lwowski dziennik „Wysokij Zamok”. Jego odsłonięcie akurat w 60-tą rocznicę ludobójstwa UPA na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich II RP będzie kolejnym zbezczeszczeniem pamięci tysięcy Polaków zamordowanych przez Ukraińską Armię Powstańczą, którą stworzył i dowodził Stepan Bandera.

Pomnikami nie da się zakłamać jego zbrodniczej działalności „powstańczej”.

Polacy na Wschodzie

Według ostatniego powszechnego spisu ludności w ZSRR, przeprowadzonego w 1989 r. narodowość polską zadeklarowało ogółem 1 milion 126 tysięcy osób. Na Białorusi – 418 tysięcy, na Litwie – 260 tysięcy, na Ukrainie – 220 tysięcy, w Rosji – 95 tysięcy i w Kazachstanie – 60 tysięcy. Wyniki te powszechnie uważano za zaniżone. Szacowano na przykład, że w Kazachstanie mieszkało ok. 100 tysięcy Polaków.

W ubiegłym roku spis statystyczny przeprowadzono na Ukrainie. Odnotowano 140 tysięcy Polaków mieszkających u naszego wschodniego sąsiada, z tego 67% uważa język polski za ojczysty, reszta wskazała na ukraiński i rosyjski. Nasi rodacy na Kresach poddają w wątpliwość te liczby. Twierdzą, że Polaków pozostałych we Lwowie i na zachodniej Ukrainie jest o wiele więcej, nawet uwzględniając wyjazdy wielu młodych Polaków.

Prawdą jest jednak, że Kresowian jest coraz mniej – i tu i tam...

Pomnik Szczepcia i Tońcia?

Gdzie miałby stanąć? Oczywiście we Wrocławiu, największym skupisku lwowiaków! Czyj to pomysł? – Właściwie nie wiadomo, ale mówi się o nim nad Odrą, trafił na łamy wrocławskiej „Gazet Wyborczej”, dyskutują o nim internauci... Czy lwowskie batiary – Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger, popularni z niedzielnej audycji radiowej „Na Wesołej Lwowskiej Fali” oraz filmów „Będzie lepiej”, „Włóczęgi” – zasłużyli sobie na pomnik?

Wojciech hrabia Dzieduszycki – senior wrocławskich lwowiaków:

– O Jezu, to cudowny pomysł! Na pewno nie powinien być sfinansowany z publicznych pieniędzy – mamy pilniejsze potrzeby – ale można by przeprowadzić wielką zbiórkę, pomyśleć o wielkich akcjach kulturalnych. Szczepcio i Tońcio są symbolem polskiego humoru, tego lwowskiego dobrego ducha, toteż ich pomnik, jeśli stanie, powinien być wesoły w formie.

Rafał Dutkiewicz – prezydent Wrocławia:

– Ja w ogóle lubię pomniki, ale powinno się je stawiać naprawdę wybitnym postaciom historycznym. Natomiast z chęcią zobaczyłbym we Wrocławiu rzeźbę Szczepcia i Tońcia.

Roman Kołakowski – poeta, szef wrocławskiego Przeglądu Piosenki Aktorskiej:

– Super pomysł, bardzo mi się podoba. Dwóch wybitnych twórców, znakomitych artystów, którzy weszli do legendy i pełnią w polskiej kulturze rolę podobną co Don Kichot i Sancho Pansa, czy Flip i Flap. Na dodatek byli całkowicie apolityczni i nie sędzę, żeby ktokolwiek chciał się o nich kłócić. Jeśli mamy pielęgnować we Wrocławiu lwowską tradycję, stawiać jej pomniki – nie ma lepszego pomysłu. Jeśli zawiąże się społeczny komitet budowy tego pomnika, z przyjemnością włączę się do jego prac, np. pomogę przy organizacji koncertu piosenek Szczepcia i Tońcia.

Co sądzą o pomysle Czytelnicy „Semper Fidelis”?

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Bogdan St. Kasprowicz

Apostoł Podola – śp. ks. biskup Jan Olszański (1919-2003)

W żalu i smutku pogrążyła się społeczność polska na Ukrainie. Od Lwowa po najdalsze krańce Podola bólem ścisnęły się polskie serca, gdy przyszło oddać ostatnią posługę zmarłemu w niedzielę 23 lutego biskupowi kamienieckiemu.

Uroczystości żałobne, które odbyły się we wtorek 25 lutego, zgromadziły w Kamieńcu Podolskim nie tylko tłum biskupów rzymsko- i grekokatolickich z całej Ukrainy, z nuncjuszem papieskim z Kijowa i arcybiskupem Jaworskim ze Lwowa na czele, ale przede wszystkim ogromne rzesze wiernych z Podola i ziemi lwowskiej. Przybyli bowiem pożegnać człowieka, który jeszcze za życia chodził w glorii świętości.

Praca, poświęcenie i męczeństwo biskupa Jana Olszańskiego – o nim to bowiem mowa – sprawiły, że ziemia podolska za Zbruczem, która już w 1772 r. odpadła od Rzeczypospolitej, wciąż rozbrzmiewa polską mową i żyje polskimi obyczajami.

Jan Olszański urodził się 14 stycznia 1919 r. w Hucisku koło Brodów, na granicy Podola i Wołynia. Po zdaniu matury w gimnazjum im. Józefa Korzeniowskiego w Brodach wyjechał do Lwowa, gdzie wstąpił do seminarium duchownego, podejmując równocześnie studia teologiczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza w roku akademickim 1938/39. Wojna sprawiła, że Alma Mater Leopoliensis nie zyskała świetnie zapowiadającego się naukowca, natomiast ziemia podolska zyskała niestrudzonego apostoła.

Efektom wojennego przypadku, a może szczególnym dziełem Opatrzności, było odrodzenie kościoła katolickiego na zazbruczańskich ziemiach.

Już latem 1941 r. na nowo otwarta została katedra w Żytomierzu. W tym samym Żytomierzu, w którym pierwszy kościół obrządku łacińskiego założył w 1225 r. śląski święty – Jacek Odrowąż.

W wielu innych miastach nie było jednak co otwierać, bo wiele świątyń (nie tylko katolickich, również pra-

Lwówianka najpiękniejszą studentką

18-letnia lwówianka Orysia Diak, studiująca we Wrocławiu ekonomię i zarządzanie, została wybrana Wrocławską Studentką Roku 2002. Otrzymała w nagrodę niebieskiego fiata seicento. Nie ma jeszcze prawa jazdy, ale uczy się jeździć.

Dla najpiękniejszej studentki wrocławskiej Wrocław jest najpiękniejszym polskim miastem.

Gratulujemy Orysiu – zawsze twierdził, że lwówianki są najpiękniejsze. Zwłaszcza we Wrocławiu...

KRONIKARZ KRESOWY



wosławnych) zostało w połowie lat trzydziestych, na fali laicyzowania życia społecznego w komunistycznym państwie, wysadzonych w powietrze. Ale najgorsze było to, że nie miał kto otwierać, gdyż po 1938 r. nie pracował tu już żaden kapłan katolicki.

Kiedy więc Kuria Metropolitalna we Lwowie opublikowała odezwę do duchowieństwa o podejmowanie pracy na wschodzie – ksiądz Jan kończy właśnie dwuletni staż duszpasterski w Kaczanówce koło Skalatu. Odpowiadając na ten apel, wyjechał w 1944 r. do Gródka Podolskiego. Jego przybycie okazało się opatrnością, bowiem wkrótce (po powrocie Sowietów) aresztowani zostali niemal wszyscy księża katolicki. Ks. Olszański został jedynym kapłanem na kilkaset kilometrów kwadratowych. Po dwóch latach pracy, wskutek szantażu i nacisków władz powrócił do Lwowa, pozostającego już w granicach ZSRR. Tu odmówił repatriacji do Polski

i jako wikariusz przy parafii pw. Matki Boskiej Śnieżnej zajął się głównie pracą z młodzieżą oraz posługą religijną dla Ukraińców obrządku grekokatolickiego, po zdelegalizowaniu ich Cerkwi. Władze lwowskie zorientowały się, że mają do czynienia z niezwykle operatywnym młodym księdzem postanowiły się go pozbyć i zażądały od ks. Olszańskiego opuszczenia miasta sugerując, że powinien wyjechać na tereny Ukrainy Wschodniej, gdzie czekają na kapłana katolicy obrządku łacińskiego.

I tak w 1948 r. ks. Olszański wrócił do Gródka Podolskiego. 80% mieszkańców tego miasteczka stanowili Polacy, posługujący się w codziennym życiu, wprawdzie archaicznym, Kochanowskiego i Sienkiewicza przypominającym, ale jednak językiem polskim, co sprawiało, że mimo „nękających” starań władz (nocne napady „nieznanych sprawców”, kradzieże i pobicia, wysokie podatki nakładane na parafię określane cynicznie „dobrowolnymi”) nie przemogły wzajemnej solidarności wiernych i ich kapłana.

Mimo braku kościoła (całkowicie zniszczonego przez Sowietów) toczyło się normalne życie parafialne – katechizacja dzieci i młodzieży, chrzciny, komunie, śluby i pogrzeby. Skupiało się ono przy kaplicy cmentarnej, odrestaurowanej i wyposażonej staraniem wiernych – na co władze pozwalały, uważając, że na ostatnią posługę można wierzącym ostatecznie pozwolić.

Ksiądz Olszański nie poprzestał na pracy w Gródku. Organizował wyprawy do odległych nieraz o 100 i 200 kilometrów parafii pozbawionych zupełnie księży.

Kiedy rozmawiałem z biskupem w Kamieńcu w zeszłym roku opowiadał mi historię niemal zupełnie nieprawdopodobną, godną obrazu czy filmu. Otóż w pewnej miejscowości przez trzy dni i noce w kaplicy cmentarnej (wiedząc, że nieprędko znów się tu pojawi jakikolwiek kapłan) spowiadał, udzielał chrztu, ślubów i komunii. Niewątpliwie trwające przez całe doby bez przerwy sakramenty musiały być katorgą, ale już udzielanie sakramentu chrztu kilkuset jednocześnie osobom, zarówno dzieciom jak i dorosłym, miało wymiar apostołski, przypominający dzieła św. św. Wojciecha, Brunona, Jacka i musiało być wydarzeniem radosnym.

Nie w smak władzom politycznym była działalność księdza. Jednak opieka miejscowej ludności i litościwa Opatrzność Boska sprawiły, że mimo wielokrotnych pobić ksiądz zawsze wracał do zdrowia i do pracy. A zarzuty działalności antypaństwowej i indoktrynacji młodzieży umiejętnie wyciszał i wygaszał. Bez końca trwać to jednak nie mogło. Doszło do tego, że miejscowa sekretarz tow. Szczerbata powiedziała na konferencji partyjnej „albo on – albo ja”.

Ksiądz Jan Olszański w 1951 r. został zesłany na głuchą prowincję do kolchozu Manikowce.

Podczas wiosennych i jesiennych roztopów w ogóle nie można było stamtąd nigdzie się wydostać. Najbliższe zaś miasteczko było oddalone o 100 kilometrów.

Odprawianie mszy, jak zwykle w cmentarnej kapliczce, odbywało się o najdziwniejszych porach. Bowiem miejscowy kolchoz protestował przeciwko mszom porannym, gdyż „odciągały ludność od wyjścia do pracy”,

a wieczorne „przeszkadzały w zapewnieniu ludziom spokoju i odpoczynku po dniu pracy”.

A ksiądz Jan pracował niestrudzenie. Wychowanek jego i parafianin Stanisław Nagórniak wyremontował stary samochód i tym objeżdżali wspólnie rejon południowej Ukrainy o wielkości równej połowie Polski, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od cmentarza do cmentarza, docierając do skupisk ludności polskiej od dawna już zapomnianych, chociaż witających księdza nieraz polską poezją: „Smutni strapieni, wciąż Boga błagamy, gdyż od lat wielu kapłana nie mamy”.

Co szczególne, a w realiach Związku Sowieckiego tak dalece dziwne, że nawet same władze zadziwiły się, że ksiądz Jan Olszański poza licznymi i dotkliwymi karami pieniężnymi i upomnieniami, przesiedleniami, nigdy nie był karany.

Mimo wojny, mimo stalinowskich represji, walki z Kościołem i programową, systematyczną depolonizacją – ksiądz Jan trwał na posterunku i nie poddawał się, nie wątpił, tylko pracował. Aż wreszcie przyszedł rok 1991.

Pobyt w Manikowcach skończył się z chwilą reaktywowania przez Jana Pawła II struktur Kościoła łacińskiego na Ukrainie, po rozpadzie ZSRR.

16 stycznia 1991 r. Jan Olszański został mianowany biskupem wskrzeszonej do życia diecezji kamieniecko-podolskiej. Sakrę biskupią przyjął 3 marca w Bazylice Metropolitalnej we Lwowie. Terytorium diecezji obejmowało nie tylko dawny historyczny obszar, ale nadto całą południowo-wschodnią Ukrainę z Krymem i Zagłębiem Donieckim, a więc obszar równy niemal terytorium Polski.

Mimo postępującej choroby biskup rzucił się w wir pracy duszpasterskiej. Przede wszystkim trzeba było odtworzyć parafie, skupiać ludzi i remontować kościoły.

To, że dzisiaj w ponad stu parafiach Podola biją dzwony, że w odrestaurowanych kościołach zbierają się wierni, a liczne pielgrzymki polskie (również, a właściwie najczęściej ze Śląska) mają w Domach Pielgrzyma i plebaniach zapewnione noclegi i wyżywienie to przede wszystkim dzieło 10-letniej wytrwałej pracy biskupa Olszańskiego. To, że w samym Kamieńcu Podolskim znowu jaśnieje blaskiem katedra łacińska i ustawiona na tureckim minarecie figura Matki Boskiej rozświetlając historyczne pamiątki niegdysiejszej świetności Rzeczypospolitej – to również dzieło biskupa Olszańskiego.

W roku 2002 coraz bardziej schorowanego biskupa Olszańskiego zastąpił o. Leon Dubrawski, nowy biskup kamieniecko-podolski.

Biskup Jan, już na emeryturze zmagający się z bólem, nadal jednak niestrudzenie, codziennie, już od 6 godziny rano, siadał w konfesjonale w katedrze i słuchał spowiedzi. W dniach, gdy byłem w Kamieńcu, zawsze stała pod konfesjonalem kolejka.

Widziałem też, niezwykle na początku trzeciego tysiąclecia, wieku komputerów, dyskotek i frywolnego stylu życia – jak przy drodze, którą szedł biskup Jan Olszański, ludzie klękali prosząc o błogosławieństwo.

Oni wiedzieli, że był to człowiek święty.

Cześć Jego Pamięci! Requiescat in Pacem.



Śp Antoni Pulak (1924-2002)

W dniu 7 listopada 2002 r. odszedł od nas były członek i niestrudzony działacz Nyskiego Oddziału TMLiKPW odznaczony Złotą Odznaką Towarzystwa. Urodził się 18 stycznia 1924 r. w małej wiosce Nowosiółka Grzymałowska pow. Skalat woj. tarnopolskie. Po ukończeniu

7 klasy w Tolstem w 1937 r. latem pomagał ojcu w gospodarstwie, zimą w wywozie koniem drzewa z lasu.

W 1942 r. wywieziony na roboty do Niemiec pracował przy granicy belgijskiej, młodym chłopakiem kresowym zaopiekowała się polonia niemiecka i belgijska, wciągnięto go do ruchu oporu, w roku 1943 przeszedł do Belgii, a w 1944 r. do Francji, gdzie wstąpił do Wojska Polskiego. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej w stopniu kaprala służył w wojsku w różnych jednostkach do lipca 1947 r. Po demobilizacji powrócił do kraju do Głucholaz, gdyż rodzice jego przyjechali drugim transpor-

tem w 1945 r. i osiedlili się w Charbielinie k. Głucholaz. Pracę rozpoczął w Spółdzielni Pracy „Uran” w Głucholazach, a następnie przez 40 lat pracował w Spółdzielni Pracy „Pionier” jako szklarz, a po ukończeniu w 1966 r. Zaocznego Technikum Ekonomicznego w Katowicach był kierownikiem zakładu szklarskiego aż do emerytury w 1991 r.

Każdą wolną chwilę wykorzystywał na pracę społeczną, przez 21 lat był kuratorem społecznym w Wydziale Karnym Sądu Rejonowego w Nysie, także był czynnym działaczem samorządu mieszkańców ponad 35 lat aż do śmierci.

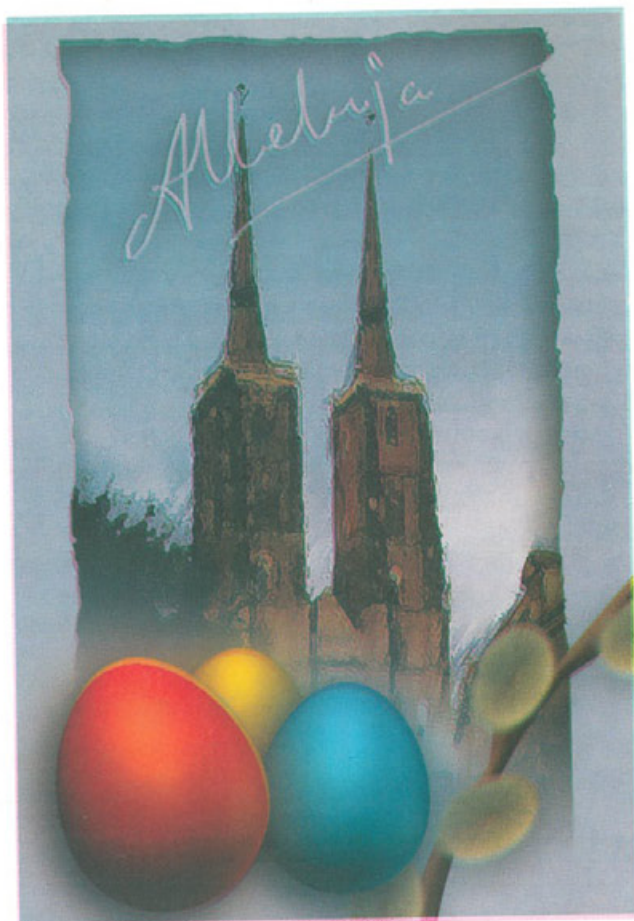
Przez kilkanaście lat aktywnie działał w Związku Kombatanów jako członek zarządu koła, w roku 2002 został awansowany do stopnia podporucznika WP. Ostatni rok ciężko chorował, serce nie wytrzymało tak dużego obciążenia. Z głębokim żalem pożegnaliśmy naszego Kolegę w dniu 11. 11. 2002 r. na cmentarzu komunalnym w Paczkowie, gdzie spoczął obok rodziców w grobowcu rodzinnym.

Wieczne odpoczywanie racz Mu dać Panie.

Zarząd Oddziału TMLiKPW w Nysie

Contents

D. Śliwińska – Recipes for Easter dishes and cakes as before in Lwów	1
J. Masior – Winter remembrance	4
J. Masior – Łyczaków 2003 – a poem	5
J. Hohenberger-Gorkowska – In remembrance of Siberian taiga – a poem	5
H. Wiewiórska – 63rd anniversary of mass deportation of Poles deep into Soviet Union	5
T. Łodziana – Recollection of the State Fine Arts Institute in Lwów in the years 1937-1943 (contd)	9
G. Sobesto – "My family comes from Polish South-East Borderland" – written by an elementary school pupil	12
J. Biernaczyk – Lwów reminiscences – a reprint from "Gazeta Ostrowska"	14
L. Podgórska – The Lwów "Scotch Café" as rendered by pupils of a Warsaw school	16
S. T. Sroka – Studies on Polish science and colleges in Lwów	18
A. Wolowicz – Borderlanders of Sanok	18
J. Walocha – The church at Winniki	20
S. Czerkas – Jubilee Xth anniversary of the Federation of Polish Organizations in Ukraine	21
B. Nagay, R. Węgrzynowicz – To stimulate activities of the Lwów Lover's Society for the Polish population in Ukraine	22
G. Krische – News from the ancient parish of Jagielnica in Podolia	23
Z. Abram – The author's recollections of his years at Obertyn	24
P. M. Stański – Arrangements in the Lwów architecture	26
S. Sasiadek – The start of my way to Polish Army in the West	27
A. Barącz – Recollections of the author's young years in Lwów	30
J. T. Leszczynski – Objection against the intention of transferring the ashes of Maria Konopnicka from the Łyczakowski cemetery in Lwów to her birthplace at Suwałki	35
J. Kowalczyk – Remarks concerning the term "Galicia"	36
W. Majewska – Remarks on the "Semper Fidelis" special edition for 2003 concerning the Lwów Broadcast character of Henryk Vogelfänger – "Tońku"	36
K. Węgier-Maksymowicz – An appeal for any materials concerning the past and present history of an elementary school in Lwów	37
M. Deska, A. Henkel – Invitation to school Memory Chamber in Częstochowa	37
A. Malina – Correction to W. Wilgusiewicz's article in the preceding number of Semper Fidelis	38
I. Bereżnicka – Our Polish road – a poem	38
T. Sobiecki – An open letter concerning restoration of the Polish Soldiers Memorial at Sokal	39
Z. Nartowski – Recollections of scouts – participants in the defence of Lwów in September 1939	39
J. Petryński – Remarks on two new books about Lwów	40
W. Mielniński – For stimulation to co-operation with the Borderland youth	41
J. Masior – "Forgive me, my Dad" – a poem	42
R. Węgrzynowicz, B. Nagay – Medical aid for the inhabitants of Lwów and Baranowicze	42
P. Franków – A meeting with the poetes Irena Cisek-Piątkowska	43
Arrangement over partnership between the cities of Wrocław and Lwów	43
Announcement of the Lwowers and Borderlanders' pilgrimage to Częstochowa in 2003	44
M. Kowal – Exhibition "The Lwów Sculpture in late XVIIIth century" in the Museum at Lubaczów	44
M. Kowal – The life in Lwów included in Ukraine is getting more and more difficult	46
M. Kowal – Literary meeting of rev. Robert A. Szteliga with his readers at Rzeszów	46
Z. Umański – Borderland Diary	47
B. S. Kasprzowicz – The late bishop Jan Olszański – the Apostle of Podolia	51
Obituary notice of the late Antoni Pulak	53



Nadchodzą Święta Pańskiego
Zmartwychwstania. Rada
Fundatorów i Zarząd Fundacji
Kresowej „Semper Fidelis”
życzą Państwu z tej okazji
Radości i Szczęścia.

Radością tą pragniemy
podzielić się ze wszystkimi
Kresowiakami.

Dziękujemy za niesioną pomoc
i współpracę z nami, która umożliwia
godne spędzenie Świąt
potrzebującym Rodakom.
Alleluja!

Rada Fundatorów
i Zarząd Fundacji Kresowej
„Semper Fidelis”

Lista Ofiarodawców za miesiące II-III 2003 r.

- | | | | |
|---|--------|---|-------|
| 1. Stanisław Ferenc, Kamienna Góra | 110.- | 17. Ludwika Tomczak, Aleksandrów Łódzki,
na Kościół w Lwowie-Brzuchowce | 50.- |
| 2. Felicja Pęcherska, Wrocław, Cm. Orl. Lw. | 50.- | 18. Elżbieta Palacz, Środa Śląska,
pomoc świąteczna dla Lwowian | 50.- |
| 3. Irena Koniewicz, Szczecin,
pomoc świąteczna | 20.- | 19. Ewa Klik, Wrocław
pomoc świąteczna dla Lwowian | 50.- |
| 4. Irena Hroboni, Polanica | 30.- | 20. Witold Gaca, Wrocław
pomoc świąteczna dla Lwowian | 100.- |
| 5. Janina Blum, Wrocław | 30.- | 21. Elżbieta Świątkowska, Wrocław,
pomoc świąteczna dla Lwowian | 100.- |
| 6. Władysława Majewska-Budzuńska, Anglia | 559,78 | 22. Zbigniew Rudkowski, Wrocław,
pomoc wielkanocna | 170.- |
| 7. Elżbieta i Andrzej Malina, Warszawa | 200.- | 23. Anna Stroka, Wrocław, pomoc świąteczna | 40.- |
| 8. Miejski Ośrodek Kultury Koszalin
pomoc dzieciom polskim we Lwowie | 30.- | 24. Kancelaria Notarialna Waldemar Dawidowicz,
Wrocław, pomoc świąteczna | 200.- |
| 9. TMLiKPW Piła | 10.- | 25. Irena Stuchly-Solarewicz, Wrocław,
pomoc świąteczna | 100.- |
| 10. Krystyna Tuszkiewicz, Wrocław | 50.- | 26. Marta Dębicka-Muzyka, Wrocław,
pomoc świąteczna | 100.- |
| 11. Maria Wiewiórka, Świdwin,
Rodakom we Lwowie | 100.- | 27. Ludwika Petryńska, Wrocław,
pomoc świąteczna | 50.- |
| 12. Adam Nikorowicz, Dębica, Cm. Orl. Lw. | 20.- | 28. Zbigniew Szerba, Jelenia Góra, Cm. Orl. Lw. | 15.- |
| 13. Anna i Julian Kowalińscy, Bytom,
dla Kresowian | 100.- | SF | 15.- |
| 14. Bronisław Więckowski, Kobyłka,
pomoc świąteczna dla Rodaków na Wschodzie | 250.- | | |
| 15. Władysława Świętańska, Wrocław,
pomoc dla Lwowian | 200.- | | |
| 16. Janina Garbaczewska, Wrocław,
pomoc Rodakom | 300.- | | |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel./fax (071) 344 88 93. Zarząd: KRYSZYNA KARBOWNIK – dyrektor, MAŁGORZATA ORZEL – z-ca dyrektora, JERZY TANDECKI – sekretarz, ZBIGNIEW UMAŃSKI

Rada Fundatorów: JAN ZIEMBICKI – prezes, ANDRZEJ KAMINSKI – v-ce prezes, DANUTA NESPIAK, WIESŁAWA JELEŃSKA-HOMBK, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ, JAN AKIELASZEK, HENRYK STANIUK, LESZEK SAWICKI

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:

Adres strony internetowej Fundacji:

PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

www.oss.wroc.pl/semperfidelis